



ŁAPAĆ MORDERCĘ!

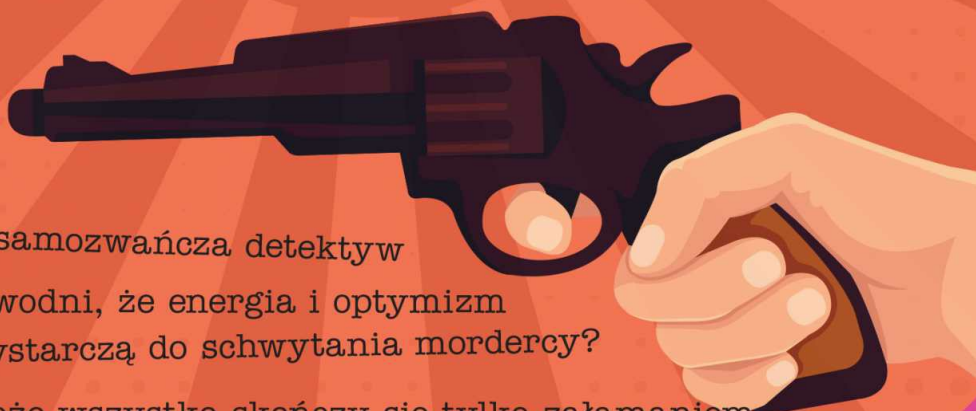
KATARZYNA GURNARD

Przebojowa Wioletka wszczyňa śledztwo
w fabryce Słodziutka Babeczka



Wioletka

na TROPIE
ZBRODNI



Czy samozwańcza detektyw
udowodni, że energia i optymizm
wystarczą do schwytania mordercy?

A może wszystko skończy się tylko załamaniem
nerwowym funkcjonariuszy organów ścigania?



Hit!

KATARZYNA GURNARD

Wioletka
na TROPIE
ZBRODNI

LIRA
WYDAWNICTWO

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2018
© Copyright by Katarzyna Gurnard, 2018

Projekt okładki:
Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce:
©A. Shevchuk, ©A. Kovalenko,
©N. Levish, ©R. Matovic, ©W. Mushtaprate, ©G. Kireev,
©aniwhite, ©ivanmogilevchik/123rf.com

Redakcja:
Barbara Kaszubowska

Korekta:
Anna Gidaszewska

Skład:
Klara Perepłyś-Pająk

Producenci wydawniczy:
Marek Jannasz, Anna Laskowska


LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze
Warszawa 2018

ISBN wydania elektronicznego (ePub): 978-83-65838-83-4
ISBN wydania elektronicznego (Mobi): 978-83-65838-84-1

Moim dzieciom

ROZDZIAŁ 1

Wiolka Koperek właśnie wychodziła. Dwunastogodzinna zmiana w fabryce o chwytliwej nazwie Słodziutka Babeczka dobiegła końca. Był to pięćdziesiąty trzeci dzień jej pracy. Siódmego września złożyła wypowiedzenie, zatem zgodnie z wyliczeniami poczynionymi przez dział kadr zostały jej jeszcze cztery dni harówki. Potem już tylko wolność i swoboda, hulaj dusza, piekła nie ma, tańce, hulanki, swawola!

Poprzednio zatrudniła się w szeroko rozumianej informatyce, oczywiście nie bez powodu wybrała branżę zdominowaną przez mężczyzn. Licząca sobie trzydzieści dwie wiosny panna Koperek uznała bowiem, że wśród niepozornych klikaczy w powyciąganych swetrach ma szansę znaleźć miłość swojego życia. Dotychczas nie miała chłopaka, co jakoś szczególnie jej nie przeszkadzało, teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie czas na zmianę stanu cywilnego. Założyła, że stanowisko specjalisty do spraw testów będzie piastowała równo przez pół roku. Jeśli w tym okresie nie pozna w open spacie swojej drugiej połówki — odchodzi. Żadnych kompromisów. Dlaczego akurat pół roku? Tego nie potrafiła wyjaśnić nawet główna i jedyna zainteresowana. Ot tak, po prostu.

Kiedy szła pierwszego dnia do pracy w korporacji, oczyma wyobraźni widziała siebie u boku przystojnego amanta na ślubnym kobiercu. Ona w pięknej sukni z długim trenem dostojnie ciągnącym się w nieskończoność, on w garniturze skrojonym na miarę. Oboje uśmiechali się na zmianę to do siebie, to do gości. Wszędzie aż roiło się od nieskazitelnie białych róż. Wiola nie zdecydowała jeszcze tylko, czy pan młody ma być brunetem, blondynem, czy może lepsze byłoby owłosienie w niebanalnym kolorze rudym. Ponieważ nie mogła rozsądzić, postanowiła tę jedną kwestię pozostawić przeznaczeniu.

Marzenia szybko rozwiała brutalna rzeczywistość. Panowie z

wielkim zaangażowaniem stukali w klawiatury i choć odnosili się do Wioletki z życzliwością i sympatią, zupełnie nie dostrzegali w niej kobiety. Nie pomagały wdzięczenie się ani stroje podkreślające to, co w opinii panny na wydaniu było jej największymi atutami. Informatycy okazali się odporni na czar roztaczany przez nową współpracownicę.

Nietrudno się domyślić, że poszukiwania nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, dlatego po arbitralnie wyznaczonym okresie Wioletka bez większego żalu uznała, że czas zwijać żagle. Jak postanowiła, tak też zrobiła. Jeszcze tego samego dnia znalazła w prasie przyciągające uwagę ogłoszenie, zgodnie z którym szukano słodziutkich babeczek do Słodziutkiiej Babeczki. Nazwa firmy coś jej mówiła, szybko skojarzyła, że chodzi o podłódzką fabrykę łakoci. Ślinka pociekła jej na samą myśl o wyrobach tego znamienitego zakładu produkcyjnego. A co tam, pomyślała, decydując, że tym razem dla odmiany spróbuje się w gastronomii.

Wymaganie wymienione w ofercie było tylko jedno: chęć do pracy, a akurat tego dziewczyna miała pod dostatkiem. Zatrudnienie dostała od ręki, prowadzący rozmowę kwalifikacyjną od razu poznał się na kandydatce, która wydawała się wprost idealna na obsadzane stanowisko. Trzeba dodać, że panna Koperek już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie barwnej postaci z niewyczerpanymi pokładami optymizmu i pogody ducha. Jej po prostu nie dało się nie lubić.

Wiola nigdy wcześniej nie miała do czynienia z taśmą produkcyjną, okazało się jednak, że charakter pracy bardzo jej odpowiadał. Szybko awansowała z donosicielki kartonowych opakowań na nakładaczkę muffinek do plastikowych pojemników. Praca była przyjemna, ludzie mili i koleżeńscy, tylko te... słodczyce. Pokusa była zbyt silna dla entuzjastki wszystkiego, co zawierało w składzie cukier.

Po pierwszych dwóch tygodniach pracy dziewczyna zaczęła mieć problem z dopięciem spodni. Po dwóch miesiącach odłożyła džinsy na samo dno szafy, a ich miejsce zastąpiły spódnice z gumką w pasie. Wraz z upływem czasu waga łazienkowa

bezlitośnie pokazywała coraz wyższe wartości. Tego było już za wiele dla kogoś, kto od niepamiętnych czasów stosował diety odchudzające. I zupełnie nie miało tu znaczenia, że na przestrzeni tych wszystkich lat wskaźniki na wadze oscylowały w granicach osiemdziesięciu kilogramów — plus minus pięć.

Każdy dzień w fabryce był dla Wioletki katorgą. To była walka! Walka z samą sobą o to, żeby nie podjadać. Gdzie tam walka! To była prawdziwa wojna! Ale babeczki wyglądały tak apetycznie... Kusiły czekoladową polewą, uśmiechały się mięsistymi rodzynekami, wprost nie sposób było się im oprzeć. Dlatego też, rada nierada, dziewczyna podjęła trudną decyzję o rezygnacji z pracy.

ROZDZIAŁ 2

Tego dnia raczyła się bez opamiętania delikatesami, które miarowo, choć bez pośpiechu jechały po taśmie produkcyjnej wprost do jej dłoni. Nadzwyczajne łakomstwo wynikało z tego, że Koperek powoli zaczynała odczuwać nieuchronnie zbliżający się koniec nieograniczonego dostępu do jeszcze ciepłych wyrobów Słodziutkiej Babeczki.

Jak zawsze skrupulatna Wiola ze stanowiska pracy oddaliła się dokładnie o wyznaczonym czasie: ani minuty wcześniej, ani minuty później. Rękawem fartucha otarła z ust resztki białej czekolady i rzuciła się do wyjścia, krzycząc przez ramię w kierunku współpracowników lakoniczne „Nara!”. Musiała się spieszyć, ponieważ za trzynaście minut z przystanku po drugiej stronie ulicy odjeżdżał autobus linii trzydzieści osiem. Zgodnie z rozkładem na kolejny musiałyby czekać czterdzieści minut, a przecież — jak co tydzień — umówiła się na dwudziestą piętnaście u Zużki, w telewizji leciał Poirot!

Szybko przebrała się w przykładowej szatni z pozbawionego uroku stroju roboczego w bombowy T-shirt wyszywany cekinami z krótkim rękawem i obcisłą spódnicę koloru grafitowego. Wielkie ochronne buciorzy rzuciła z odrazą pod ławkę nieopodal swojej szafki, a na ich miejsce z ulgą przywdziała japonki. Po dwunastu godzinach noszenia zniechęconego obuwia o wadze odpowiadającej pi razy drzwi niewielkiemu workowi kartofli stopy dziewczyny były tak opuchnięte, że klapki wydawały się jedyną możliwością. Po prawdzie Wiolka najchętniej chodziłaby boso, ale wbrew pokusie uznała, że to niebezpieczne — jeszcze wejdzie na szkło albo jakiś gwóźdź. Poza tym uważała, że te eleganckie buciki zakupione na ryneczku za pięć złotych całkiem nieźle podkreślają jej zgrabne łydki. Szczęśliwie dla niej wrzesień był bardzo ciepły, więc nie musiała się obawiać, że coś sobie odmrozi.

Słodziutka babeczka energicznie popchnęła drzwi, które z impetem uderzyły o ścianę. Wypadła na korytarz, gdzie obok męskiej ubikacji stali niczego niespodziewający się konserwator Tadek Żakowski z Antkiem Maczkowskim z trzeciej linii. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie reakcja panów na widok współpracownicy. Kiedy tylko mężczyźni dostrzegli, a może trafniej należałoby powiedzieć — usłyszeli ją, zaczęli nerwowo coś upychać w przepastnych kieszeniach fartuchów, po czym w pośpiechu się rozeszli. Jeden wszedł do WC, drugi ruszył w kierunku przeciwnym do Wioletki. Jak zawsze spostrzegawcza, zdążyła zauważyć, że Żakowski schował pieniądze, a Maczkowski jakiś błyszczący przedmiot.

Z uprzejmości krzyknęła za oddalającym się kolegą „Cześć”, ten jednak nie odpowiedział, co więcej: przyspieszył kroku. Koperek dałaby sobie rękę uciąć, że w jego spojrzeniu widziała strach. Dziwne, pomyślała. Nie było jednak czasu na głębszą refleksję, trzeba pędzić, bo Poirot nie poczeka.

Zzianana dopadła do przystanku na minutę przed autobusem. Trzydzieści osiem przyjechało punktualnie. Dziewczyna rozsiadła się na jednym z wolnych foteli i zastygła w mało inteligentnej pozie, z pustym wzrokiem utkwionym w szybie. Snuła domysły, co też ciekawego Agatha Christie przygotowała dla niej na wieczór. Oby tylko nie kradzież, pomyślała Wioletka, zakochana w kryminałach, których głównym bohaterem był trup.

Następnego dnia zasnęła do pracy. Co prawda budzik już o piątej rano obwieścił, że czas wstawać, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Znienawidzonemu urządzeniu zadała celny cios lewym sierpowym i wróciła w objęcia Morfeusza. Zegarek poddał się bez walki.

Tej nocy spała jedynie trzy godziny, więc trudno się dziwić, że jej reakcja była, delikatnie mówiąc, nerwowa. Po owocnym rozwiązaniu kryminalnej zagadki przez znamienitego detektywa Wiolka długo nie mogła zasnąć z nadmiaru emocji. Aby się wyciszyć, postanowiła przerzucić kilka stron romansidła gorąco polecanego przez bibliotekarkę. Miłosne rozterki głównej bohaterki były tak przejmujące, że Koperek nie mogła porzucić i

tak już porzuconej przez męża Henrietty. Kiedy z wypiekami na twarzy dobrnęła do ostatniej strony powieści, mała wskazówka na zegarku z pajęczkiem w roli sekundnika, który pamiętał jeszcze czasy jej dzieciństwa, niebezpiecznie zbliżyła się do cyfry dwa. Resztką sił Wioletka odłożyła książkę na nocny stolik, wyłączyła lampkę i praktycznie w tej samej chwili przeniosła się do krainy marzeń sennych.

Po pół godzinie od pierwszego wezwania budzika z niewiadomych przyczyn dziewczyna samoczynnie otworzyła oczy. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy było to wynikiem wrodzonego poczucia obowiązku, czy może raczej nieustającego szczekania znenawidzonego psa sąsiada tuż za ścianą, do której przylegało łóżko Wioli.

Przebudzona zaczęła macać ręką okolice poduszki w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Pod nosem mamrotała oszczerstwa skierowane do przebrzydłego sierściucha, który notorycznie wyrwał ją z błogiego snu. Kiedy udało jej się namierzyć komórkę, nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na wyświetlacz, chcąc sprawdzić, o której to dziś godzinie york raczył rozpocząć swój, a przy okazji też jej, dzień. Zegarek pokazywał piątą trzydzieści trzy i mimo przecierania zaspanych oczu nie chciało być inaczej. W ułamku sekundy dziewczyna zupełnie zapomniała o futrzastym wrogu numer jeden.

— MATKO BOSKA! — ryknęła na cały głos, wyskakując z łóżka niczym oparzona.

Przygotowania do pracy trwały około stu osiemdziesięciu sekund. Oczywiście nie było możliwości, żeby zdążyła na autobus o piątej trzydzieści pięć, który jeszcze jako tako dawał szansę dojechania na czas do fabryki.

Spóźniona o prawie pół godziny, wpadła do szatni. W ekspresowym tempie przebrała się w robocze ciuchy. Na korytarzu nie było żywej duszy — współpracownicy od trzydziestu minut uwijali się przy maszynach.

Wioletka pędziła na złamanie karku w kierunku swojego stanowiska pracy. Wiedziała, że zanim dotrze na miejsce, musi minąć przeszklony gabinet kierownika. Poczwała niepokój.

Istniało realne niebezpieczeństwo, że majster Eryk Pączyński nie przepuści okazji, żeby dać do wiwatu spóźnialskiej. Nie dalej niż trzy dni temu złapał Koperek na gorącym uczynku, kiedy oblizywała palce ubrudzone czekoladą. Rozpętało się wtedy prawdziwe piekło. Purpurowy na twarzy chyba z piętnaście minut niczym opętany wrzeszczał na całe gardło, że to w najwyższej mierze niehigieniczne, jak tak można? I co by było, gdyby dyrektor zauważył?! Wyrzucił z siebie jeszcze wiele innych słów, których Wioletka już nie usłyszała, nie miała bowiem w zwyczaju przejmować się głupstwami, a z całą pewnością zaistniałą sytuację zaliczyła do takich. Szef odgrażał się nawet, że potrafi jej z pensji za wszystkie zapakowane tego dnia babeczki, bo przecież na pewno są skażone — zupełnie tak jakby polizła każdą, pomyślała znudzona niekończącym się monologiem. Ostatecznie Pączyński zrezygnował z pomysłu, bo jego realizacja wymagałaby udania się do działu księgowości oraz wypełnienia całej sterty papierów, a tego naprawdę nie lubił.

Skoro tak się pieklił o byle bzdurę, Wiolka aż bała się pomyśleć, co będzie, jeśli majster nakryje ją na karygodnym spóźnieniu. Nie mogła do tego dopuścić. Zwolniła kroku, na paluszkach podeszła możliwie jak najbliżej szyby. Co dalej? — myślała gorączkowo. Przewroczyła to ona, Wioletka Koperek, z całą pewnością nie była, a akwarium szefa jakoś ominąć trzeba. Widziała tylko jedno wyjście z tej trudnej sytuacji... Westchnęła przeciągle i runęła na kolana. Na czworakach, w absolutnej ciszy, zaczęła pokonywać ostatnią przeszkodę na drodze do miejsca przeznaczenia. Kanciapa sięgała aż do rogu korytarza. Dziewczyna szybko doszła do końca ściany i kiedy właśnie miała wstawać, usłyszała szept. Zamarła w bezruchu.

— Ile za to chcesz? — zapytał głos należący do Antka Maczkowskiego.

— Pięć dych — odpowiedział ktoś, w kim Wioletka rozpoznała majstra, przed którym właśnie się ukrywała.

— Zapomnij pan! Przecież to zdzierstwo w biały dzień! — zbulwersował się Maczkowski.

— Jakie zdzierstwo? Turbina pierwsza klasa! Bierz albo zmiataj do roboty. Nie mam czasu na głupoty.

Ciekawość była silniejsza niż instynkt samozachowawczy. Dziewczyna, która jeszcze przed chwilą umierała z niepokoju, że nakryje ją czepialski szef, teraz zupełnie zapomniała o pierwotnym powodzie, dla którego znalazła się w mało wygodnej pozycji. Zamiast obmyślać plan ratowania własnej skóry, z zaciekawieniem przysłuchiwała się negocjacom. Ostrożnie wychyliła głowę zza rogu i łypnęła jednym okiem. Miała rację — jakieś dwa metry od niej stali sobie w najlepsze Pączyński z Maczkowskim, dokonując podejrzanej transakcji. Wprost nie można było sobie wymarzyć lepszego miejsca na szemrane interesy. W lampach nad ich głowami jakiś miesiąc temu przepaliły się trzy świetlówki, co dawało wygodne schronienie przed wścibskim wzrokiem pracowników hali produkcyjnej.

— Dam cztery i ani złotówki więcej. — Antek targował się, zupełnie niezrażony tym, że ma do czynienia z przełożonym.

— Pięć to moje ostatnie słowo. Dużo ryzykuję, mogę mieć kłopoty, jeśli wyjdzie na jaw, że to wziąłem. Ani mi się śni nadstawiać karku za kilka marnych groszy.

Rozległ się szelest reklamówki. Wiola trafnie domyśliła się, że to pewnie majster teatralnie pakuje do torby swoje dobro. Zupełnie jak na suku w Tunisie, pomyślała z uciechą. Jeszcze nigdy nie była zagranicą, tym bardziej w kraju oddalonym o trzy tysiące kilometrów od miejsca zamieszkania, ale widziała coś takiego w programie podróżniczym.

— Spokojnie, po co od razu tak nerwowo? Przecież jakoś się dogadamy — powiedział pojednawczo Antek. — Czterdzieści pięć, niech pan chociaż tego piątaka odpuści.

— Dobra, niech będzie. Bierz i znikaj mi z oczu, zanim się rozmyślę. Tylko schowaj to dobrze, żeby jakiegóż chryi nie było.

Na te słowa Wioletka wpadła w panikę. Cokolwiek miało miejsce przed chwilą, z całą pewnością zbliżało się do końca. Przeczuciwała, że lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby nikt się nie dowiedział, iż była świadkiem tej rozmowy. Trzeba wiać, pomyślała przytomnie, tylko gdzie? Wracać do szatni? Bez sensu.

W gabinecie majstra też się przecież nie ukryje. Droga na halę produkcyjną prowadziła obok konspiracyjnych mężczyzn — odpada. Zawsze jeszcze mogła tkwić na czworakach niczym idiotka, czekając na nie wiadomo co. Innych możliwości nie widziała. W czasie gdy Wiola rozważała, które z czterech równie beznadziejnych wyjść z sytuacji wybrać, z głośnika zawieszono pod sufitem rozległ się głos kadrowej:

— Panowie Pączyński, Maczkowski i pani Draceńska bezzwłocznie zgłoszą się do pokoju numer dziewięć.

Opatrzność najwidoczniej czuwała nad Wioletką, bo jak wiadomo, na wezwanie do kadr reaguje się natychmiast. Personalna nie należy do osób, którym warto się narażać. Wspomniany gabinet znajdował się za halą produkcyjną, więc nie było obawy, że spiskowcy wpadną na Koperek. Wiola uniosła ku górze oczy oraz złożone do modlitwy dłonie i bezgłośnie podziękowała Bogu za pomoc.

Z korytarza, na którym przed chwilą w najlepsze kwitł handel, teraz dochodziły odgłosy oddalających się w pośpiechu mężczyzn. Dziewczyna odczekała moment, czyli jakieś siedem sekund, bo dłużej nie wytrzymała, i wyrzała, czy droga jest wolna. Pączyński z Maczkowskim musieli chyba włączyć turbodoładowanie, bo było widać już tylko kontury ich pleców wśród mrowia maszyn, taśm, słodczy i pracowników.

Bez dodatkowych przygód Wioletka dopadła swojego stanowiska pracy, gdzie z przepaszającym uśmiechem na twarzy zastąpiła usłużną koleżankę, która wzięła na siebie pakowanie muffinek do pojemniczków. Praca zajmowała ręce, pozostawiając wolny umysł, który u panny Koperek tego dnia pracował na najwyższych obrotach. Do końca zmiany dziewczyna była pogrążona w rozmyśleniach, usilnie próbując zrozumieć znaczenie przypadkowo podpatrzonej sceny.

Nieobecność duchem Wioletki nie umknęła uwadze ogółu zebranych. Najpierw Laura musiała ją mocno potrząsnąć za ramię, żeby przypomnieć o trwającej od pięciu minut przerwie obiadowej. Później Koperek nie zauważyła, że zepsuła się maszyna, i niczego nieświadoma, namiętnie pakowała babeczki

pozbawione polewy czekoladowej. Pewnie robiłaby to aż do końca dnia pracy, gdyby nie spostrzegawcza sprzątaczką, która zatrzymała taśmę. Najbliżsi współpracownicy zerkali na zazwyczaj pogodną i rozmowną dziewczynę z lekkim niepokojem. Może ma jakieś kłopoty w domu albo się zakochała? — snuli domysły, próbując zrozumieć rzucające się w oczy roztargnienie lubianej przez wszystkich koleżanki.

Szczęśliwie i bez większych strat dla fabryki dwunastogodzinna zmiana Wioli dobiegła końca. Autobus odwiózł ją na przystanek zlokalizowany pod blokiem z trzydziestominutowym opóźnieniem. Odbywał się jakiś maraton, dlatego pozamykano drogi i wszędzie były objazdy. Zniecierpliwiona dziewczyna wpadła do mieszkania niczym burza. Szybko zrobiła sobie kubek odchudzającej czerwonej herbatki (jak głosił opis na opakowaniu), chwyciła z lodówki już nieco mniej dietetyczne pęto kiełbasy i suchą pszenną kajzerkę z chlebaka, a następnie zasiadła z notesem przy kuchennym stole.

Kryminalne zagadki od zawsze były jej konikiem. Teraz po raz pierwszy w życiu miała okazję, by samodzielnie takową rozwiązać. Nie była jeszcze pewna, co konkretnie się dzieje, ale z całą pewnością rozmowa, którą podsłuchiwała w pracy, nie pozostawiała wątpliwości, że coś jest na rzeczy. Szybko połączyła to również z wczorajszą wymianą między Antkiem a Tadkiem, która na tle dzisiejszych wydarzeń nie wydawała się tak niewinna, jak na początku wyglądało.

Wioletka aż piszczała z radości, oczyma wyobraźni widząc siebie odbierającą gratulacje z rąk dyrektora fabryki, ba, może nawet samego prezydenta miasta, za wielkie zasługi na rzecz przywracania prawa i porządku w lokalnej społeczności. Czuła się dobrze przygotowana do roli detektywa, a to dzięki całej tonie przeczytanych i obejrzanych kryminałów. Przeżywając niemąły kęs podwawelskiej, mimowolnie uśmiechnęła się w poczuciu triumfu nad rodzicami. Mama i tato już w czasach szkoły podstawowej kręcili nosem na marnotrawstwo czasu i energii na literaturę niskich lotów, którą wybierała ukochana córka. Niezrażona strofowaniem jedynaczka kontynuowała

obraną kurs, była bowiem przekonana, że całe godziny poświęcone na lekturę powieści kryminalnych kiedyś zaowocują. Ten czas właśnie nadszedł.

Niestety był jeden zgrzyt: niespecjalnie cieszyło ją to, że głównym bohaterem zagadki miał być Antek Maczkowski, człowiek sympatyczny i ze wszech miar koleżeński. Radosne przeżywanie siebie w roli śledczej przyćmił więc problem natury etycznej. Koperek czuła, że jest coś winna współpracownikowi za pomoc, której udzielił jej po stłuczce miesiąc temu. Oczywiście Wiola nie bardzo widziała własną winę w zdarzeniu drogowym z jej czynnym udziałem, bo kto przy zdrowych zmysłach ma czas patrzeć na skrzyżowaniu w prawą stronę, kiedy spieszy się do fryzjerki? Gdyby wiedziała, że babsko wyskoczy nieoczekiwanie tym wypucowanym volvo, z pewnością poświęciłaby sekundkę na zatrzymanie się na stopie. Usprawiedliwiała się jednak tym, że przecież nie jest wróżką, więc siłą rzeczy nie potrafiła przewidzieć przyszłości. Zresztą teraz to nie miało znaczenia — fiat 126p był zmasakrowany. Jego i tak już wcześniej nadgryziona zębem czasu karoseria prezentowała sobą obraz nędzy i rozpacz. Całe szczęście, że potwierdziła się mądrość taty, który zwykł mawiać: „Kiedyś to robili porządne samochody, nie to, co teraz”. Maluch odpalił i resztką sił, pozbawiony przedniej szyby oraz prawego lusterka, dotelepał się z prędkością pięciu kilometrów na godzinę do Maczkowskiego na podwórko oddalone o kilometr od feralnego skrzyżowania. Co zastanawiające, słowa ojca najwidoczniej nie obejmowały najnowszej wersji samochodu marki volvo, ponieważ jego właścicielka odjechała z miejsca wypadku jedynie z wgniecionym przednim błotnikiem, wyrazem zniesmaczenia na twarzy oraz z podpisanym oświadczeniem dla ubezpieczalni.

Uczynny kolega zgodził się garażować uszkodzone autko do czasu, kiedy Wioletka zdobędzie gotówkę potrzebną na jego naprawę. Myśląc o tym, co zupełnie bezinteresownie zrobił dla niej współpracownik, dziewczyna zastygła w bezruchu ze skuwką długopisu w ustach. Hm, a co, jeśli będzie musiała oddać go w ręce stróżów prawa? Przecież był dla niej zawsze taki

miły...

Ostatecznie zdecydowała się nie rezygnować ze śledztwa. Nie potrafiła sobie odmówić tej przyjemności. Strasznie ją kusiło, żeby chociaż ten jeden raz poczuć się jak prawdziwy detektyw. Pomyślała, że przecież zawsze może tylko wybadać sytuację, a jeśli okaże się, że jej dobroczyńca ma nieczyste sumienie, to wtedy po prostu zmusi go do zadośćuczynienia fabryce, a potem zamknie sprawę. Co więcej, po chwili uznała nawet, że lepiej będzie, jeśli ona się tym zajmie, niż miałyby to zrobić władze, bo wtedy o polubownym rozwiązaniu nie będzie mowy. Kto wie, może tylko dzięki niej kolega zachowa pracę i uchroni się przed karą.

Zdecydowała, że na początek trzeba uporządkować to, co wie, oraz opracować plan działania. Odgryzła spory kawałek bułki i zabrała się do pisania. Na pierwszej stronie nagryzmoła:

Miejsce sprawy: fabryka Słodziutka Babeczka

*Antek Maczkowski — główny podejrzany
Płaci za części i...*

No właśnie, i co? Zaczęła się zastanawiać. Czym mogło być błyszczące coś, które widziała koło toalet? Na diamenty za duże, do szkła niepodobne. O matko! Złapała się za głowę. Przecież to z pewnością części maszyn! Wyrwała kartkę i zaczęła od nowa.

Miejsce sprawy: fabryka Słodziutka Babeczka

*Antek Maczkowski — główny podejrzany
Skupuje części maszyn.*

Pytania: Komu je sprzedaje?

Zalecenia wobec podejrzanego: nie spuszczać z oczu

Po zapisaniu tych kilku zdań mocno się zadumała, marszcząc brwi. Upiła łyk herbaty i pokiwała głową. Następnie powoli i z namaszczeniem dopisała trzy wielkie wykrzykniki po „nie

spuszczając z oczu!!!". Miała przeczucie, że Antek jest mózgiem operacji i jeśli chce rozwiązać sprawę, to na nim musi skupić całą swoją uwagę.

Tadek Żakowski — też podejrzany, ale inaczej

Dostarcza części maszyn.

Pytania: Skąd je bierze?

Zalecenia wobec podejrzanego: dyskretnie obserwować

Eryk Pączyński — też podejrzany, ale inaczej

Dostarcza części maszyn.

Pytania: Skąd je bierze?

Zalecenia wobec podejrzanego: dyskretnie obserwować

Zadowolona z poczynionych notatek, z głośnym hukiem zamknęła brulion, dokończyła kolację i udała się na zasłużony odpoczynek. Następnego dnia miała wolne, ale próżnowanie zupełnie nie było jej w głowie. Postanowiła dobrze wykorzystać to, że nie idzie do pracy, i co nieco się doszkolić, dlatego z wybicciem na zegarze godziny dziesiątej nacisnęła klamkę drzwi pobliskiej biblioteki. Przez dłuższą chwilę skanowała wzrokiem półki w poszukiwaniu pozycji książkowych, które mogą się jej przydać w prowadzeniu śledztwa. Kiedy wychodziła z naręczem użytecznej literatury, była więcej niż pewna, że podoła wyznaczonemu zadaniu.

ROZDZIAŁ 3

Koperek narzuciła sobie duży rygor do czasu zakończenia dochodzenia: tylko praca i działania operacyjne zmierzające do zdemaskowania winnego. Absolutnie nie mogło być mowy o żadnym rozpraszaniu się towarzyskimi spotkaniami czy pogaduszkami przez telefon. Prosto z fabryki należało pędzić do domu, sporządzać notatki i czytać literaturę specjalistyczną.

Wiolka wprost nie mogła się doczekać, kiedy będzie jej kolejna zmiana. Do końca okresu wypowiedzenia zostały tylko trzy dni. Kiedy ubierała się w łazience, ze złością myślała o tym, jak mało pozostało jej czasu, podczas gdy tak wiele było do zrobienia, tyle niewiadomych, no i żadnych namacalnych dowodów popełnionego przestępstwa. Przez chwilę żałowała nawet, że odchodzi ze Słodziutkiej Babeczki, jednak kilka minut walki o zapięcie dżinsów ostudziło jej zapał, żeby kontynuować pracę w tej jaskini pokus.

Starcie Wioletka vs. przyciasne spodnie zakończyło się wygraną dziewczyny. Co prawda materiał wżynał jej się tu i ówdzie, o siadaniu nie mogło być mowy, ale guzik udało się wcisnąć do dziurki. Zwarta i gotowa Koperek popędziła w podskokach na autobus, a następnie niesiona niemalże na skrzydłach znalazła się przy stanowisku pracy na piętnaście minut przed wyznaczonym czasem. W kieszeni fartucha ukryła telefon komórkowy, którym planowała sfotografować Maczkowskiego podczas dokonywania transakcji.

Drogą dedukcji uznała, że niebudzący niczyich podejrzeń kolega trudni się skupem części do maszyn należących do fabryki. Idąc dalej tym tokiem myślenia, wniosek sam się nasuwał: kradzieżą na jego zlecenie zajmują się Żakowski, Pącyński i Bóg jeden wie kto jeszcze. Następnie zapewne Antek sprzedaje żelastwo z zyskiem, bo po co innego by mu ono było? Komu sprzedaje? Tego nie wiedziała — na razie.

Dziewczyna czekała na początek zmiany, stojąc tylko z pozoru bezcelowo obok dozownika z płynem do dezynfekcji rąk. Ludzie powoli zaczynali się schodzić. Dyskretnie rozglądała się na boki w nadziei, że uda jej się zobaczyć coś podejrzanego. Przewornie trzymała rękę w kieszeni, ściskając aparat telefoniczny.

Niestety dzień nie przyniósł postępów w śledztwie. Nie pomogło ani natrętne gapienie się na potencjalnych przestępców, ani podążanie krok w krok za Maczkowskim. Kiedy tylko śledzony współpracownik oddalał się ze stanowiska pracy, Wiola porzucała swoje zajęcie i pędziła za nim niczym wystrzelona z procy. Było to możliwe dzięki pomocy usłużnej sprzątaczk, pani Draceńskiej, która bez mrugnięcia okiem rzucała mop i spieszyła koleżance z pomocą. Oczywiście samozwańcza detektyw nie była taka głupia, żeby zdradzać prawdziwy powód wielokrotnej dezercji. Zamiast tego sprytnie wymawiała się niecierpiącą zwłoki potrzebą skorzystania z toalety.

Po trzecim razie pani Janeczka domyśliła się, że współpracownica musi mieć problem wstydlivej natury. Doświadczona życiowo dama nie zamierzała peszyć młodej panienki pytaniami wprost. Po chwili zastanowienia stwierdziła, że z pewnością chodzi o biegunkę.

Dobroduszna kobieta nie potrafiła pozostać obojętna na cierpienie bliźniego, dlatego kiedy Koperek wróciła z kolejnej wycieczki do WC, sprzątaczk ruszyła do swojej kanciapy. Wyjęła z apteczki listek węgla leczniczego i zaparzyła herbatkę z liści babki lancetowatej. Z przygotowanymi medykamentami bezzwłocznie wróciła do dziewczyny, dyskretnie wsunęła jej do kieszeni tabletki, do ręki wcisnęła kubek, rozejrzała się na boki, czy czasem ktoś nie podsłuchuje, i konspiracyjnie wyszeptwała:

— Weź cztery i popij tym. — Wskazała na wstępnie ostudzony napar.

— Ależ naprawdę nie trzeba... — wymamrotała Wioletka, której twarz przybrała kolor dojrzałego pomidora.

— Tu się nie ma czego wstydzić, moje dziecko. Każdy przynajmniej raz w życiu doświadczył rozwolnienia. Nie dalej niż tydzień temu sama miałam, to wiem, co przeżywasz. Pij, dziecko,

pij. Zobaczysz, to pomoże — zachęcała życzliwie Draceńska.

Dziewczyna była zmieszana. Wystarczyło, że zerknęła na nazwę leku, który sprzątaczką jej zaordynowała, żeby od razu odgadnąć, jaki był tok myślenia samarytanki. Nie bardzo miała ochotę raczyć się pigułkami, a na dokładkę popijać ziółka, skoro nic jej nie dolegało. Nie chciała jednak odmową sprawić przykrości pani Janeczce. Mogłaby oczywiście uniknąć całej tej sytuacji, uchylając rąbka tajemnicy w temacie prowadzonego śledztwa, ale to nie byłoby profesjonalne. Czuła, że jako detektyw musi trzymać język za zębami i poświęcić się w imię wyższej idei, dlatego powiedziała:

— Bardzo dziękuję. Pani jest złotą kobietą.

Wyłuskała cztery tabletki, wrzuciła je do ust i jednym haustem wypiała całą zawartość kubka.

— Na zdrowie, moje dziecko — odpowiedziała pani Janeczka, zadowolona ze swojego dobrego uczynku, po czym niespiesznie oddaliła się w kierunku stołówki.

Wieczorem Wioletka naszykowała długopis, dwa kolorowe markery i zasiadła do stołu, na którym leżał notatnik z zapiskami dotyczącymi śledztwa. Powoli otworzyła go na pustej stronie i z niezadowolaniem rysującym się na jej pulchnej twarzy napisała:

20 września

Postępy w śledztwie: brak

Nowi podejrzani: brak

Dowody: brak

Zalecenia:

1. dalsza obserwacja podejrzanych

2. przeprowadzenie wywiadu środowiskowego;

obiekt zainteresowania; Antoni Maczkowski

Dni pozostałe do końca śledztwa: 2 (21, 22 września)

Pomimo że wiele do zapisania nie było, to czynność zajęła jej dobre dwadzieścia pięć minut. Włożyła dużo wysiłku w to, żeby litery były równe, pismo staranne, a najważniejsze informacje zakreślone na zielono. Daty oznaczyła kolorem czerwonym (dla

uwypuklenia dramaturgii). Kto wie, komu mogą się przydać jej notatki dotyczące sprawy? Może pewnego dnia zostaną opublikowane w podręczniku dla śledczych? Rozdział w książce powinien zostać zatytułowany Pierwsze śledztwo znamienitej detektyw Wioletty Koperek, fantazjowała, wykrzywiając przy tym usta w mimowolnym uśmiechu. Z krainy marzeń do świata rzeczywistego wezwał ją gwizdek czajnika obwieszczający, że woda na herbatę się zagotowała.

Położyła się spać wcześniej niż zazwyczaj. Nazajutrz czekał ją dzień pełen działań operacyjnych, dlatego należało dobrze wypocząć.

Rankiem jak zawsze pełna optymizmu ochoczo potruczała do pracy. Niestety, spotkało ją duże rozczarowanie. Ledwie przekroczyła próg fabryki, a już wiedziała, że główny podejrzany wziął urlop na żądanie. Początkowo Wioletkę zalała fala złości, szybko jednak przywołała się do porządku. Co prawda tego dnia nie było szansy na złapanie złoczyńcy na gorącym uczynku, ale przecież na liście zaleceń jak wół widniał nie mniej ważny punkt — wywiad środowiskowy.

Zbieranie informacji postanowiła zacząć od najbliższego kolegi Antka — Janka. Ponieważ od potencjalnego źródła wiedzy o Maczkowskim pannę Koperek dzielił dystans dwustu metrów, zadanie nie było wykonalne w czasie, kiedy babeczki jechały na taśmie. W żaden sposób nie zniechęciło to Wioletki, która postanowiła złapać go na stołówce podczas przerwy obiadowej. Pomyślała, że to nawet lepiej, bo ma więcej czasu na przygotowanie się do przesłuchania.

O dwunastej wszyscy pracownicy bezzwłocznie przerwali wykonywane czynności, nie bacząc na to, na jakim są etapie procesu produkcyjnego. Wyłączyli maszyny i pospieszyli do kafeterii.

Dzięki refleksowi Wioletce udało się na ostatniej prostej wyprzedzić i podjąć współpracownika, który planował zająć ostatnie wolne krzesło obok Janka. Zgodnie z obmyślonym przez siebie planem dziewczyna zamierzała na początek poobserwować zebranych, a następnie sprytnie, nie budząc

nicznych podejrzeń, włączyć się do rozmowy, żeby po chwili inteligentnie wziąć Jana w krzyżowy ogień pytań na temat Maczkowskiego.

Ponieważ zazwyczaj Koperek jadła z koleżankami ze swojej linii, fakt, że zdecydowała się przysiąść do grupy fanów futbolu, wzbudził zainteresowanie współpracowników. Co chwilę ta czy inna osoba z zaciekawieniem, a nawet zdumieniem, zerknęła znad parującej zupy bądź kotleta z tłuczonymi ziemniakami i mizerią na przysłuchującą się rozmowie mężczyzn Wioletkę.

Początkowo sprawy nie toczyły się po myśli dziewczyny. Panowie z wielkim zaangażowaniem rozprawiali o meczu piłki nożnej, który — jak wynikało z dyskusji — miał miejsce wczoraj wieczorem i był szalenie pasjonujący. Wiolka o piłce nożnej wiedziała tylko tyle, że gra się skórzaną szmatą, za którą biega dwudziestu dwóch zgranych chłopca i usiłuje trafić nią do bramki przeciwnika. To nie wystarczało, rzecz jasna, żeby gładko włączyć się do rozmowy zagorzałych kibiców, pokrzykujących na siebie i kłócących się o to, czy w dwudziestej drugiej minucie spalony był czy może jednak go nie było. Nic to, pomyślała, trzeba być elastycznym. Nikt nie mówił, że praca detektywa jest łatwa.

— Jaki tam spalony! Faul jak nic! — wypaliła niespodziewanie.

Przy stoliku zapadła absolutna cisza. Wszystkie męskie oczy zwróciły się w kierunku niewiasty.

— Widziałas wczorajszy mecz? — zapytał Janek, przerywając niezręczne milczenie.

Koledzy patrzyli na nią z zaskoczeniem, oczekując odpowiedzi. I co teraz? — biła się z myślami. Skłamać, że tak? Wtedy trzeba się liczyć z pytaniami dotyczącymi tego meczu, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć, a co za tym idzie: wyjdzie na idiotkę. Powiedzieć, że nie, i też wyjść na idiotkę? A jeszcze upływający czas... Przez ich głupią dyskusję zmarnowała większość przerwy, zastanawiając się nad jakimś inteligentnym przerywnikiem. Za dziesięć minut rozejdą się do swojej pracy, a ona dowie się na interesujący ją temat, czyli działalności przestępczej Maczkowskiego, dokładnie nic. A co mi tam, pomyślała, po czym

odważnie powiedziała:

— Phi, jakiś tam głupi mecz! Lepiej powiedz, czemu Antka dzisiaj nie ma w robocie.

Zebrani wokół stołu automatycznie stracili zainteresowanie Wioletką i wrócili do przerwane go tematu. Janek czuł, że niegrzecznie byłoby do nich dołączyć, ignorując pytanie koleżanki, chociaż szczerze mówiąc, miał na to wielką ochotę.

— Wziął dzień na żądanie. Rano zadzwonił do mnie, coś mu wyskoczyło. Prosił, żebym przekazał majstrowi, że go nie będzie — odpowiedział uprzejmie.

— Ojej... Mam nadzieję, że nie stało się nic złego! Powiedział ci coś więcej? — zapytała, natrętnie wpatrując się w Jana w nadziei, że wyczyta z jego twarzy informację o przełomowym znaczeniu dla śledztwa.

— Wioletka, naprawdę nic nie wiem. — Kolega przepraszająco rozłożył ręce. — A w ogóle czemu cię to tak interesuje? — odbił pytanie.

— Nie, nic, tak tylko pytam z ciekawości. — Speszzyła się. — A co u ciebie?

— Dobrze, dzieciaki zdrowe, do szkoły nie chcą chodzić, ale w ich wieku to normalne. Mówię ci, Wioletka, z nastolatkami idzie oszaleć. Jednego dnia są takimi słodziutkimi pulchnymi bobaskami, biegają za tobą, mówią „tato, kocham cię”, a następnego budzisz się i nie możesz uwierzyć, że czas tak szybko leci.

Aż do końca przerwy mężczyzna opowiadał jej o dzieciach, żonie, działce, postępującej inflacji i ogólnie o życiu. W tym czasie Wioletka uśmiechała się ładnie, ale jej myśli błądziły wokół nieobecności dotychczas zawsze sumiennego Maczkowskiego. Coś jej w tym wszystkim nie grało. I to drgnięcie mięśnia koło prawego oka Janka (niewielkie, ale jednak wyraźnie je dostrzegła!), kiedy mówił, że nie wie, dlaczego kolegi nie ma w pracy. Była bardziej niż pewna, że ją okłamał. Tylko dlaczego? Nagle doznała olśnienia. Pani Bożenka! Jasne! Że też wcześniej na to nie wpadłam, zrugła się. Któż lepiej wiedział WSZYSTKO, a nawet więcej niż wszystko o pracownikach Słodziutkiej Babeczki

niż prawa ręka dyrektora?

Na oko pięćdziesięciopięcioletnia pani Bożena pracowała w fabryce od dnia jej otwarcia. Nie tylko posiadała informacje formalne i nieformalne dotyczące działalności firmy oraz zatrudnionych w niej osób, ale również chętnie się nimi dzieliła. Kto tylko miał wolną chwilę i lubił poplotkować, zachodził do sekretarki na niezobowiązującą kawkę. Dzięki temu zarówno prawdziwe, jak i wyssane z palca nowinki rozprzestrzeniały się w zatrważającym tempie.

Panna Koperek z niecierpliwości przestępowała z nogi na nogę, wyczekując właściwego momentu, kiedy uda jej się wyrwać chociaż na krótką chwilę do źródła wiedzy wszelakiej. Nie zamierzała jednak ryzykować zatwardzenia, prosząc znów o pomoc Draceńską. Po raz pierwszy w życiu szczerze żałowała, że nie pali papierosów, bo miałyby doskonałą okazję do oddalenia się ze stanowiska bez wzbudzania podejrzeń, w tym tych dotyczących funkcjonowania jej układu pokarmowego. Tak, zdecydowanie musi w wolnej chwili rozważyć rzucenie się w sidła nikotynowego nałogu, pomyślała, przekonana o własnej błyskotliwości.

Niestety okazja do opuszczenia taśmy nie nadarzyła się, dlatego dziewczyna odczekała do przerwy o czternastej pięćdziesiąt, po czym ruszyła truchtem w kierunku gabinetu dyrektora. Delikatnie zapukała do drzwi, a w odpowiedzi usłyszała zapraszające:

— Wejść!

Energicznie przekroczyła próg i w tej samej sekundzie w jej nozdrza uderzył okropny smród. Dyskretnie rozejrzała się w poszukiwaniu jego źródła. Za eleganckim mahoniowym biurkiem stylizowanym na kolonialne siedziała pani Bożenka. Przed nią leżał równo ułożony stos papierzysk, osiągający orientacyjnie wysokość dziesięciu centymetrów. Na tak zbudowanym postumencie sekretarka trzymała dłoń, z rozmachem malując paznokcie lakierem koloru oberżyny. Najwidoczniej mazidło nie było najwyższej klasy, ponieważ wypełniająca pomieszczenie woń przywodziła na myśl bardziej zmywacz do paznokci niż

lakier.

— Ładny kolor, nieprawdaż? — zapytała kobieta, wyciągając w kierunku przybyłej rękę z rozcapierzonymi palcami.

— Ładny — przytaknęła Wioletka, starając się nie zemdleć.

— Kupiłam na ryneczku u Ruskich za dwójkę! Nie mogłam przepuścić takiej okazji, więc wzięłam od razu cztery. Kochaniutka, co tak stoisz? Siadaj — zaleciła, wskazując krzesło z drugiej strony biurka. — Co cię do mnie sprowadza, złotko?

Wiola, która powoli zaczynała odczuwać skutki wchłaniania oparów mazidła, ciężko opadła na drewniane siedzisko. Natychmiast jednak pożałowała swojego kroku, ponieważ im bliżej źródła skażenia, tym trudniej było wytrzymać. Zaczęły jej łzawić oczy, zakręciło się w głowie. Jak to możliwe, że pani Bożenka spokojnie maluje paznokcie, niczego nie czując? — dziwiła się ofiara przemysłu kosmetycznego zza wschodniej granicy.

— Przyszłam zapytać, co u pani słyhać, i pożegnać się. To mój przedostatni dzień w fabryce — wymyśliła na poczekaniu.

— No tak, odchodzisz. Wielka szkoda, jesteś taką miłą dziewczyną. Będzie nam ciebie brakowało, kochaniutka. A co u mnie? Sama widzisz. — Wskazała na zgromadzoną przed nią stertę makulatury. — Dużo pracy, ale nic nie poradzisz, lepsze to niż bezrobocie.

— W sumie racja — przytaknęła Wiolka. — A właśnie, mówiąc o pracy, widziałam, że Maczkowskiego dzisiaj nie ma. Ciekawe, o co może chodzić. Mam nadzieję, że nic się nie stało — trochę niezręcznie sprowadziła rozmowę na interesujący ją temat. Jednak wobec braku postępów śledztwa oraz zaburzającego jasność myślenia smrodu nie była w stanie wykrzesać z siebie niczego bardziej błyskotliwego.

Szukająca taniej sensacji prawa ręka dyrektora nachyliła się w stronę gościa i wyszeptała, raz po raz zerkając na drzwi gabinetu przełożonego:

— Też słyszałam, że go nie ma. Powiem ci, złociutka, że to chyba pierwszy raz, kiedy nie przyszedł do pracy bez co najmniej tygodniowego uprzedzenia! A pamiętaj, że pracuje u nas od

matury, razem zaczynaliśmy tu, w fabryce, kiedy ją otwierali. Kto jak kto, ale Antoni nigdy nie narażał się personalnej, a przecież wszyscy wiemy, że dzień na żądanie nie podoba się władzy. Majster musiał na cito szukać na jego miejsce zastępstwa, bo inaczej cała trzecia linia miałaby przestój — kontynuowała wywód podeksytowana sekretarka. — On to pilnuje pracy. Ma dwoje dzieci, jedno studiuje, drugie w liceum. A żona? Ile ona zarobi u konkurencji? Na dokładkę jeszcze mieszkają u nich teściowie. Wykarm, ubierz wszystkich z niskich pensji. Ja mu się nie dziwię, że uważa na każdy ruch. Jakby go zwolnili, oj, nie byłoby za wesoło w domu Maczkowskich!

— Faktycznie, nieciekawie — przyznała Wioletka ze smutkiem w głosie. — Teraz tak sobie pomyślałam, że nic o nim nie wiem. — Dziewczynie zrobiło się szkoda kolegi.

W obliczu takich trudności życiowych rozumiało było, że ojciec rodziny szuka pieniędzy, gdzie popadnie. Koperek poczyniła wewnętrzną refleksję, że bieda czasami nawet uczciwego może sprowadzić na ścieżkę przestępstwa.

— Ej, aniołeczku, rozchmurz się! — powiedziała pani Bożenka na widok niewyraźnej miny koleżanki. — Zdradzę ci w tajemnicy, że chyba ostatnio poprawiło się u nich finansowo.

— Skąd pani wie?

— Sama widziałam. W zeszłym tygodniu spotkałam go, gdy wchodziłam do pracy, a on wychodził. Mówię ci, odstawił się jak stróż w Boże Ciało: eleganckie spodnie zaprasowane w kant ostry jak brzytwa, do tego lakierki na wysoki połysk. A wszystko nowiutkie, od razu widać, że drogie. Dior jakiś czy inny Armani.

— Może dostał od kogoś.

— Poczekaj, to nie wszystko! W poniedziałek, kiedy podlewałam kwiatki na parapecie, widziałam Maczkowskiego, gdy przyjechał, nie uwierzysz czym... — Zrobiła pauzę dla podniesienia napięcia, a następnie dokończyła podeksytowanym głosem: — Skuterem! Piękny, lśniący, niemalże pachniał nowością. Taki czerwony, pierdziało toto na całe podwórko — powiedziała kobieta zadowolona z poczynionej przez siebie obserwacji. — Złociutka, a co ty tak przygasaś?

Może się przeziębiałaś? Na pewno winne są te przeciągi. Drzwi i okna na całej hali pootwierane, a przecież mamy wrzesień! Komuś się lato z jesienią pomyliło. Nim się obejrzymy, pół hali polecą na L4.

— Nie, nie, nic mi nie jest. To chyba tylko od tego lakieru, a pani nic nie czuje? — Dziewczyna szybko zmieniła temat.

— No pewnie, że czuję, co mam nie czuć — sekretarka uśmiechnęła się szeroko — ale powiem ci, że warto trochę pocierpieć dla piękności. Jeśli pomaluję ruskim, to się trzyma dwa tygodnie, a te sklepowe za chwilę odpryskują — dokończyła, po czym zerknęła na zegarek. — Już piętnasta! Słoneczko, miło się rozmawiało, ale muszę lecieć. Korzystając z okazji, życzę ci wszystkiego dobrego, na pewno zaraz znajdziesz nowe zatrudnienie.

— O matko, przecież przerwa mi się skończyła! — Koperek skoczyła na równe nogi i zupełnie zapominając o pożegnaniu, pogalopowała z powrotem do pracy.

— Ech... — westchnęła rozczarowana kobieta, która miała w planie słusznie wyściskać młodą koleżankę. Niestety, zanim udało jej się wydostać zza gigantycznego biurka, Wiola zdążyła wybiec. Trudno, i tak niedługo nadarzy się okazja, żeby należycie pożegnać tę miłą dziewczynę, pomyślała i zaczęła nieporadnie zgarniać ręką rzeczy do torebki. Czyniła przy tym duży wysiłek, żeby nie zetrzeć mokrego lakieru na paznokciach.

Wracając z pracy, Wioletka zrobiła w pobliskim spożywczaku niewielkie zakupy, brakowało jej produktów pierwszej potrzeby, jak mleko, chleb czy masło. Śledztwo śledztwem, ale przecież jeść trzeba. Dziewczyna ociągała się w sklepie tak długo, jak tylko mogła. Najpierw grzebała w skrzynce z jabłkami, potem macała przez folię wszystkie bochenki chleba, a na koniec oglądała pod światło butelki z mlekiem. Nietypowe zachowanie klientki zmobilizowało sprzedawczynię do bacznej obserwacji. Pewnie złodziejka, pomyślała, nie spuszczając z oka dziewczyny ubranej w przyciasne dżinsy i sweter w trudnym do określenia kolorze.

Wiola, odprowadzona do samego progu wzrokiem przez ekspedientkę, prosto ze sklepu udała się spacerkiem do domu.

Kusiło ją, żeby zająć chociaż na krótką chwilę do przyjaciółki na ploteczki, ale przecież obowiązki wzywały...

Wieczorem zasiadła przy kuchennym stole z zeszytem. Jednak zamiast zabrać się do sporządzenia notatki, wyrzała przez okno. Starła się bowiem możliwie jak najbardziej odsunąć w czasie moment, kiedy naniesie na papier pozyskane tego dnia informacje, w oczywisty sposób obciążające Antoniego. Miała nieuzasadnione niczym poczucie, że dokonanie zapisu będzie równoznaczne z ostatecznym i nieodwracalnym skazaniem Maczkowskiego. Trudno jej było pogodzić się z faktem, że kolega jest naprawdę winny. Cała ekscytacja związana ze śledztwem oraz sobą w roli detektywa gdzieś wyparowała. Wiola szczerze żałowała, że w ogóle dowiedziała się o przestępstwie, jednak ze smutkiem musiała przyznać, że teraz nie było już odwrotu. Maszyna śledcza została wprawiona w ruch. Czasu nie da się cofnąć.

Siedząc tak niczym sędzia przed wygłoszeniem wyroku, od niechcenia zerknęła na trzy emerytki okupujące osiedlową ławeczkę. Starsze panie debatowały na jakiś temat, żywo gestykulując. Po dłuższej chwili dziewczyna przeniosła wzrok na czteropiętrowiec ustawiony dokładnie vis-à-vis jej bloku.

Nieraz zastanawiała się, dlaczego budowano je w taki sposób, że bez trudu można było podglądać codzienne życie obywateli zajmujących lokale naprzeciwko. Człowiek czuł się niczym antropolog badający plemiona w ich naturalnych warunkach (zupełnie zapominając, że jednocześnie sam jest obiektem obserwacji). Kto wie, może był to ukłon w kierunku cierpiących na wojeryzm? A może próba budowania poczucia wspólnoty wśród mieszkańców osiedla, którzy mogli się niemalże poczuć niczym członkowie rodzin z budynków po drugiej stronie? Wystarczyło wyjrzeć przez okno, żeby przenieść się do Dzikowskich z pierwszej klatki na trzecim piętrze, Żukowskiej z czwartego czy Roczniowskiej na parterze. Budowle z wielkiej płyty były ustawione w niewielkiej odległości. Dzieliły je tylko dwa chodniki oraz skąpy pas zieleni, obsadzony garstką rachitycznych drzewek o trudnej do określenia przynależności

gatunkowej.

Panna Koperek jako mieszkanka pierwszej klatki schodowej na ostatnim piętrze w szczycie miała najlepszy widok na analogiczną część bloku numer sto dziewięćdziesiąt osiem, ustawionego po przeciwległej stronie skweru. Z przyzwyczajenia najczęściej zerknęła w okna naprzeciwko, które należały do około dwudziestoletniej szczupłej brunetki. Ponieważ niefrasobliwe dziewczę nigdy nie używało zasłon, dostęp do jej mieszkania dla wścibskich oczu sąsiadów był praktycznie nieograniczony. Tego wieczora obiekt obserwacji szły na maszynie, zwrócony twarzą do Wioletki.

M3 poniżej zajmowała energiczna emerytka, amatorka ławeczkowych pogaduszek, której znakiem rozpoznawczym był przeciągły pisk nienaoliwionych kółek zakupowego wózka w szkocką kratę. W jej mieszkaniu nie świeciło się światło. Wiola skojarzyła, że widziała starszą panią przed chwilą wśród kobiet prowadzących dysputę na łonie osiedlowej natury.

Na pierwszym i drugim piętrze szczerze zasłonięto okna. Te lokale, jak nieśmiało szeptano na osiedlu, zajmowały „podejrzanego indywidua”. Górna kondygnacja należała do małżeństwa Ząbkowskich (seniorów rodu), dolna do ich syna z żoną i trójką szkrabów. Kto żyw i w pełni władz umysłowych, wolał nie zaczynać z Ząbkowskimi. Fama głosiła, że jest to lud mściwy i okrutny, który nie toleruje nawet najmniejszego zainteresowania sobą. Wystarczyło jednak traktować ich jak powietrze, a stanowili przykład sąsiadów doskonałych. Czym się zajmowali? Nikt nie miał pojęcia. Miewali niewielu gości, z domu wychodzili rzadko, zachowywali się cicho, a w oknach założyli rolety przeciwwłamaniowe, które opuszczali z chwilą zapadnięcia zmroku. To tyle w zakresie wiedzy o państwie Ząbkowskich, co wydawało się tym dziwniejsze, że w blokach o grubości ścian nieprzekraczającej kilkunastu centymetrów, choćby nawet bardzo się starać, trudno nie słyszeć życia rodzinnego współmieszkańców. Z niewiadomych przyczyn Ząbkowskim się to udawało.

Ostatni lokal usytuowany po prawej stronie klatki schodowej

stał pusty od niepamiętnych czasów.

Dziewczyna podniosła się zza stołu, wyjęła z lodówki jabłko i wgryzła się w nie niechętnie. Zjadła mięsiste lobo jakoś bez apetytu, po czym znów zasiadła do pisania. Otworzyła zeszyt, popatrzyła na niemal puste strony i ponownie wyjrzała przez okno. Tym razem skupiła swoją uwagę na drugiej części klatki schodowej budynku sto dziewięćdziesiąt osiem.

Na czwartym piętrze naprzeciwko okna wisiał na ścianie stale włączony telewizor monstrualnych rozmiarów. W ciągu dnia leciały bajki, wieczorami wiadomości, w nocy filmy. Wioletka, która nie posiadała odbiornika TV, lubiła od czasu do czasu zerknąć na ekran do sąsiadów. Tym razem oglądali jakiś film sensacyjny. Obrazy migały niczym oszalałe, panowie z karabinami biegali w tę i we w tę bez opamiętania. Na kanapie pod oknem siedziały dwie głowy, damska i męska, które śledziły fabułę. Koperek wiedziała o rzeczonych głowach w zasadzie jedynie to, że z całą pewnością należały do zagorzałych fanów kinematografii. Po upływie niedługiego czasu znudziło jej się gapienie w szklane pudło, szczególnie że nie słyszała, co mówią bohaterzy nawalanki. Przeniosła się wzrokiem piętro niżej.

U Dzikowskich jak zawsze ciemno. Pewnie są w pracy, pomyślała o zazwyczaj nieobecny małżeństwie, z własnej woli złapanym w sidła korporacyjnego świata. W przeciwieństwie do obecnie zdecydowanej większości pracowników tego typu instytucji nie udało im się zachować równowagi pomiędzy życiem prywatnym a zawodowym. W zasadzie jedynym napięciem, jakie pojawiało się w ich relacjach z mieszkańcami bloku, było to, że pan domu zwykł majsterkować w każdej wolnej chwili, nie zważając na godzinę. Dlaczego tacy bogacze, powszechnie szanowani prezesi z pięcioma dorodnymi córkami, wybrali żywot w czteropokojowej klitce w raczej mało prestiżowym bloku? Prawdziwa zagwozdzka dla ciekawskich sąsiadów.

Na drugim też ciemno. Ten to ma dobrze! Nie dość, że podróżuje, to jeszcze mu za to płacą... — pozazdrościła reporterowi magazynu dla globtroterów.

Zdecydowanie ciekawiej było na pierwszym, gdzie w świetle żyrandola rozświetlającego pomieszczenie ośmioma żarówkami o mocy sześćdziesięciu watów kręcili się młody mężczyzna i kobieta w średnim wieku. Nawet bez fonii nietrudno było się domyślić, że w mieszkaniu trwa zacięta dyskusja. Nie stanowiło to niczego nadzwyczajnego w przypadku młodego Budynia i jego matki. Wioletka знаła chłopaka od czasów szkoły podstawowej, przez kilka miesięcy siedzieli nawet w jednej ławce. Już wtedy szacowna rodzicielka z ukochanym jedynakiem toczyli spory. Z czasem stały się one bardziej wyrafinowane, a stronom zdarzało się używać słów, które zwykło się uważać za niecenzuralne. Nie umniejszało to jednak wzajemnej miłości i szacunku, jakie matka i syn do siebie bezsprzecznie żywili. Koperek przyglądała się z zainteresowaniem tej barwnej scenie. Nieoczekiwanie spojrzenia Wioletki i mężczyzny spotkały się. Wścibska sąsiadka spłonęła rumieńcem. Pani Budyń, najprawdopodobniej zaskoczona nieoczekiwanym brakiem zaangażowania potomka w scysję, podążyła wzrokiem za tym, na co patrzył. Nie potrzebowała więcej, żeby trafnie odgadnąć przyczynę rozproszenia jego uwagi. W odpowiedzi uniosła do góry prawą dłoń i pogroziła dziewczynie palcem, a następnie teatralnym gestem zaciągnęła story. Ale wstyd! — pomyślała Wiolka. Energicznie uniosła przyciężkie ciało i opuściła u siebie roletę. Odsuwając myśli o popełnionym nietakcie, bez dłuższewłoki pstryknęła przycisk na długopisie i zanotowała:

21 września

Postępy w śledztwie: Antoni Maczkowski jest winny zarzucanego mu czynu. Z działalności przestępczej czerpie wymierne korzyści finansowe.

Nowi podejrzani: brak

Dowody: brak dowodów rzeczowych, są jednak zeznania świadka (patrz niżej)

Świadcowie: p. Bożenka

Zalecenia:

1. dalsza obserwacja głównego podejrzanego

2. dowiedzieć się, czy świadek będzie zeznawał w sądzie
 3. rozważyć możliwość bezpośredniej konfrontacji z podejrzanym
- Inne: Czy Jan kryje winnego?
Dni pozostałe do końca śledztwa: 1 (22 września)

ROZDZIAŁ 4

To był ostatni dzień pracy Wioletki w fabryce, dziewczyna jednak zupełnie nie potrafiła się z tego cieszyć. Przygnębiał ją brak namacalnego dowodu rzeczowego, który mogłaby wykorzystać w konfrontacji z podejrzanym. Bo niby jak bez tego namówić go do porzucenia działalności przestępczej i zadośćuczynienia poszkodowanej firmie? Przecież facet ją wyśmieję, kiedy wymieni mu same poszlaki i domysły. Większość nocy biła się z myślami. Ostatecznie, kiedy zaczynało świtać, postanowiła nie oddawać Maczkowskiego w ręce policji. Uznała, że nie może pozwolić, żeby taki dobry człowiek zgnił w więzieniu. Podjęła trudną, choć w jej mniemaniu jedyną słuszną decyzję — zamknie sprawę bez rozwiązania. Zeszyt z notatkami przed pracą puściła z dymem nad palnikiem gazowym w kuchni, żeby zatrzeć dowody. Jeśli przełożeni zauważą, co się dzieje tuż pod ich nosem i będą szukali winnego, niech chociaż ma poczucie, że nie wydała kolegi.

Przez cały dzień współpracownicy podchodzili do koleżanki, wylewnie żegnali się z nią, zapewniali o smutku, z jakim przyjmują jej rezygnację, ze łzami w oczach ściskając i całując dziewczę. Te wyrazy sympatii Wioletka przyjmowała z uśmiechem na twarzy, ale jej myśli były zajęte czymś zupełnie innym. Maczkowski jak na złość dziś co chwilę przechodził obok jej stanowiska pracy. Za każdym razem Koperek mimowolnie się krzywiła. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie rzucić w niego babeczką. Chętnie zobaczyłaby rozmaślonę ciastko na jego facjacie.

Chwilę przed końcem zmiany zachciało jej się pić. Poprosiła koleżankę o zastępstwo i poczłapała do kafeterii. Pechowo zza rogu wyłonił się nie kto inny, a Antoni. Chcąc uniknąć spotkania, wskoczyła do damskiej toalety, gdzie zamierzała poczekać, aż mężczyzna pójdzie sobie w cholerę. Z uchem przyklejonym do

drzwi nasłuchiwała kroków. Wielkie było jej zaskoczenie, kiedy zamiast stukania obuwia o podłogę rozległ się przytłumiony głos zdyszanej pani Draceńskiej:

— Antoś, jak dobrze, że cię złapałam.

— Pani Janeczko, gdzie się pani tak spieszy? — zapytał Maczkowski.

— Biegam po całej fabryce za tobą niczym szalona, szukałam cię chyba wszędzie. Nawet jak cię znalazłam, stałeś z ludźmi i nijak było podejść. Tadzio przysłał mnie z pieniędzmi. Mam nadzieję, że będziemy kwita. Ja wszystko wiem, nic mi nie musisz mówić. Żelastwo drogie jak jasny gwint. Tu masz zgodnie z umową dwadzieścia złotych.

— Pani Janeczko, dwadzieścia pięć, jeśli mam być precyzyjny — powiedział przeproszającym głosem.

— Ojeczku, dwadzieścia pięć? — zmartwiła się kobieta. — Tadzio musiał mnie wprowadzić w błąd. Zaraz polecę i przyniosę tego brakującego piąta.

— Niech pani da spokój i nie idzie. Dwadzieścia też może być.

— A mowy nie ma! Ma być dwadzieścia pięć, będzie dwadzieścia pięć!

— Skoro pani nalega...

Długo się nie opierał, pomyślała złośliwie Wioletka, ukryta w toalecie.

— Ktoś idzie — powiedziała jakby z przestraczem w głosie pani Janeczka. — Synku, znajdę cię później.

— Dobrze — odpowiedział.

Panna Koperek usłyszała dźwięk oddalających się w pośpiechu kroków. O co mogło chodzić? — zastanawiała się intensywnie. Matko Boska, czy Maczkowski wciągnął do swoich szemranych interesów biedną panią Draceńską? Wiolka jęknęła na samą myśl o tym. Tylko jeśli tak, czemu sprzątaczką dawała mu pieniądze, a nie części? Coś wspomniała o żelastwie, co to mogło znaczyć? Zaraz, zaraz, pani Janeczka powiedziała, że przysłał ją Tadek. O nie! Pewnie wykorzystują tę niewinną kobietę w roli pośrednika. Tak to nie będzie, niech ja się tylko rozmówię z tym przebrzydłym złodziejem! W dziewczynę wstąpiła nowa energia,

jednak jej rozważania zostały nagle przerwane. Zupełnie nieoczekiwanie drzwi, o które się opierała całym ciężarem ciała, otworzyły się, a do toalety weszła księgowa. Wioletta mocno wczepiła palce w framugę, dzięki czemu nie upadła jak długa na podłogę.

— Dziewczyno, co ty tutaj robisz?! — ryknęła kobieta.

— Siku — odpowiedziała przytomnie.

— Pod drzwiami i to jeszcze w toalecie dla pracowników biura? I ja mam ci uwierzyć? — drążyło niesympatyczne babsko.

— Nie pod drzwiami, tylko do klozetu.

— Więc chyba już zrobiłaś, nie stój tutaj jak ten parasol, tylko zasuway do pracy! Myślisz, że skoro dzisiaj jesteś ostatni dzień, to możesz się włóczyć bez celu po całej fabryce?

Koperek nic nie odpowiedziała, odwróciła się na pięcie i dostojnym krokiem pomaszerowała w kierunku hali produkcyjnej.

Z wybiciem godziny obwieszczającej koniec zmiany pracownicy rzucili się do szatni. Samozwańcza detektyw dopóty przepychała się przez tłum, dopóki nie dopadła Maczkowskiego. Silnie złapała mężczyznę z tyłu za ramię i groźnie przemówiła:

— Antoni, poczekaj.

Kolega zatrzymał się i odwrócił głowę.

— Wioletka, spiesz się, co tam? — zapytał, z niecierpliwości nie mogąc spokojnie ustać w miejscu.

— Musimy porozmawiać — powiedziała stanowczo, a dla podkreślenia powagi sytuacji groźnie zmarszczyła brwi.

— Słuchaj, nie ma problemu, ale nie teraz. Spiesz się. Mam coś do załatwienia.

— To ważne.

— Podjedź do mnie jutro o dwudziestej, wtedy na spokojnie porozmawiamy, ale teraz naprawdę muszę lecieć. Adres znasz — wyrzucił z siebie Antoni jednym tchem, z dziwnie rozbieganym wzrokiem, i zdematerializował się za drzwiami męskiej przebieralni, zostawiając koleżankę z rozdziawioną buzią na środku korytarza.

Zanim odzyskała zdolność jasnego myślenia, współpracownicy

zniknęła jej z oczu. Dziewczyna ruszyła powoli w ostatnią sentymentalną podróż po hali produkcyjnej. Puste stanowiska pracy, nieruchoma taśma, szczelnie zapakowane pudła... Zupełnie odmienne od tętniącej życiem fabryki w czasie zmiany. Po chwili kontemplacji ekspresownica udała się do opustoszałej szatni, gdzie po raz ostatni przebrała się, niedbale upchnęła w reklamówkach rzeczy z szafki i noga za nogą powlokła się na autobus.

Kiedy wysiadała na przystanku pod blokiem, olśniło ją, że samotna wyprawa do domu potencjalnego złoczyńcy (dodatkowo późnym wieczorem!) może być niebezpieczna. A jeśli Maczkowski domyślił się, że ona o wszystkim wie? Przecież nigdy wcześniej jej do siebie nie zapraszał. I ten pośpiech, że niby nie ma czasu zamienić dwóch zdań — hm... mocno podejrzanę, przytomnie oceniła sytuację Wiola. Dla dotlenienia umysłu przysiadła na minutkę na ławeczce, która ku jej zaskoczeniu nie była zajęta przez emerytki.

— Cześć, Wioletka, a co tutaj tak pusto? — zapytała wysoka szatynka i nie czekając na zaproszenie, usadowiła się obok.

— Zużka! — Ucieszyła się. — Faktycznie, pusto. Normalnie igły nie wciśniesz, a dzisiaj proszę, pełna swoboda w doborze miejsca wypoczynku. Pewnie na jedynce leci *Moda na sukces* albo *Klan* — stwierdziła. — Dziewczyno, z nieba mi spadasz!

— Patrzcie państwo, Wioletta Koperek potrafi docenić nieoczekiwane pojawienie się najlepszej przyjaciółki. Miłe, nie powiem, ale szósty zmysł mi podpowiada, że tym razem niekoniecznie bezinteresownie — zażartowała przybyła.

— Jest wielka sprawa, ale to tajemnica, więc musisz trzymać język za zębami.

— Jeśli masz do przekazania informację top secret, może wybierz lepsze miejsce na zwierzenia? Tutaj nawet podczas *Mody na sukces* czujne sąsiedzkie ucho czuwa.

Obie odruchowo zerknęły w uchylone okno jednego z mieszkań na parterze, w którym z pewnością zupełnie przypadkowo akurat w tym momencie poruszyła się firanka.

— Racja, chodźmy do mnie. — Wiolka wstała, chwyciła swoje

torby i ruszyła w kierunku klatki schodowej. Rozbawiona Zuzanna podążyła za przyjaciółką.

Przy filiżance zielonej kawy (dobra dla metabolizmu) przejęta była pracownica Słodziutkiej Babeczki opowiedziała w skrócie o poczynionych odkryciach.

— Jesteś tego pewna?

— Niestety tak. Chciałam odpuścić, niech się dzieje, co chce, ale ze względu na panią Janeczkę nie mogę udawać, że o niczym nie wiem. Może wszystko da się jeszcze polubownie załatwić? Tylko kto wie, czy kiedy do niego pojedę, nie przyłoży mi łopatą i nikt się nawet nie dowie, gdzie szukać moich zwłok.

— Wiolka, na litość boską, co ty wymyślasz? Nawet jeśli faktycznie kradnie z fabryki, w co szczerze wątpię, to przecież nie znaczy, że jest mordercą! Oszalałaś, dziewczyno!

— Co ty możesz wiedzieć o ludzkiej naturze? Ja też myślałam, że Antek zalicza się do porządnych ludzi, a tu proszę: złodziej! Nie wiadomo, co takiemu strzeli do głowy, jeśli poczuje się zagrożony. Dół raz-dwa wykopie i po kłopotcie.

— Z całym szacunkiem dla ciebie, ale jak ty sobie wyobrażasz wleczenie po ulicy ciała ważącego — koleżanka na chwilę zamilkła i zmierzyla Wioletkę wzrokiem — osiemdziesiąt kilogramów?

— O, wypraszam sobie! Jakie osiemdziesiąt? Siedemdziesiąt osiem i osiemdziesiąt pięć deko! A poza tym nie żadne „wlekle po ulicy”, on mieszka w zaułku osłoniętym od drogi drzewami i ma wielkie podwórze. Takich Wioletek jak ja zmieściłoby się tam z pięćdziesiąt albo i lepiej. Ale dobrze, jeśli nie chcesz mi pomóc, bez łaski. — Naburmuszona założyła rękę na rękę.

— Nie no, nie obrażaj się. Słuchaj, może zrobimy tak: pojedę z tobą, ukryję się w krzakach i będę obserwowała. Jeśli coś zacznie się dziać, wyskoczę z zarośli i ruszę na ratunek.

— Nie bądź głupia! Nie na ratunek, tylko rób zdjęcia. Potrzebujemy twardych dowodów.

Do późnych godzin nocnych dziewczęta omawiały sposób ujęcia sprawcy. Kiedy następnego dnia Zuzia przyjechała swoim rozklekotanym autem po Wiołę, ta od dwudziestu minut

nerwowo przemierzała chodnik w tę i z powrotem.

— Spóźniłaś się — warknęła.

— Całe dwie minuty, podaj mnie do sądu — zażartowała Zuźka, zerkając na zegarek. — Wyluzuj trochę.

— Sorry, jestem zestresowana, to moja pierwsza sprawa.

— Spoko.

Przejęte przyjaciółki dojechały na miejsce pół godziny przed wyznaczonym spotkaniem. Dla zabicia czasu zrobiły kilka okrążeń po okolicy, dzięki czemu udało im się wypatrzyć idealne miejsce do prowadzenia obserwacji oraz kuszącą lodziarnię, którą postanowiły koniecznie odwiedzić w godzinach jej otwarcia.

— Dobra, idę — powiedziała Wiola, wysiadając. — Tylko pamiętaj, najpierw robisz zdjęcia, a dopiero potem dzwonisz na policję.

— Pamiętam, powtórzyłaś to jakieś trzydzieści razy od czasu, kiedy wsiadłaś do samochodu — oburzyła się Zuźka.

Wiolka weszła na podwórko państwa Maczkowskich na trzęsących się nogach. W dłoni mocno ścisnęła torebkę, do której włożyła dyktafon. Przezornie włączyła go, wysiadając z samochodu, żeby później o tym nie zapomnieć.

Antoni wyszedł gościowi na powitanie z szerokim uśmiechem na ustach.

— Wioletka, jak dobrze cię widzieć. — Uściskał ją mocno.

Dziewczyna odskoczyła do tyłu, widząc oczyma wyobraźni, jak przebiegły przestępca wbija jej nóż w plecy.

— Chodźmy za dom, chciałem ci coś pokazać.

— Nigdzie nie idę! Nie dam się zwabić w pułapkę, przejrzałam cię! — wybuchnęła.

— Wioletka, o czym ty mówisz? Dobrze się czujesz? — zatroskał się Maczkowski.

— Ja wszystko wiem! Nie ma sensu dłużej udawać! Widziałam cię, słyszałam! — wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

— Poważnie, ty nie masz gorączki?

— Nie rób z siebie głupiego. Nie próbuj zaprzeczać!

— Wioletka, piłaś coś? Może brałaś te no... dopalacze? To jest podobno teraz modne wśród młodzieży. Prawdziwa plaga. Syn mi mówił.

— Niczego nie brałam ani nie piłam. Nie zmieniaj tematu. Wszystko rozumiem, potrzebowałaś pieniędzy, w fabryce mało płacą, pensja żony też pewnie nie jest wysoka, dzieci chodzą do szkoły. Miałam nic nie mówić, zamknęłam śledztwo, ale żeby wciągać panią Draceńską w nieczyste interesy? Tego już za wiele! Nie masz wstydu!

— Zaraz, zaraz. Co ty gadasz? Jaką panią Draceńską i jakie znowu interesy?

— Przecież wyraźnie mówię! Pączyński z Żakowskim z fabryki kradną części maszyn, które później sprzedajesz.

— Dziewczyno, jedynym, co ukradłem, a i to przez przypadek, bo byłem pewien, że mama zdążyła zapłacić, były dwa zbutwiałe lizaki ze spożywcza w pierwszej klasie podstawówki. Coś ci się pomieszało. Mam swoje lata i w życiu nie wszedłem w kolizję z prawem.

— Na własne oczy widziałam, kiedy kupowałeś jakąś turbinę od Pączyńskiego i chowałeś do kieszeni coś, co sprzedał ci Żakowski.

— A, o tym mówisz! — Zaśmiał się w głos. — Chodź ze mną, pokażę ci tę moją złodziejską dziuplę. — Odwrócił się i zaczął odchodzić.

Wioletka nie wiedziała, co robić. Z jednej strony kusiło ją, żeby wszystko zobaczyć i oczywiście sfotografować, ale z drugiej — trochę się bała. W końcu zadecydowała.

— Ani mi się śni iść samej! — krzyknęła za oddalającym się mężczyzną.

— Więc jak chcesz udowodnić, że jestem przestępcą? — zapytał.

— Pójdę z koleżanką — postanowiła, ponieważ była prawie na sto procent pewna, że obu ich nie zabije. — Ona czeka na mnie w samochodzie.

— Więc zawołaj ją. — Maczkowski bez oporu ustąpił, po czym włożył ręce do kieszeni.

Odwróciła się i zamachała na Zużkę. Przyjaciółka zjawiała się na podwórku w błyskawicznym tempie. Cała trójka w milczeniu udała się za dom. Szli gęsiego, panie z tyłu, a on dwa kroki przed nimi.

— Proszę bardzo, patrzcie do woli — powiedział Antoni, otwierając na oścież drzwi stodoły.

— Niespodzianka! — huknęło z pomieszczenia.

Na podwórze zaczęli się wylewać współpracownicy Wioli ze Słodziutkiej Babeczki, a na koniec z wnętrza wypełnionego aż po sufit belami materiałów wyjechała gwiazda wieczoru — fiat 126p koloru krwistej czerwieni.

— Tu masz te swoje części — zaśmiał się Antek, z czułością poklepując samochód po masce. — Każdy się dorzucił do prezentu pożegnalnego dla ciebie, dlatego udało nam się naprawić twoje cacuszko w porządnym warsztacie niedaleko mnie, gdzie mechanicy potrafią docenić starego dobrego malucha i odpowiednio się takim zająć. Mogę cię zapewnić, że nie włożyliśmy do niego niczego, co pochodzi z fabryki.

— A Pączyński? Przecież na własne uszy słyszałam, kiedy mówił, że miałby kłopoty, gdyby się wydało, że wziął turbinę — dopytywała się nieufnie.

— A pewnie, że by miał! Wykręcił ją po kryjomu z zepsutego auta teściowej, które dwunasty rok stoi i rdzewieje na podjeździe. Od razu powiem ci, że pani Draceńska przyniosła pieniądze na składkę, a Żakowski dostarczył okazji kupioną na szrocie korbę do otwierania szyby. Sama popatrz, jaka piękna! Ma zatopioną w masie perłowej muszkę, a lśni tak, że aż miło popatrzeć.

— Ale przecież ostatnio przybyło ci kasy, pani Bożenka widziała cię na skuterze. I miałeś nowe buty i spodnie... — mówiła coraz mniej pewna siebie dziewczyna.

Stojąca za jej plecami Zuzia z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie.

— Skutera używam do rozwożenia pizzy, po pracy trochę sobie dorabiam, ale to chyba nie jest przestępstwo? — Maczkowski nie był w stanie dłużej się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. — A

buty i garnitur, o których mówisz, faktycznie są nowe, żona kupiła mi na pogrzeb w second handzie. Trzeba przyznać, że z naszej Bożenki jest spostrzegawcza babeczka, nic nie umknie jej uwadze.

— Kurczę, a ja myślałam, że nie chciałeś wczoraj zamienić dwóch zdań, żeby mnie zwabić do siebie i pozbyć się niewygodnego świadka...

— No nie do końca. — Zarechotał. — Musiałem zdążyć do wulkanizacji, kolega po znajomości zgodził się w niedzielę zmienić ci opony na zimowe.

— Antek, strasznie cię przepraszam...! — jęknęła.

— Wioletka, nie przepraszaj, od wieków tak się nie uśmieiałem! Z tobą nie można się nudzić! Wielka szkoda, że odchodzisz z fabryki. Musisz nas odwiedzać.

— Obiecuję — przysięgła oblana rumieńcem dziewczyna. — Dla mnie to wszystko? — zapytała ze łzami w oczach, wskazując na ozdobione podwórze, tłum gości oraz samochód.

— Dla ciebie — przytaknął Maczkowski.

— Ale dlaczego, za co? — dopytywała.

— Jak to? Nie wiesz? Za to, jaka jesteś. A kto załatwił zbiórkę krwi dla syna konserwatora, kiedy mały miał przeszczep? A kto wywalczył dla nas dodatkową przerwę u szefa? Kto własnymi rękoma pomagał w odbudowaniu kuchni rodziny dozorczy po tym, jak im wybuchł gaz? I kto nas rozśmieszał? Zawsze miałaś dobre słowo dla każdego i na każdy dzień. To wszystko w stu procentach zasłużone — zakończył laudację. — Chodź, pójdziemy się czegoś napić. Muszę każdemu opowiedzieć, jaka z ciebie zdolna pani detektyw.

Gdy Koperek wyjaśniała z Antkiem okoliczności niepełnienia przestępstwa, zebrani rozpierzchli się po podwórku. Jedni raczyli się napojami wysokowymi ustawionymi na stoliku pod domem, inni tańczyli do skocznej muzyki puszczonej z komputera przez młodego Maczkowskiego, a jeszcze inni oglądali pięknie odrestaurowane auto.

Po pewnym czasie ilość cieczy, którą wlała w siebie Wiola, zmusiła dziewczynę do skorzystania z toalety. Koperek podeszła

do domu i wkroczyła do środka. Dłuższą chwilę włóczyła się po korytarzu, próbując na chybił trafił znaleźć drzwi prowadzące do WC. Właśnie zaglądała do czwartego z kolei pokoju, kiedy usłyszała za sobą rozbawiony głos Antka:

— A to co, przeszukanie? — zapytał, podchodząc do koleżanki.

— Już mnie nie zawstydzaj — mruknęła, czerwieniąc się. — Szukam toalety.

— W takim razie źle trafiłaś, musisz wejść na piętro. Chodź, zaprowadzę cię.

— Jakie śliczne! — powiedziała, gdy zajrzała jeszcze do wnętrza pokoju.

— Co śliczne? — zdziwił się.

— Rysunki! — Wskazała na rozwieszone na ścianach odręcznie wykonane szkice pań w eleganckich strojach.

— A, rysunki... — powiedział jakoś bez entuzjazmu. — No, ładne.

— Nie ładne, tylko śliczne — nie ustępowała.

— Niech ci będzie — zgodził się.

— To pewnie pokój twojej córki? — drążyła, wtykając głowę do środka.

Niewielkie pomieszczenie było urządzone ze smakiem, na biurku stała maszyna do szycia, na regałach leżały złożone pod linijkę materiały, w przezroczystych plastikowych pojemnikach ktoś pracowicie posegregował guziki, nici i inne przybory pasmanteryjne, a w rogu pod ścianą leżał równy stos magazynów o modzie.

— Tak, córki — bąknął niewyraźnie Maczkowski, po czym zamknął drzwi przed wścibskim wzrokiem. — Chodź, pokażę ci łazienkę.

Przyjęcie trwało do późnych godzin nocnych. Życzeniom, pożegnaniom, obietnicom rychłego spotkania oraz podziękowaniom nie było końca. Zużka, która początkowo o mało nie spaliła się ze wstydu i miała szczerą ochotę udusić Wioletkę gołymi rękoma, świętowała z pozostałymi z prawdziwą radością i przyjemnością.

ROZDZIAŁ 5

Wiolka przemierzyła chwiejnym krokiem dystans dzielący ją od samochodu Zuzanny do mieszkania. Po dobrych pięciu minutach gmerania kluczem w okolicy zamka otworzyła drzwi wejściowe. Nie tracąc czasu na zapalanie światła, rzuciła się do kuchni, gdzie łąpczywie wypłała duszkiem trzy kubki lodowatej kranówki. Co prawda nie minęła jeszcze nawet godzina, odkąd skończyła przechylać ostatnią szklaneczkę napoju na przyjęciu, ale już strasznie ją suszyło.

Ukontentowana zakręciła wodę i z zadowoleniem otarła usta rękawem swetra. Właśnie miała iść spać, nie zawracając sobie głowy tak przyziemnymi sprawami, jak mycie czy przebieranie się w piżamę, kiedy jej wzrok spoczął na rozświetlonym oknie mieszkania naprzeciwko. Zegarek z kukułką obwieścił nastanie godziny trzeciej nad ranem. Fiu, fiu, ale pracowita, Wioletka była pełna podziwu dla młodej sąsiadki, wyraźnie zaabsorbowanej szyciem na maszynie. W tej samej chwili obserwowana wstała i zrobiła kilka kroków w kierunku korytarza. Niespodziewanie z przedpokoju wyłoniła się uniesiona do góry siekiera, która z impetem opadła na czaszkę brunetki. Koperek zakryła oczy, próbując nie zwymiotować na widok rzeźni po drugiej stronie skweru. A może to mi się tylko przywidziało?! — przebiegło jej przez myśl. Gdy odważyła się ponownie otworzyć powieki, czyjeś ręce właśnie zaciągały zasłony w tamtym mieszkaniu. Co robić?! — myślała gorączkowo. Policja! Trzeba dzwonić na policję! Trzęsącą się dłonią chwyciła za telefon i wybrała numer. W słuchawce odezwał się niezadowolony głos:

— Czego chcesz? Czy ty wiesz, która jest godzina!?!

— Ja... Tak, ale... Przed chwilą widziałam morderstwo! Ktoś zabił dziewczynę z czwartego piętra w bloku sto dziewięćdziesiąt osiem! Wiesz, tę szczupłą — przejęta wyszeptała do słuchawki.

— Mało ci jeszcze było wstydu dzisiaj, kiedy niesłusznie

oskarżyłaś Antoniego? Ledwie odwiozłam cię do domu, a już wietrzysz kolejną nieistniejącą zbrodnię? — zapytała z niesmakiem w głosie Zuzia.

— Przysięgam! Ktoś ją walnął siekierą w głowę — przekonywała koleżankę roztrzęsiona Wiola.

— A niby kto to był? — Przyjaciółka była wyraźnie zirytowana.

— Skąd mam wiedzieć? Widziałam tylko siekierę i ręce zasłaniające okno. Ona miała zasłony. Wyobrażasz sobie?

— Czekaj, zaraz. Jakie znowu zasłony? Gdzie niby to było?

— Jak to gdzie? W jej mieszkaniu!

— A co tam robiłaś? I czemu ciebie nie zatłukli do kompletu? Mordercy zazwyczaj nie puszczają wolno naocznych świadków.

— Boże, jaka ty jednak jesteś niekumata... Byłam u siebie w domu, wszystko widziałam przez okno.

— Wiolka, schlałaś się i masz haluny. Po co w ogóle mi zawracasz głowę? Jak jesteś taka pewna swego, zadzwoń na policję. Tylko uważaj, żebym cię nie musiała odbierać z izby wytrzeźwień albo ze szpitala psychiatrycznego.

— Jak to dlaczego do CIEBIE dzwonię? Przecież pracujesz na policji!

— Tak, na policji, tyle że ja jestem sprzątaczką, a nie detektywem!

— Sprzątasz czy coś tam innego robisz, jedna chwała. — Wiola nie dawała się zbić z tropu. — Policja to policja. Po komisariacie się kręcisz, na pewno liźnęłaś trochę wiedzy od mundurowych.

— Kompletnie ci odbiło, lepiej nigdy więcej nie pij. Idę spać i tobie też to radzę. Procenty wyparują i wróci ci rozum. Dobranoc.

— Zuzia się rozłączyła.

Roztrzęsiona Koperek jeszcze przez chwilę pozostała ukryta za kuchenną firanką, popatrzyła w okna zamordowanej, a potem zgodnie z zaleceniem przyjaciółki poszła prosto do łóżka. Resztką zdrowego rozsądku podpowiadała jej, że nie powinna dzwonić na sto dwanaście w stanie upojenia alkoholowego.

Ledwie minęło kilka godzin, a już wyrwał ją ze snu przerażający pisk. Jasna cholera, pomyślała ofiara wczorajszej libacji, łapiąc się za głowę. Uniosła się na łokciu i z trudem rozkleiła powieki,

spoglądając na podwórze. Szósta czterdzieści dwie, a ta wlecze z rynku ten swój szkocki wózek, pomyślała z nieukrywaną złością o Żukowskiej, która właśnie zniknęła w drzwiach klatki schodowej.

Przebudzona powoli zaczynała odtwarzać wydarzenia poprzedniej nocy. Zastanawiała się, czy aby na pewno widziała to, co jej się wydawało, że widziała, czy może był to jedynie wytwór jej chorej wyobraźni, podsycany niebieskimi drinkami z parasolką.

Niezdolne uczucie suchości w ustach wygoniło Wioletkę z łóżka. Nie siląc się na poszukiwanie kubka, złapała czajnik i zaczęła żłopać wodę wprost z dzióbka. Po wypiciu pięciuset mililitrów nabrała powietrza, po czym wróciła do nawadniania organizmu. Z chwilą gdy poczuła w ustach posmak i chrzęst kamienia, poczyniła dwa ważne spostrzeżenia. Po pierwsze: bezwzględnie musi oczyścić czajnik przy użyciu taniego, ale jakże skutecznego octu, po drugie: okno w większym z dwóch pokoi mieszkania zabitej na śmierć sąsiadki było odsłonięte i otwarte na oścież. A jeżeli wcale mi się nie wydawało i naprawdę ta biedna dziewczyna została zamordowana? — zaniepokoiła się.

Pogrążona w zadumie zjadła lekkie śniadanie, wypiła dwie czerwone herbaty, zieloną kawę, wzięła długi prysznic i ubrała się. Obawa o życie sąsiadki jednak nie dawała jej spokoju. Około dziewiątej stało się jasne, że dłużej nie wytrzyma niepewności. Zamknęła mieszkanie i poszła upewnić się, czy dziewczyna jest cała i zdrowa.

Klatkę schodową numer jeden w bloku sto dziewięćdziesiąt osiem wypełniał gryzący w gardle odór chloru. Koperek ścisnęła palcami nozdrza i czym prędzej wgramoliła się na czwarte piętro. Z wyczuciem zapukała w brązowe drzwi z tabliczką „F. Dębska”. Cisza. Zapukała ponownie, tym razem zdecydowanie mocniej. Nic. Nacisnęła dzwonek. Bez odzewu. Poczuła narastający niepokój.

— Hej, słyszysz mnie? — pokrzykiwała, naprzemiennie pukając i dzwoniąc. — Jesteś tam?

W odpowiedzi na jej wołanie z impetem otworzyły się drzwi

mieszkania naprzeciwko. W ich świetle stała na szeroko rozstawionych nogach amatorka telewizji z fantazyjnie rozczochranymi włosami, które tu i ówdzie zdobiły wałki.

— Dziewczyno, czemu ty tak hałasujesz? Ludzie jeszcze śpią! — warknęła.

— Najmocniej przepraszam, nie chciałam pani obudzić — kajała się Wiola.

— No już dobrze. Jeśli szukasz tej małej, to marna szansa, żebyś ją zastała po dziewiątej.

— W takim razie może wie pani, gdzie ją znajdę?

— Tak się składa, że wiem. Od poniedziałku do soboty robi na rynku na stoisku z warzywami. Wejdziesz w pierwszą alejkę od kiosku, młoda Dębska sprzedaje na trzecim stanowisku po prawej.

— Pięknie dziękuję za pomoc! — ucieszyła się dziewczyna.

Kobieta właśnie zamykała drzwi, kiedy Wioletce coś przyszło do głowy.

— Proszę pani! Proszę poczekać! — krzyknęła.

— Co tam? — Głowa z wałkami ponownie wychynęła zza futryny.

— Czy słyszała pani dzisiaj w nocy coś dziwnego? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Czy słyszałam? A co miałam nie słyszeć! Noc w noc hałas! Dębska huczy maszyną, jakby to była jakaś szwalnia, a nie budynek mieszkalny. Budyniowie drą się od świtu do zmroku, a Roczniwska wcale nie lepsza! Niby taka uprzejma, ą, ę, wielka arystokracja, a kiedy rozkręci swoje radio, cała klatka musi razem z nią słuchać. Jakby tego było mało, Dzikowscy wrócili wczoraj w nocy i wzięli się za remonty. Huki, stuki, oszałeć można — zrzędziła.

Zapowiadało się na dłuższą przemowę. Wioli ani w głowie było marnować czas na wysłuchiwanie marudzenia, które nie miało dla niej szczególnej wartości. Należało szybko uciąć wypowiedź, jednocześnie nie zrażając do siebie sąsiadki. Kto wie, do czego jeszcze może się przydać owa znajomość.

— A ten smród pani nie przeszkadza? — wypaliła wymyślone

na oczekaniu pytanie, wykorzystując setną sekundy, niezbędną mówczyni na zaczerpnięcie powietrza.

— Smród? Jaki znowu smród? — zapytała wybita z rytmu sąsiadka.

— Jak to jaki? Przecież czuć chlorem tak, że można się udusić!

— A, to. Pewnie, że przeszkadza. Wszystko wina Żukowskiej z trzeciego. Chyba jej się pomyliły epoki i myśli, że nadal panuje komuna. Tylko sobie wyobraź, nie dość, że powołała do życia komitet blokowy, to jeszcze w ramach prac społecznych wyznaczyła dyżury mycia klatki. Kolej babska przypada każdego dwudziestego czwartego. Kiedy tylko nastaje JEJ dzień, o piątej rano leci walić mopem o ściany, nie da się ludziom spokojnie wyspać. Co gorsza, na tym spotkaniu, na którym zapadła „wielka uchwała”, nie było ani mnie, ani ślubnego, więc człowiek się nawet nie mógł zbuntować. No i bach, następnego dnia po obradach na dole w gablocie wisi kartka, a na niej jak wół napisane, że my mamy myć schody piętnastego. Akurat z zakupami wracałam, myślałam, że mnie krew zaleje. Poleciałam do niej obładowana siatami, ale na nic rozmowy, tłumaczenie, krzyki. Zawsze czternastego przychodzi do mnie i zawraca głowę, żebym nie zapomniała o swoim obywatelskim obowiązku. Na tym nie koniec! Nie minął miesiąc, a obok starej wisi nowa kartka. Dwa razy czytałam, bo własnym oczom nie mogłam uwierzyć. Normalnie Bareja! Podobno ludzie źle sprzątają, więc ona, perfekcyjna pani domu, koniecznie musi wyedukować lud. Sporządziła dokładną instrukcję: jakimi ruchami należy szorować ścierą, jakich płynów używać, nawet liczbę zmian wody w wiaderku określiła zależnie od panujących warunków atmosferycznych! Dla tych mniej rozzagarniętych podkreśliła grubą krechę, żeby do mycia OBOWIĄZKOWO używać środka o wysokim stężeniu chloru, bo tylko taki dezynfekuje i pięknie wybiela. Na swojej zmianie leje tym płynem, gdzie popadnie, i potem przez dwa dni trzeba wietrzyć mieszkanie. Jeszcze latem jak cię mogę, ale zimą? Tylko sobie pomyśl, ile te fanaberie nas kosztują. Chałupa ogrzana, a ciepło trzeba wypuszczać, bo nie wytrzymujemy smrodu. Nawet podkładamy pod drzwi mokre

ręczniki, ale na niewiele się to zdaje, bo ta baba zawsze zadba o to, żebyśmy zauważyli, jak poważnie podchodzi do spraw czystości.

— Nie ma u was dozorca, który zajmowałby się myciem klatki?
— zdziwiła się dziewczyna.

— Jak nie ma, jak jest! Ale Żukowskiej tego nie przetłumaczysz. Jako mieszkańcy podobno mamy swoje prawa, ale też powinności. Już dla świętego spokoju tego piętnastego przeciągnę szmatą schody, bo szkoda mi czasu na dyskusję z nawiedzoną. Mówię ci, idzie oszaleć.

— MAMA! — Zza pleców rozsierdzonej mieszkanki bloku rozległ się nieludzki wrzask.

— Idę, synu! — odkrzyknęła i zwróciła się jeszcze do Wioli: — Sama widzisz, ledwo godzinka minęła, a już maluch otworzył oczy. Pewnie go gryzie w nosie od tych oparów. A szlag jasny z tą Żukowską!

— MA-MA!

— Synuś, przecież mówię, że idę. Do widzenia. — Po tych słowach z impetem zamknęła drzwi.

Panna Koperek odwróciła się na pięcie, kiedy tylko usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Migiem pokonała cztery piętra i stanęła na dole pod gablotą, w której miały się znajdować omawiane przez sąsiadkę lista oraz instrukcja. I owszem, były. Wioletka przeczytała je z uwagą, śmiejąc się serdecznie pod nosem. Mimo absurdalności przytoczonej przez rozczochraną kobietę historii sprawy miały się dokładnie tak, jak je przedstawiła.

Wiolka wyszła z bloku. W pierwszym momencie doznała szoku, jakim po wdychaniu oparów silnych chemikaliów było świeże powietrze. Maszerując w kierunku ryneczku, pomyślała ciepło o starszym panu spod piątki, hodowcy przebrzydłych yorków charakteryzujących się puszystą sierścią i zamiłowaniem do nieustającego ujadania. Już wolała codzienną pobudkę niż szorowanie chlorem na kolanach klatki schodowej.

Bez większych trudności znalazła straganik, na którym miała pracować potencjalna denatka. Ponieważ przy skrzynkach ze

śliwkami kłębił się niezły tłumek dam zaabsorbowanych wybieraniem co lepszych okazów, od razu podeszła do sprzedawczynie. Korpulentna handlara popijała ze szklanki w metalowym koszyczku czarną niczym ziemia fusiastą kawę.

— Dzień dobry — zaczęła Wioletka.

— Co podać? — zapytała baba, odstawiając napój.

— Nic. Dziękuję. Ja chciałam... — Nie udało jej się jednak dokończyć, ponieważ babsko przerwało wypowiedź w połowie zdania:

— To jak nic nie chce, to mi tutaj stoiska nie zasłania! Klienci przyjdą i towaru nie zobaczą!

Wioletka nie należała do osób, które łatwo zbić z pantałyku. Mało sympatyczną rozmówczynię postanowiła swoim zwyczajem pokonać uprzejmością.

— Szanowna pani, obiecuję, że nie zajmę dużo czasu. Chciałam zamienić tylko słówko z koleżanką Dębską i zaraz mnie nie ma. Może ją pani poprosić? — Wyszczrzyła zęby w czymś, co miało przypominać uśmiech.

Sprzedawczynie poczerwieniała na twarzy, ze złością puknęła szklanką o zdezelowany stolik, po czym ryknęła na cały głos:

— O, to już jest bezczelność!

Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w kierunku niezłe zapowiadającej się sceny. Uwadze dziewczyny nie umknęło jednak, że panie wprawione w boju nie przestały przebierać palcami w wypełnionych po brzegi skrzynkach w wyszukiwaniu najwyższej jakości owoców.

— Pewnie jesteś koleżanką Majki. Jeszcze tego brakowało, żeby mi tutaj zapraszała takie straszydła na pogaduszki!

— O, wypraszam sobie! — Wiola próbowała się bronić. Z gruntu była jednak pozbawiona szans, ponieważ zaabsorbowana własną przemową handlara nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Koperek odruchowo obciągnęła różową koszulkę z napisem LOVE, spod której zalotnie wyglądała niesforna fałdka otłuszczonego brzuszka.

— Rozczaruję cię. Przyjaciółeczka nie raczyła dziś przyjść do pracy. Przyjęłam ją z litości, żeby miała co włożyć do garnka, ale

nie było warto. Brak podejścia do klienta, a do tego nawet nie umiała wybrać ładnych pomidorów, drygu do handlu zero. Tylko strojenie się jej było w głowie. Ledwie jakąś szmatę znalazła, a zaraz szła z niej kieckę. Jedyne plusy, że się nie spóźniła, zawsze cicha i grzeczna. Ciekawe, gdzie drugą taką dobrą robotę znajdzie. Zresztą nie pierwszy raz mi wykręciła numer. Miesiąc nie minął, kiedy gdzieś wybyła z gachem. Przez dwa dni nie przychodziła na stragan, a trzeciego przyleciała zapłakana prosić, żebym jej nie wyrzucała. Co się nagadała, że była głupia, chłop ją oмотał, obiecywał złote góry, a jak co do czego przyszło, okazało się, że nałgał! Ponieważ mam dobre serce, więc dałam jej drugą szansę, ale dosyć tego! Skończyła mi się cierpliwość! Kiedy spotkasz Majkę, powiedz jej, że nie ma tu już czego szukać. A teraz zmiataj mi stąd, bo blokujesz kolejkę.

— Przekażę. Do widzenia — powiedziała nieobecna duchem Wioletka, odchodząc w stronę domu. Nawet nie zauważyła Maczkowskiego czekającego na nią pod klatką schodową. Minęła mężczyznę, po czym wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi wejściowe.

— Jak to? Nie poznajesz starych kolegów? — zagadnął Antoni rozbawionym głosem.

Dopiero w tym momencie dziewczyna dostrzegła jego obecność.

— Antek! — Ucieszyła się na widok byłego współpracownika.
— A co ty tutaj robisz?

— Byliśmy umówieni, nie pamiętasz? Miałem przywieźć twoją rakietę — powiedział, wskazując ręką na zaparkowanego nieopodal fiata 126p. — Może i padło ci na pamięć, ale i tak muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, w jak dobrym widzę cię stanie. Myślałem, że będzie ci dzisiaj przez cały dzień towarzyszył kac gigant. Kiedy wczoraj wychodziłaś, nieźle znosiło cię na wietrze. — Zaśmiał się.

— Na śmierć zapomniałam, że miałeś przyjechać! — powiedziała Wiola, łapiąc się za głowę. — No, ale wiesz co, wstydziłbyś się... Wcałe tak dużo nie wypijałam! Dwa, może trzy drinki.

— Jasne — zarżał Antek. — Do trzech to jeszcze byłaś w stanie

liczyć. Zresztą nieistotne, najważniejsze, że zabawa była przednia. Dobra, masz tutaj kluczyki i niech wóz ci się dobrze prowadzi — powiedział, wręczając jej pęk z przywieszką w postaci wielkiej kulki z różowego futerka.

— Dziękuję! O matko, jaki piękny brelok! Chodź na górę, napijemy się herbaty. Mam pyszną liściastą prosto z Indii — zachęcała.

— Chętnie, ale innym razem, teraz muszę lecieć do pracy.

— To ja cię odwożę.

— Nie trzeba, przyjechałem z Jankiem, czeka na mnie w samochodzie. Dobra, Wioletka, trzymaj się, dziewczyno, lecę.

— Do zobaczenia.

Panna Koperek do końca dnia biła się z myślami, czy zadzwonić na policję i opowiedzieć o tym, co zobaczyła. A jeśli znowu się wygłupi, tak jak w sprawie z Maczkowskim? Może znów sobie coś ubzdurała, bo już wcale nie była pewna, czy rzeczywiście widziała tę scenę w nocy, czy tylko wzrok podlany alkoholem spletał jej figła. Służby mundurowe to nie przelewki, zwłaszcza że miałyby zgłosić morderstwo.

Z powodu tego całego stresu zupełnie zapomniała, że jest na diecie, i bez wyrzutów sumienia sukcesywnie wyjadała zawartość lodówki, szafki z żywnością, a co najgorsze — idące prosto w biodra łakocie ukryte (przed samą sobą) w barku. Właśnie wróciła na balkon z dokładką żelków robaków (zdecydowanie lepiej wpasowywały się w dłoń niż miśki), kiedy do klatki schodowej w bloku naprzeciwko weszła dziewczyna. Trudno było ją przeoczyć ze względu na niecodzienną fryzurę. Śliczne, naturalne loczki sięgające do brody były utlenione na platynowy blond, co bezlitośnie zdradzały trzycentymetrowe odrosty. Dodatkowo włosy zostały ozdobione kilkoma pasemkami w kontrastującym kolorze. Całość prezentowała się może i ekscentrycznie, ale przyjemnie dla oka. Wioletce kołatało się po głowie, że wcześniej widziała tę nietuzinkową postać, tylko gdzie?

Racząc się żelatynową przekąską, popatrzyła na swoje skrzynki z pelargoniami, które każdym zwiędniętym kwiatkiem domagały się podlania. Rośliny, posadzone, żeby cieszyć oko, nie spełniały swojej roli, zamiast tego oskarżały leniwą ogrodniczkę o zaniedbanie. Koperek z ulgą więc zmieniła obiekt obserwacji i znów przypatrywała się blondynie, która właśnie wybiegła z bloku, po czym stanęła na trawniku. Zadarła do góry głowę i zwrócona twarzą do budynku numer sto dziewięćdziesiąt osiem zaczęła krzyczeć co sił w płucach:

— Pszczoła! Pszczoła! PSZCZÓÓÓÓŁŁŁŁKKKAAAAAAAAAAAA!

Wiola wstała i oparła łokcie o balustradę. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego ona się tak wydziera. Może narkomanka? — dumiała. Trudno powiedzieć, ile czasu prowadziłyby dywagacje, gdyby nagle nie skojarzyła, skąd ją zna. Przecież to koleżanka Dębskiej!

Nie było ani chwili do stracenia. Wiola rzuciła wszystko i wypadła z mieszkania. Na półpiętrze zaświtało jej w głowie, że gdyby poczęstować czymś dziewczynę, może byłaby bardziej skora do nawiązania znajomości. Koperek zawróciła, popędziła na balkon, skąd wzięła miseczkę żelków, a następnie pogalopowała na dół. Pod klatką przybrała dostojną pozę i wolnym krokiem podeszła do obiektu zainteresowania.

— Robaka? — zapytała dziewczę stojące do niej plecami.

Głowa pokryta platyną obróciła się, a na Wioletkę zerknęło dwoje oczu wyrażających stan absolutnego zdziwienia.

— Co? — mruknęła zaskoczona nieznajoma.

— Pytam, czy chcesz żelka. — Na zachętę Wiolka wyciągnęła przed siebie miseczkę.

— Masz coś nie w porządku z głową? Już w podstawówce mama mnie uczyła, żeby nie brać cukierków od obcych, kretynko. Zabieraj się stąd, bo jak ci walnę, to się nie pozbierasz — zaatakowała blondynka.

Wiola popatrzyła z pobłażliwością na cienką niczym słomka dziewczynę, którą z powodzeniem mogłaby zmieść z powierzchni ziemi jednym niezbyt silnym ruchem ręki. Zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Poza tym, że preferująca siłowe rozwiązania

lalunia była niebywale chuda, nie dodawały jej uroku również krzywe nogi ani trądzik młodzieńczy. I te obgryzione pazury... Może nie jest najpiękniejsza, ale na pewno pod chropowatą i nieprzystępną skorupą kryje się dobre serce, wspaniałomyślnie uznała panna Koperek.

— A mama nie uczyła cię też, że z ludźmi trzeba grzeczniej? — zapytała uprzejmym tonem. — Nie ma się co tak obruszać. Nie wstydz się, weź. Są pyszne. — Na zachętę uraczyła się jednym.

— Wariatka — warknęła w odpowiedzi dziewczyna.

Wiola nic sobie nie zrobiła z tej obelgi.

— Słuchaj, ty nie jesteś czasem koleżanką Mai Dębskiej?

— Pszczółki? — Blondynę wreszcie coś zainteresowało.

— A, to wiele wyjaśnia — zaśmiała się miłośniczka żelków. — Zapytam z czystej ciekawości: skąd taka ksywa?

— Maja, Gucio, pszczoły, bajka, kojarzy ci się coś? — odpowiedziała rozmówczyni.

— Jasne! — Wioletkę, która najwidoczniej musiała doznać chwilowego zaćmienia umysłu, olśniło w tej sekundzie. Doskonale pamiętała z dzieciństwa wieczorynkę o pociesznych owadach, których losy śledziła z wielkim zaangażowaniem. — Czemu wołasz z dołu, zamiast iść i zapukać? — Usiłowała wciągnąć chudzinkę w rozmowę w nadziei, że połączy je nic porozumienia.

— Przecież byłam, dzwoniłam, nie otwiera — odpowiedziała blondyna z irytacją w głosie.

— Może poszła do pracy albo po zakupy. Nie masz do niej numeru telefonu?

— Za kogo ty mnie masz? Nie jestem głupia! Próbowалам się dodzwonić, kiedy stałam na górze, i wtedy usłyszałam dzwonek komórki w mieszkaniu. Pomyślałam, że pewnie śpi. Waliłam do drzwi, ale nic, dlatego stoję tutaj. Dziwna sprawa, bo Pszczoła nigdy nie rusza się z domu bez telefonu. Kieckę miała mi poprawić na dzisiaj na osiemnąstą, przyszłam, jak byłyśmy umówione, a tu zamknięte na głucho. Jadę na wesele, jutro o piątej rano mam pekaes, tyle że bez sukienki to co ja zrobię? — Dziewczyna zaczęła pochlipywać. Przetarła mokre oczy rękawem

swetra.

— Ej, nie płacz! Pewnie zapomniała, zaraz wróci i wszystko się wyjaśni. — Wiola próbowała dodać jej otuchy.

— Pszczółka by mnie nie wystawiła. Jest słowna i punktualna. O matko, a jeśli coś jej się stało? Może się przewróciła albo zemdląła?

— Nie wiesz, kto może mieć klucz do jej mieszkania?

— Ja mam!

— To idziemy! — zarządziła Koperek.

— Ale przecież nie mam przy sobie, tylko w domu, zresztą jakoś tak głupio do kogoś wchodzić...

— A jeśli faktycznie coś jej się stało i teraz leży tam nieprzytomna, to nie będzie ci bardziej głupio?

— Niby tak, ale mimo wszystko... Nie, tak nie można. — Przyjaciółka Majki nie dawała się przekonać.

Samozwańczę detektyw korciło, żeby zajrzeć do mieszkania Dębskiej. Widok zakrwawionego miejsca zbrodni z trupem na środku pokoju rozwiałby jej wątpliwości, czy wzywać służby mundurowe. Wiedziała, że nie może tak łatwo dać za wygraną. Tylko jak przekonać tę oporną dziewczynę? Popatrzyła do góry i rozwiązanie samo się nasunęło.

— Zobacz, zbierają się chmury, będzie burza.

— Może i tak. No i?

— No i u Majki jest otwarte okno. Czy czasem nie w tym pokoju zaraz przy parapecie stoi maszyna do szycia?

— Ano stoi. I co z tego? — zapytała naburmuszona, uważnie przyglądając się Wiołce.

— A to z tego, że jeśli poprawiała twoją sukienkę, to przecież musiała używać maszyny. Na pewno kiecka tam leży, deszcz spadnie, zmoczy ją i co wtedy? Będziesz musiała prać, suszyć, a niech się zrobi zwarcie, maszyna stanie w płomieniach i po ciuchu.

Pomysł Wioletki na przekonanie właścicielki weselnej kreacji okazał się strzałem w dziesiątkę.

— Niby maszyny też szkoda. Pszczółka ją uwielbia.

— Właśnie! A jeśli Majka leży tam na podłodze, uratujesz ją

przed spaleniem żywcem.

— Kurczę, ty masz rację! Lecę po klucze! Tylko czy zdążę przed ulewą? Ze dwie godziny mi zejdzie... Muszę obrócić do pętli i z powrotem.

— Nie gadaj, tylko idź już!

Dziewczyna pobiegła co sił w chudych nogach w stronę autobusu, tymczasem Koperek rozsiadła się na murku pod klatką w oczekiwaniu na jej powrót. Pewnie wolałaby wygodną miejscówkę na ławeczce, ale wysiadujące emerytki wykluczały taką możliwość.

Po upływie godziny i czterdziestu siedmiu minut na horyzoncie zamajaczyła niekoniecznie zgrabnie biegnąca blondynka. Wioletka uniosła się, otrzepując kuper. Gdyby kogoś zastanawiało, co przez ten czas robiła sympatyczna bohaterka, należałoby szczerze odpowiedzieć, że... nic. Ot tak, siedziała sobie, delektując się otaczającą ją przyrodą, podziwiała cumulusy, dużo uwagi poświęciła obserwacji wędrówki mrówek, które pracowicie znosiły części martwego żuka do dziury w murze.

— Jeeeestem — Z trudem wysapała przybyła.

Zatrzymały się pod drzwiami ofiary zbrodni w chwili, gdy na dworze głośno zagrzmiało. Przyjaciółka Dębskiej trzęsącymi się z przejęcia rękoma wygrzebała z torebki klucz, którym otworzyła zamek. Właśnie miała nacisnąć klamkę, gdy zamarła w bezruchu. Nie zmieniając pozycji, odwróciła do tyłu głowę i mrużąc oczy, zapytała z podejrzliwością w głosie:

— Zaraz, a kim ty właściwie jesteś?

— Sąsiadką z naprzeciwka. Wioletka — odpowiedziała zapytana, wyciągając przed siebie dłoń w geście powitania.

— Aha, no dobrze. Ja jestem Paula. — Już uspokojona ucisnęła jej rękę. — To wchodzimy? — powiedziała, bardziej pytając, niż stwierdzając.

— Wchodzimy. — Wioletka dodała jej pewności siebie.

Pierwsza weszła Paula, zaraz za nią wpakowała się do środka pani detektyw. To, co ukazało się ich oczom, chyba na zawsze pozostanie w pamięci Koperek. Po pierwsze, na podłodze nie

było nawet kropli krwi. Nie było też trupa ani w przedpokoju, ani w żadnym innym miejscu, co Wiola sprawdziła z najwyższą precyzją. Obszar poszukiwań poza pokojami, kuchnią, przedpokojem i łazienką objął również: lodówkę, zamrażalnik, balkon, szafkę pod wanną, prowizoryczną garderobę, każdą komodę, regały, przestrzeń pod łóżkiem oraz skrytki i schowanka, które tylko przyszyły jej do głowy.

Po drugie, mieszkanie prezentowało się gorzej niż stajnia Augiasza. Wszędzie wałały się papiery, materiały, ubrania, talerze, resztki jedzenia. Drzwiczki szafek były pootwierane, zresztą podobnie jak szuflady.

— Stój! Gdzie leziesz? — krzyknęła Wiolka na widok dziewczyny przeskakującej sterty.

Paula, zaskoczona tym niespodziewanym wybuchem, zatrzymała się tuż za górą ciuchów.

— Nie ruszaj się stamtąd! Zacierasz ślady!

— Jakie ślady? — zapytała blondynka, z ciekawością przyglądając się temu, co miała pod nogami.

— Przystępstwa! Przecież widzisz, że tu musiała się toczyć jakaś walka, złoczyńca czegoś szukał, wszystko powywalał. Trzeba zadzwonić na policję.

— A, to. — Paula podeszła do maszyny do szycia. — Zawsze tutaj tak jest. Pszczoła nie zawraca sobie głowy porządkami. Patrz, jaka piękna! — powiedziała z zachwytem, unosząc do góry suknię z plisowaną spódnicą. — I prawie skończona! Doszyję tutaj tylko brakujące guziki i gotowe. Wiedziałam, że Pszczołka nie zawiedzie.

— Nie martwi cię, że jej tu nie ma?

— Dlaczego? — zdziwiła się dziewczyna, zamykając okno.

— Bo jej nie ma, jest po dwudziestej, a przecież byłyście umówione na osiemnastą! — ryknęła Koperek, nie mogąc dłużej ze spokojem znosić niedomyślności przyjaciółki Majki. — I zostawiła telefon.

— No, trochę dziwne z tą komorą — przyznała blondyna. — Wiesz, ona niedawno wywinęła numer, spakowała kilka ciuchów i wyjechała z takim jednym, co go poznała w necie. Nawet słowa

mi o tym nie powiedziała. Najlepszej przyjaciółce! Dwa dni nie było z nią kontaktu, a potem dzwoni, że ten gość naściemniał. Do żadnej Grecji jej nie zabrał, tylko na Mazury, i to pod namioty. Jak zwiertżyła, co się dzieje, od razu mu zrobiła awanturę, kazała się odstawić do domu w trymiga, więc ją odwiózł swoim zdezelowanym mercem. Tłumaczył się, że wcale Grecji nie obiecywał, tylko cały czas mówił o wyjeździe niespodziance, ale jak było naprawdę, nie wiem. Podobno on w życiu nie był za żadną granicą. Pewnie teraz też coś podobnego się stało, wybaczyła mu i razem pojechali. On tu ciągle potem przyłaził, znosił kwiaty, przepraszał, zapewniał, że nie może żyć bez Pszczoły.

— Słuchaj, mam pomysł. Rozejrzyj się, czy czegoś nie brakuje, i na tej podstawie wywnioskujemy, czy wyjechała — zaproponowała nieśmiało Wiolka, choć trudno było jej uwierzyć, że w takim bałaganie da się cokolwiek stwierdzić.

— Dobra — ochoczo zgodziła się Paula. Przeszła się po mieszkaniu, tu zajrzała, tam popatrzyła, coś otworzyła, coś zamknęła, po czym wróciła z wypiekami na twarzy do głównego pokoju. — Nic nie zniknęło!

— Jesteś pewna?

— Sto procent. Zresztą sama zobacz. — Wskazała na przedpokój. — Było pięć par butów i tyle jest. Przecież z gołymi stopami by nie chodziła!

— Może miała więcej niż pięć par. Coś sobie dokupiła albo dostała.

Paula spojrzała na Wiołkę jak na idiotkę.

— Chyba wiem, ile butów ma moja psiapsióła. Byłam u niej wczoraj do północy i było pięć. Zresztą ona jest mocno oszczędna, kasę wydaje tylko na materiały, nici, guziki. Wyobraź sobie, że nie chodzi do kina, nie kupuje czasopism o newsach ze świata sław czy papieroska albo alkoholu, żeby chociaż spróbować, jak smakują, bo to podobno marnotrawstwo pieniędzy. — Niespodziewanie zamilkła, spojrzała na Koperek, dodając: — Tylko sobie nie myśl, że ja jestem taka wrywna do używek. Raz od święta jak każdy. Ale co to ja...? A, pamiętam.

Pszczółka mówiła mi kiedyś, że jej ojciec z matką mają hajs, ale stary go ściska, więc na takie tam musi sama zarobić.

— Kurczę, to faktycznie podejrzane, że stoją wszystkie pary butów. Może jej rodzice coś będą wiedzieli. Pewnie się z nimi kontaktowała. Masz numer?

— Nie mam. Co oni mogą wiedzieć? Pszczole nie układało się za dobrze w domu, ale nie wiem, o co dokładnie chodziło. Wiesz, ona nie jest stąd. — Dziewczyna popatrzyła na boki.

Wioletka też się rozejrzała, ale nic jakoś szczególnie nie zwróciło jej uwagi.

— Ona jest ze wsi — wyszeptała Paula z wyższością w głosie.

— A chociaż pamiętasz nazwę miejscowości?

— Nie pamiętam. To jest jakaś wiocha zabita dechami koło Poznania, Wrocławia albo jakoś podobnie.

Na niewiele zdała się pomoc dumnej mieszkanki wielkiego miasta. Koperek, która co nieco zgłupiała w obliczu braku dowodu rzeczowego w postaci ciała, wpadła na pewien pomysł.

— A może ten chłopak ją porwał?

Zawsze to był jakiś trop, a i pretekst, żeby dobrać się do komputera Majki za zgodą przyjaciółeczki. Co prawda mało prawdopodobne wydawało się, żeby dokonywać uprowadzenia osoby uderzonej siekierą w czoło, ale nic lepszego nie nasunęło się jej na myśl. Druga rzecz, że Wiola nie chciała do siebie dopuścić myśli, że ktoś tak naprawdę mógł zamordować tę biedną dziewczynę.

— O matko! — Blondynka złapała się za głowę, gdyż jako dziewczę z natury naiwne była w stanie w to uwierzyć.

— Znasz adres tego chłopaka? Wiesz, jak się nazywa?

— Nie — przyznała ze smutkiem. — Ale czekaj! Coś wiem! On ma na imię Darek i jeździ takim starym mercem koloru butelkowego!

— Zawsze to coś. Mówiłaś, że poznali się przez internet.

— No tak.

— Więc nic prostszego! Skorzystamy z komputera Mai, a wszystko będzie jasne.

— Ale ona ma założone hasło, nie znam go.

— Damy radę, nic się nie bój.

Wioletka zasiadła przy biurku, mając tuż za plecami sapiącą jej do ucha Paulę. Wystarczyło kilka ruchów na klawiaturze, a zawartość domowego peceta stanęła przed nimi otworem. Umiejętności hakerskie wszechstronnie uzdolniona detektyw zawdzięczała rozczarowaniu pierwszą z obranych przez siebie ścieżek kariery zawodowej. Miłość do Matki Ziemi sprawiła, że wtedy jeszcze nastoletnia Wiola podjęła studia w Łodzi w prestiżowej Ekologicznej Najwyższej Uczelni Ochrony Środowiska oraz Ekosfery z Elementami Zarządzania Segregacją Śmieci — w skrócie ENUOŚoEzEZSŚ. Początkowo wszystko układało się wprost cudownie. Egzaminów zdawała na tłuściutkie piątki, wykładowcy mówili ciekawe rzeczy, uczelniany bar serwował pyszne obiady na każdą kieszeń, a dojazd autobusem komunikacji miejskiej z mieszkania rodziców zajmował zaledwie pół godziny. Schody zaczęły się po trzecim roku. Osiem bitych godzin przenoszenia żab na drugą stronę ulicy, do tego w mżawce, ostudziło zapał ekolożki. Na prośbę mamy, czyli na skutek wielogodzinnego wiercenia dziury w brzuchu, oczywiście w przerośni, chociaż kto wie, jaki byłby finał, gdyby córka szybko nie uległa, ukończyła studia, ale pracować w zawodzie nie planowała.

Od tamtego czasu Wiola wytrwale poszukiwała swojej drogi. Niczym niezrażona, z charakterystyczną dla siebie energią oraz optymizmem podejmowała się co i rusz nowych zajęć. Była już kasjerką, kelnerką, testerem oprogramowania, asystentką magika, budowlańcem, operatorem wózka widłowego, grała na harfie podczas pogrzebów, zajmowała się również wycinką drzew, kontrolą jakości w zakładzie produkującym bidety, nabijaniem nap, opieką nad starszymi osobami oraz wieloma innymi rzeczami.

— Dobra, mamy kochasia! — oznajmiła teraz z triumfem.

Przerzuciły maile wzrokiem. Tylko w ciągu ostatnich czterech dni chłopak o imieniu Darek wysłał ich sześć. W każdym podkreślał, że życie bez jego Pszczółeczki nie ma sensu, kocha ją szalenie, podziwia jej urodę i prosi o spotkanie, wybaczenie,

choć jedno słowo. Stalking — Wioletka wydała w głowie wyrok niczym profesjonalny sędzia. W wiadomościach nie było ani adresu, ani nazwiska amanta, ale za to znalazły zdjęcie en face oraz nazwę kawiarenki Kawka i Ciasteczko, która — jak wynikało z kontekstu miłosnego listu — znajdowała się tuż pod jego wieżowcem na Kostkoczyńskiej trzy przez cztery. Właśnie tam poznali się Majka z Darkiem (zgodnie z treścią maila z marca bieżącego roku).

Hakerka przejrzała zawartość kieszeni w poszukiwaniu kawałka papieru. Poza zużytą chusteczką higieniczną była jeszcze w posiadaniu skasowanego biletu MPK, na którego odwrocie zanotowała adres podejrzanego. Dzięki rozległej wiedzy z zakresu informatyki oraz działania służb śledczych wiedziała, że nie może być mowy o przesłaniu zdjęcia na osobistego maila. Zamiast tego sfotografowała telefonem monitor, z którego zalotnie zerkał na nią amant Dębskiej. Poza adresem oraz facjatą Darka nie udało jej się wyciągnąć niczego więcej z komputera, najwidoczniej Majka używała go jedynie do celów matrymonialnych.

W całej tej przeczności, żeby nie zostawiać śladów swojej obecności w mieszkaniu ofiary, Wioletka pominęła kwestię odcisków palców oraz naocznego świadka — czyli Pauli.

Na nic nie zdało się przejrzenie telefonu Mai. Książka adresowa była pusta, co od razu wyjaśniła blondynka. Jej przyjaciółka nie potrafiła dodawać kontaktów w supernowoczesnym smartfonie, który kupiła jakiś miesiąc temu. Dlatego za każdym razem, kiedy chciała zadzwonić, wpisywała cały numer. Z listy ostatnio przychodzących i wychodzących połączeń niewiele dało się wyczytać, ponieważ poza numerem do pizzerii i Pauli nic się nie powtarzało.

— Pojadę na Kostkoczyńską i spróbuję go znaleźć — powiedziała z powagą Wioletka, która właśnie w tym momencie podjęła decyzję, że samodzielnie przeprowadzi śledztwo.

Pozornie powściągliwa, wewnątrz aż podskakiwała z radości na samą myśl o wielkim sukcesie, jaki odniesie ona, drobna i delikatna kobietka stojąca w pojedynkę (!) przeciwko okrutnemu

porywaczowi. Żywiła nadzieję, że powodzenie, które uważała za bardziej niż pewne, wymaże z pamięci znajomych porażkę poprzedniej akcji i przyniesie jej szacunek oraz poważanie w środowisku detektywów. Takie rozwiązanie było dla niej tym bardziej wygodne, że wykluczało konieczność dzwonienia pod sto dwanaście, co zapewne zrobiłby na jej miejscu każdy rozsądny człowiek. Dziewczyna przeczuwała jednak, że posunęła się w swoich działaniach trochę za daleko, żeby teraz dało się to łatwo wytłumaczyć mundurowym.

— A ja co mam robić? — Paula przerwała to upajanie się w myślach przyszłym sukcesem.

— Nic. Siedź cicho, nie wychylaj się, bo jeszcze i ciebie porwie — tymi słowami prowadząca dochodzenie pozbyła się kłopotu w postaci ciągnącego się za nią niepotrzebnego ogona. — Jak coś będę wiedziała, zadzwonię. Zapisz mi na kartce numer telefonu, a ja dam ci swój. — Kiedy wymieniały się kontaktami, zapytała: — Nie masz jakiegoś zdjęcia Mai?

— No przecież, że mam! Wczoraj wieczorem porobiłyśmy sobie bombowe selfie. Wyślę ci MMS-em!

Nie minęła minuta, a komórka Wiołki zabrzęczała. Dziewczyna obejrzała fotografie. Szczególnie jedna doskonale nadawała się do działań śledczych: widniała na niej uśmiechająca się skromnie Dębska z krótko przystrzyżonymi włosami fantazyjnie zaczesanymi do góry. Miała ładną buzię. Do koszulki na ramiączkach w brązowe kropeczki z wieloma falbanami dobrała złoty wisior z pszczołką, która w miejscu oka miała bursztyn.

— Niezła z niej laska — stwierdziła z uznaniem przyjaciółka. — Dobraliśmy się we dwie, takie lalunie, że nie pogadasz.

Wioletka ugryzła się w język, powstrzymując się od komentarza na temat pewnych niedostatków urody Pauli. Zamiast tego zawołała:

— Jaka piękna przywieszka!

— Fajna ta pszczołka, Majka dostała ją od babci w dzieciństwie. Nigdy się z nią nie rozstawała, nawet spała z tym łańcuszkiem. Raz tylko wpadła w rozpacz, bo pszczołce trochę się ukruszyło skrzydełko, ale potem nawet się podniecała, że to lepiej, bo teraz

ta błyskotka jest bardziej unikatowa. No, nie każdy ma nadzianą rodzinę, żeby opływać w luksusy — powiedziała blondyna z nutką zazdrości w głosie. — Jakoś teraz mija rok od czasu, kiedy zmarła jej babcia i zapisała w spadku mieszkanie. Pszczoła zaraz spakowała plecak i przeprowadziła się do Łodzi. Sama zobacz, jakie pierwszorzędne lokum jej się trafiło! Zaplanowała, że zrobi kursy szycia, podciągnie się z języka i pojedzie pracować zagranicą do najlepszych domów mody. Nie wiem, po co jej to. Ja tam szkół dużo nie skończyłam, bez matury dostałam świetną robotę i żyjemy sobie z tatą niczym królowie. Jeśli ktoś jest szybki i pracowity, wtedy na akord można nieźle zarobić, a i człowiek sobie wygodnie siedzi przy stole, miło pogada z innymi babeczkami.

— Długo się znacie?

— Od liceum. Matka wysłała Majkę do babci, żeby tutaj skończyła ogólniak. Poza mną i teraz tym Darkiem z nikim się nie koleguje, szkoda jej czasu. Kiedy chodziłyśmy razem do budy, wieczorami, zamiast iść na piwo, ślęczała nad maszyną do szycia, ale nie można powiedzieć, dobra z niej przyjaciółka. Skończyła się szkoła, więc musiała wrócić na wioskę. Chciała zarobić kasę na kursy, no a potem pani Felicja zmarła. Szkoda kobitki, równa z niej była babka. Robiła najlepsze gołąbki z ryżem, jakie kiedykolwiek jadłam w życiu. Pszczoła po niej tak płakała, że szok. — Paula odruchowo zerknęła na wyświetlacz telefonu. — Słuchaj, muszę iść do domu, bo tata się będzie burzył, jeśli się spóźnię na kolację. Daj znać, jak się czegoś dowiesz.

— OK.

Z mieszkania wyszły razem. Komisyjnie zamknęły drzwi i w milczeniu schodziły na dół. Do lokalu na parterze właśnie wracała pani Teresa Roczniwska. Wiolka zagadnęła:

— Dzień dobry sąsiadce.

— Dzień dobry — odpowiedziała starowinka, próbując sobie przypomnieć, skąd zna dziewczynę.

— Mamy wyjątkowo ładną pogodę jak na wrzesień, nie sądzi pani? — Wiola skorzystała z najbezpieczniejszego znanego jej tematu, nie zwracając uwagi na szalejącą w tej chwili na dworze

burzę. Wiedziała jednak, że nie było chyba na świecie osoby, która nie miałaby do powiedzenia czegoś o pogodzie.

— Ładną, chociaż na mój gust odrobinę za ciepło. W lipcu panowały takie upały, że strach było wyjść z domu, w sierpniu tylko deszcz, deszcz, deszcz. Człowiek myślał, że jeśli doczeka do września, wreszcie będzie ulga, a tu nic z tego. Dzisiaj słońce paliło od samego rana, a teraz ulewa. Zaraz, a ty czasem nie jesteś córką Marysi Koperek? — domyśliła się staruszka.

— Jestem.

— Ale wyrosłaś! Pamiętam cię, kiedy jeszcze za dzieciaka wisałaś na trzepaku przez pół dnia głową w dół. Ale ten czas leci. Jak się czuje mamusia?

— Bardzo dobrze, nie narzeka.

— Całe szczęście! Bo kiedy zdrowia nie ma, to wszystko traci wartość. Pozdrów ją ode mnie, może jeszcze pamięta starą sąsiadkę. A ty, moje dziecko, kim jesteś? — zwróciła się do Pauli ukrytej za plecami Wioletki. — Nie bój się, nie gryzę, nie musisz się przede mną chować.

— Jestem Paula, koleżanka Pszczółki, znaczy się... no Majki Dębskiej — wydukała.

— Poznaję cię — powiedziała emerytka, uśmiechając się uprzejmie.

— Pani Roczniwska, skoro jesteśmy przy temacie Mai, chciałam o coś zapytać — zaczęła Koperek.

— Śmiało, moje dziecko.

— Nie zauważyła pani ostatnio, czy kręcił się w okolicy taki chłopak w starym mercedesie? Pokażę pani zdjęcie. — Odszukała MMS w telefonie.

— Jakie to malutkie! — Staruszka złapała się za głowę, wyjęła z torebki okulary, których szkła przypominały denka od butelek, i założyła je na nos. Trzymając telefon w odległości kilku centymetrów od twarzy, dokładnie przyjrzała się mężczyźnie. — Bardzo przystojny, a do tego brunet. Widziałam go. Od dobrego miesiąca kręci się po osiedlu samochodem, chodził na górę z kwiatami, nosił pod pachą moje ulubione wiśnie w czekoladzie. Nie dalej niż wczoraj stał na trawniku, zaglądał w okna. Taki

zakochany, aż miło popatrzeć. Trzy dni temu pokłócili się, trzymał młodą Dębską za dłoń, nie chciał puścić. W końcu wyrwała się, uciekła do domu. Tylko czekać, kiedy kawaler zaśpiewa naszej Mai serenadę na przeprosiny. — Rozmarzyła się. — Młodość, pamiętam, jakie to były piękne czasy! Człowiek miał mało zmartwień, wszystko było inne, bardziej kolorowe. Ech, szkoda, że to już nie wróci. Kochane dzieci, korzystajcie, póki możecie. Swoją drogą, dlaczego pytacie o tego zalotnika?

— Z czystej ciekawości — szybko odpowiedziała Wiola, chcąc uprzedzić Paulę. Kto wie, co też byłaby gotowa zdradzić niczego nieświadomej babci. — Dziękujemy pani za pomoc i poradę życiową. Dobrego wieczora. — Złapała blondynkę za rękę i wyciągnęła na zewnątrz.

— Czemu jej nie powiedziałaś prawdy? — wypaliła dziewczyna, kiedy stały skulone blisko siebie pod malutkim daszkiem, który z trudem chronił je przez ulewą.

— A co, jakby rozpowiedziała po całym osiedlu? Pomyślałaś o tym? To jest delikatna sprawa, trzeba trzymać buzię na kłódkę dla dobra Majki. Jak się porywacz zorientuje, że coś zwęszyłyśmy, wtedy może zrobić nerwowy ruch, na przykład ją zabije, a ciało zakopie, żeby się pozbyć dowodu.

— O nie! Tylko nie to! Nie pomyślałam o tym...

— No widzisz, dlatego ja poprowadzę śledztwo, a nie ty. Pamiętaj, nikomu ani słowa.

— Przysięgam — obiecała przestraszona Paula.

Dziewczęta rozbiegły się, każda w kierunku swojego domu. Pogoda nie rozpieszczała. Na dworze było ciemno, a deszcz lał się z nieba strumieniami.

ROZDZIAŁ 6

Ledwie wstało słońce, a Wioletka już była na nogach. Czekał ją pracowity dzień. Z samego rana skopiowała zdjęcia Pauli, Mai oraz Darka na płytę i poleciała do pobliskiej drogerii, gdzie ukryta za regałami z mydłem w płynie samodzielnie wywołała je w formacie dziesięć na piętnaście.

Ponieważ poprzednie śledztwo zakończyło się fiaskiem, tym razem zdecydowała, że nie będzie prowadzić notatek w klasycznym stylu, które w jej mniemaniu przyniosły pecha i były jedyną przyczyną niepowodzenia. Drugi raz nie zamierzała się ośmieszyć. Najskuteczniejszym sposobem porządkowania pozyskiwanych informacji wydała jej się tablica korkowa, na którą z bólem serca poświęciła w imię wyższej konieczności czterdzieści pięć pięćdziesiąt. Pełna dobrych przeczuć zamontowała ją na ścianie w przedpokoju od razu po przyjściu do domu.

Pomysł na tablicę zaczerpnęła z topowego serialu o poszukiwaniach seryjnego mordercy. Co prawda przestępca nie został ujęty, ale akurat ten drobny szczegół nie był teraz istotny. Korek dawał wiele możliwości. Bez dużego nakładu pracy można było do niego coś przyczepić, odczepić, dowolnie zmieniać ułożenie zapisków czy zdjęć. Do tego te przepiękne kolorowe pinezki, które upolowała (praktycznie za bezcen!) w papierniczym na rogu...

Na szesnastą pojechała na drugi koniec miasta do kuzynki, od której chciała pożyczyć swoją dwuipółletnią chrześnicę. Uznała bowiem, że kobieta pchająca wózek z dzieckiem nie będzie budziła niczyich podejrzeń, dzięki czemu może bezkarnie śledzić porywacza. Zmęczona codziennym zajmowaniem się rogatą córeczką kuzynka nie zadawała żadnych pytań. Zapakowała Marlenkę do malucha swojej wybawicielki, wepchnęła na siłę (mocno dopychając kolanem) wózek spacerowy do

mikroskopijnego bagażnika i nie wiadomo kiedy zdematerializowała się.

— Jedziemy! — ochoczo oznajmiła matka chrzestna, odpalając silnik.

Dziecko nic nie odpowiedziało, ponieważ już zdążyło zasnąć. Kiedy dojechały na miejsce, malutka nadal miarowo kołysała się z zamkniętymi oczyma w rytm bujania samochodu. Wioletka nie miała sumienia jej budzić, dlatego dla zabicia czasu zrobiła kilka rundek dookoła osiedla. Nie było żadnych wątpliwości, w którym budynku mieszkał Darek, ponieważ na Kostkoczyńskiej stał tylko jeden wieżowiec, a tuż pod nim pyszniła się wybudowana z czerwonej, nieotynkowanej cegły kawiarenka Kawka i Ciasteczko.

W końcu Marlenka obudziła się, czego nie omieszkała obwieścić przeraźliwym krzykiem.

— LENKA TUP, TUP, LENKA TUP, TUP — piszcziała, co w jej języku oznaczało, że chce bezzwłocznie wysiąść z samochodu.

Wiolka natychmiast wykonała polecenie brzdąca. Po dłuższej chwili szarpania się z wózkiem (sposób, w jaki należało go rozłożyć, musiał wymyślić sadysta, który nienawidzi dzieci, a jeszcze bardziej kobiet) i przypięciu dziewczynki pasami, wreszcie udało im się wyruszyć na zwiad.

Klatek schodowych, o zgrozo, było aż sześć. Do tego budynek miał jedenaście pięter i Bóg jeden wie, ile mieszkań na każdym z nich. Dziewczyna jęknęła. Jak wśród mrowia lokali znaleźć ten zajmowany przez amanta Majki? Właśnie miała podejść do grupki mężczyzn raczących się koło śmietnika napojami w puszkach, kiedy kątem oka zauważyła zdezelowanego zielonego mercedesa, który krążył po osiedlowej uliczce w poszukiwaniu miejsca parkingowego. Mam go! — ucieszyła się. Jak się za chwilę okazało — trochę za wcześnie.

— Am, am — powiedziała podopieczna.

— Lenko, zaraz coś zjemy — zapewniła ciocia, wyciągając dyskretnie z kieszeni zdjęcie Darka.

Auto pokryte w siedemdziesięciu procentach rdzą wtoczyło się na ostatnią wolną miejscówkę koło kiosku. Kierowca wysiadł,

mocno zatrzęsął drzwi i szybkim krokiem ruszył w stronę bloku. Bez wątpienia był to chłopak z fotografii.

Koperek pchała wózek co sił w rękach, goniąc obiekt poszukiwań. Niestety, spacerówka na plastikowych nieskrętnych kółkach obciążona czternastokilogramowym dzieckiem nie miała szans z wysportowanym młodzieńcem w wygodnym dresie. Dystans między nimi powiększał się. Kiedy facet dotarł do pierwszego z wejść, Wioletka wiedziała, że poniosła porażkę. Nie byłaby jednak sobą, gdyby się w tym momencie poddała.

— Hej, kolego! KOLEGO! — krzyknęła.

Marlenka oraz Darek popatrzyli na nią równocześnie. Widząc zainteresowane spojrzenie chłopaka, Wiola zaczęła biec. Jedną ręką pchała przed sobą wózek, a drugą wymachiwała, aby upewnić bruneta, że to właśnie o niego jej chodzi. Kółka wózka raz po raz klinowały się w nierównych płytach chodnika. Katastrofa wisiała w powietrzu. Nie trzeba było geniusza, żeby przewidzieć finał.

— O co chodzi? — odkrzyknął, przyglądając się dziwaczce.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ właśnie w tej chwili spacerówka przewróciła się na wyboju, upadając na bok z wielkim hukiem. Darek ruszył na ratunek. Razem z nieodpowiedzialną opiekunką podnieśli wózek. Dziecko, ku ich zaskoczeniu, śmiało się, zachwycone niecodzienną zabawą. Marlena podskakiwała z uciechy, domagając się powtórki.

— Lenka bach, bach eszcze, eszcze, Lenka bach, bach eszcze, eszcze!

— Czego tak lecis z tą małą? Zabijesz dzieciaka! — Facet o szyi prawie tak szerokiej jak jego głowa bezlitośnie zgromił Wioletkę.

— Wszystko przez te schody — tłumaczyła się, pokazując palcem w kierunku wejścia do bloku, do którego prowadziły trzy niewysokie stopnie i zero podjazdów. — Trudno mi jest samej wnieść wózek z córką. Jak tylko cię zobaczyłam, od razu pomyślałam, że pomożesz. Los matki w wielkomiejskiej dżungli nie jest łatwy. Jeśli nie schody, to za wąskie wejścia. Do tramwaju też nie wsiądziesz, a przecież przedszkole nie przyjedzie do domu. Będiesz miał dzieci, wtedy sam zobaczysz. — Otarła

wierzchem dłoni niewidzialną łzę.

Chłopak zmierzył wzrokiem stojącą przed nim kobietę, która nie wyglądała na słabowitą kruszynkę, ale jako dżentelmenowi nie pozostawało mu nic innego, tylko powiedzieć:

— Ej, spoko. Nie rycz. Pomogę ci. — Po czym złapał spacerówkę wraz z zawartością i zaniósł aż pod samą windę.

Dziewczyna poczyniła spostrzeżenie, że nawet się przy tym nie zasapał! Bez problemu mógł więc zarzucić sobie drobną Dębską na ramię, znieść do samochodu i zawieźć do miejsca, gdzie teraz ją przetrzymuje, oceniła Wiolka.

— Jedź pierwsza, razem się nie zmieścimy — stwierdził.

— O nie, nie mogę na to pozwolić. Tak dużo dla nas zrobiłeś, jeszcze tego by brakowało, żebyś musiał czekać na windę. Jakoś się pomieścimy — powiedziała przebiegle.

— OK — przystał niechętnie.

Z trudem upchnęli się we wnętrzu historycznego ustrojstwa. Koperek sprytnie wybrała miejscówkę koło guzików.

— Które piętro? — zaświergotała.

— Ósme — burknął Darek z rączką spacerówki wciśniętą w brzuch.

— Zobacz, Marlenko, jaki zbieg okoliczności! My też na ósme.

— Am, am — odpowiedziała dziewczynka, wskazując palcem na otwarte usta, w razie gdyby ktoś nie domyślił się, że jest głodna.

— Masz ładną córeczkę — zauważył mężczyzna.

— Mama ne, ne. — Mała pokręciła głową.

— To moja chrześnica.

— Mówiłaś, że córka — obstawał przy swoim.

— Przecież mówię, że córka chrzestna — odburknęła, szybko zmieniając temat. — Pewnie wracasz z pracy.

— Ano.

— Czym się zajmujesz?

— Pracuję w markecie.

— W którym?

— Jesteśmy na miejscu — powiedział, kiedy tylko winda podskoczyła, a setną sekundy później opadła, obwieszczając koniec trasy. Darek z ulgą zakończył konwersację.

Po krótkiej chwili przepychanek udało im się jakoś wysiąść z dźwigu, który najprawdopodobniej został zaprojektowany do przewożenia mrówek, a nie ludzi.

— Pa, pa. — Facet pomachał do brzdąca.

— Pa, pa — odpowiedziała dobrze wychowana dwuipółlatka. — AM, AM!

Wioletka przykucnęła i zaczęła namiętnie grzebać w koszyku wózka, jednocześnie czujnie obserwując poczynania amanta Dębskiej. Chłopak otworzył drzwi z numerem pięćset czterdzieści trzy, do których przymocowana była tabliczka z napisem „D. D. Orzechowscy”. Kiedy tylko wszedł do mieszkania, dziewczyna podała dziecku kawałek żulika¹, zapisała w notesie zebrane informacje i przycisnęła guzik przywołujący windę. Niespodziewanie Darek wyszedł na korytarz, dzierżąc w dłoni czerwony wór wypchany śmieciami.

— A co ty tu jeszcze robisz? — zapytał zdziwiony.

— Ja? Yyyy, głupia sprawa, pomyliłam klatki. Słyszy z Marlenką do jej koleżanki ze złobka, to miała być pierwsza klatka w tym wieżowcu tyle, że liczona od drugiej strony. — Zachwycona swoją kreatywnością Wiolka parsknęła śmiechem.

— Aha — mruknął, patrząc na nią jak na osobę niespełna rozumu.

— Synek, kto to? — Słyszać było głos starszej kobiety dochodzący z wnętrza pomieszczenia.

— Nikt, mamusia — odpowiedział, stawiając pod drzwiami wór, i wrócił do mieszkania.

Po zakończonej akcji Koperek odwiozła chrześnicę do mamy. Męczyło ją poczucie winy, że nie tylko naraziła dziecko na niebezpieczeństwo, nieodpowiedzialnie biegając z wózkiem, ale co gorsza w towarzystwie Marlenki spotkała się prawdopodobnie z porywaczem, z którym na domiar złego wsiadła do windy! Straszna ze mnie idiotka, skończona debilka, przecież jeśli faktycznie jest przestępcą to mógł skrzywdzić biedne maleństwo! — wyrzucała sobie. Żeby zagłuszyć wyrzuty

1 podłużny chlebek z rodzynkami, zabarwiony kawą zbożową, charakterystyczny dla regionu łódzkiego

sumienia, kupiła dziewczynce pełną reklamówkę słodyczy i przysięgła uroczyście, że nigdy więcej w toku prowadzenia śledztwa nie zaryzykuje zdrowiem ani życiem dziecka. Pocieszało ją jedynie, że dzisiejsze działania operacyjne przyniosły wymierne efekty. Nawet nie przypuszczała, że od razu pierwszego dnia ustali nazwisko oraz miejsce zamieszkania Orzechowskiego.

Po zwróceniu matce całej i zdrowej Marlenki wróciła do siebie. Zjadła kolację, ubrała się na czarno, spakowała do torby najpotrzebniejsze rzeczy: okulary przeciwsłoneczne, latarkę czołową, kryminał mrozący krew w żyłach, krzyżówki panoramiczne, długopis, notes, podręczną lornetkę do teatru, telefon, ładowarkę samochodową, dwie bułki z masłem i żółtym serem, termos z gorącą kawą latte na odtłuszczonym mleku, paczkę rodzynek, chusteczki higieniczne oraz lakier do włosów, i pojechała na Kostkoczyńską. Miała dużo szczęścia, ponieważ było jedno wolne miejsce parkingowe z widokiem jednocześnie na mercedesa w kolorze butelkowym oraz wejście do klatki, w której mieszkali Orzechowscy.

Dla uzyskania pewności, że obiekt obserwacji nie oddalił się z domu, zadzwoniła domofonem pod numer pięćset czterdzieści trzy i znów jej się poszczęściło, już po drugim sygnale odezwał się głos bezsprzecznie należący do Darka:

— Kto tam?

— Ulotki — odpowiedziała, zakrywając usta czarną apaszką w białe paseczki.

— Nie szkoda ci drzew na te śmieci? Zmiataj mi stąd. — Usłyszała w odpowiedzi.

Wróciła do samochodu wielce zadowolona. Facet był na miejscu, teraz wystarczy siedzieć mu na ogonie, aż w końcu sam, niczego nieświadom, grzecznie zaprowadzi ją do Dębskiej.

Po dwóch godzinach poczyniła pierwsze ważne spostrzeżenie z zakresu śledzenia podejrzanych: nie zaleca się wlewania w siebie półtora litra napoju bez możliwości skorzystania z toalety. Początkowo planowała wytrzymać, jednak natura okazała się silniejsza. Wizja cierpiącej katusze porwanej i zakrwawionej Mai

sprawiła, że Wiola nie była w stanie, ot tak, oddalić się z miejsca prowadzonej obserwacji, dlatego chcąc nie chcąc, palącą potrzebę załatwiła w pobliskim sadzie.

W oknach Orzechowskich ostatnie światło zgasło o pierwszej w nocy. Naładowana kofeiną buzująca w jej żyłach pani detektyw dzielnie trzymała się aż do piątej rano. Z równie błogiego, co niechcianego snu wyrwało ją światło słoneczne, wypełniające wnętrze fiata 126p. Przebudzona Wioletka podskoczyła z przestrachu. Spojrzała w stronę, gdzie jeszcze dosłownie sekundę temu, o czym była święcie przekonana, stał zielony merc. Pusto. Nie było go również widać na horyzoncie ani nigdzie indziej pod blokiem. Szpetnie przeklęła pod nosem. Jak mogłam zasnąć! — przeżywała w duchu własną słabość. I co teraz? Wracać do domu? Jeździć po całym mieście w poszukiwaniu chłopaka? Popatrzyła na zegarek, który wskazywał dziesiątą. Uznała, że Darek pewnie pojechał do pracy.

Pomimo oczywistego zaniedbania, którego się dopuściła, nie mogła pozwolić, żeby cały dzień śledztwa poszedł na marne. Nie zaszkodzi sprawdzić, czy mężczyzna nie przetrzymuje biednej Majki w mieszkaniu. Może wciągnął w przestępstwo również matkę, pomyślała z przejęciem.

Przeczesała włosy palcami, poprawiła ubranie i różnym krokiem ruszyła w kierunku klatki schodowej, prowadzącej do lokalu zajmowanego przez Orzechowskich. Postąpiła chwilę pod metalowymi drzwiami, dla niepoznaki trzykrotnie zawiązała i rozwiązała sznurówki trampek. Cierpliwość opłacała się, ponieważ po chwili z wnętrza budynku zaczęła wytaczać się kobieta w zaawansowanej ciąży. Dziewczyna wykorzystwała okazję. Przytrzymała brzemiennej drzwi, po czym wślizgnęła się do środka. Wjechała windą na ósme piętro i zadzwoniła do mieszkania pięćset czterdzieści trzy. Wrota lokalu uchyliły się na pięć centymetrów, czyli dokładnie tyle, na ile pozwolił metalowy łańcuszek.

— Słucham? — zapytała siwowłosa pani o obfitych kształtach.

— Anna Lisiewicz ze spółdzielni w sprawie dezynsekcji.

— Znaczy się czego? — Mieszkanka nie była pewna, czy dobrze

rozumie intencje dziewczyny.

— Robaków — odpowiedziała przebiegła Wioletka, która miała wiele koleżanek mieszkających w wieżowcach, dzięki czemu doskonale znała ich bolączki związane z dzikimi lokatorami w chitynowych pancerzach, szybko przebiegających sześcioma odnóżami.

— Nareszcie! — powiedziała kobieta, otwierając drzwi na całą szerokość. — Ile razy można do was dzwonić? Ale zaraz, nie tak szybko. Gdzie masz sprzęt?

— Jaki sprzęt?

— Do trucia! Przecież chyba nie będziesz po jednym paskudztwie zbierała w garstkę? — zadrwiła lokatorka, blokując całą sobą wejście do mieszkania.

— Pani Orzechowska, ja przyszedłam na komisję. Popatrzy się i zdecyduje, czy trucie się należy — burknęła zwyczajem niektórych pań piastujących stanowiska w urzędach.

— A co ma się nie należeć, skoro robactwo panoszy się w chałupie? Na całym osiedlu ten sam problem. Po co płacimy komorne?

— Dobrze, proszę mi pokazać insekty.

— Ani mowy nie ma! Nie jestem taka naiwna, żeby wpuszczać do domu obce baby. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś oszustką i mnie nie okradniesz?

— A niby gdzie schowam łupy? Po kieszeniach będę upychać?

— Zirytowana Wioletka teatralnie uniosła ręce, w których dzierżyła jedynie notes i długopis.

— Nie wpuszczę i koniec. Przyjdź, kiedy mój syn wróci z pracy.

— Starsza pani zaparła się.

— O której to będzie? — zapytała Koperek, starając się nie okazywać dużego zainteresowania.

— Kilka minut po szóstej.

— Pani Orzechowska, w spółdzielni pracujemy do piętnastej. Nie chce pani mnie wpuścić na wizję lokalną? Proszę bardzo, nie ma problemu. — Zaczęła namiętnie pisać w kajecie.

— A co tam bazgrolisz? — zapytała pani Danuta, wyciągając szyję.

— Notatkę służbową. Pani podpisze, co następuje: „Właścicielka lokalu numer pięćset czterdzieści trzy odmówiła przeprowadzenia oględzin wymaganych do podjęcia decyzji o dezynsekcji. Lokatorka jest zobowiązana dokonać dezynsekcji na własny koszt” — przeczytała nie bez złośliwej satysfakcji. — A, jeszcze jedno! Co to za zwyczaje, żeby wystawiać śmieci na klatkę? Potem wielkie zaskoczenie, że panoszy się robactwo! Spółdzielnia ma płacić za pani lenistwo? Zsypy są na każdym półpiętrze, chyba nie jest wielkim problemem przejść kilka kroków, żeby wyrzucić woreczek.

— Zaraz, zaraz, a kto powiedział, że ja odmawiam? — Na dźwięk słów „na własny koszt” Orzechowska wyzbyła się obaw w kwestii grożącego jej niebezpieczeństwa ze strony dziewczyny. — A te śmieci tak wyjątkowo... Zaraz polecę i wyrzucę, niech pani tego nie zapisuje.

Wiola powstrzymała się od komentarza, że ta wyjątkowa sytuacja z wystawianiem woniejących resztek miała miejsce również wczoraj, z tą tylko różnicą, że wór był czerwony, a nie czarny.

— Pani wejdzie, proszę bardzo, zapraszam — zachęcała gospodyni. — Może zrobię herbaty?

— Nie ma takiej potrzeby — odmówiła.

Fałszywa pracownica spółdzielni mieszkaniowej przemierzyła całe pięćdziesiąt osiem metrów kwadratowych lokalu z podążającą za nią krok w krok gospodynią. Z ciekawością obejrzała pokój, który — jak można było wywnioskować z rozwieszonych na ścianach szalików drużyn piłkarskich, plakatów z motocyklami, zwalonych koło łóżka hantli oraz sterty dresów przerzuconych przez krzesło przy biurku — należał do Darka.

Główne pomieszczenie, prawdopodobnie zasiedlone przez matkę, było wyposażone w nieśmiertelną meblościankę styl wczesny Gierek, wysłużoną wersalkę, dwa fotele od kompletu, stolik kawowy ze szklanym blatem, puszysty dywan i stary telewizor przykryty wykrochmaloną na sztywno serwetą. Mieszkanie było schludne, jasne i przytulne. Bujna roślinność

ocieplała wnętrze, dominowały kaktusy oraz fiołki, ale oczywiście nie zabrakło również uwielbianych przez starsze panie paproci. Całość wieńczył dachowiec, dostojnie ułożony na atlasowej poduszce w plamie słońca koło drzwi balkonowych.

Poza kompletem noży ustawionych na kuchennym blacie, w drewnianym stojaku w czerwone róże, Koperek nie dostrzegła potencjalnych narzędzi zbrodni. Była mocno rozczarowana, ponieważ w jej wyobraźni dziupla zbrodniarza powinna wyglądać zgoła inaczej. Brakowało narzędzi tortur, grubych sznurów, łańcuchów, kajdanek, metalowej kuli przyczepianej do nogi przetrzymywanego (widziała kiedyś taką, zwiedzając zamek na wycieczce w podstawówce), rolki taśmy izolacyjnej, petów gaszonych na meblach, duszącego w gardle dymu papierosowego, pudełek po jedzeniu na wynos, uschniętych badyli straszących z doniczek i oczywiście siekiery. Nie bacząc na tę rozbieżność, dziewczyna centymetr po centymetrze sumiennie spenetrowała teren. Oczywiście nie poprzestała na pobieżnym zmonitorowaniu pomieszczeń, gdzieżby tam! Poszukiwanie insektów było wyśmienitą przykrywką do bezkarnego zaglądania do szaf, szafek, pod łóżka, fotele, do wersalki, łazienki czy nawet piekarnika. Niestety Mai nigdzie nie znalazła.

— Piwnica, pomieszczenie gospodarcze albo garaż przynależą do lokalu? — zapytała, notując byle co w zeszytiku.

— To chyba pani sama powinna wiedzieć — oburzyła się kobieta.

— Pani Orzechowska, proszę nie utrudniać. Grzecznie pytam, a pani grzecznie odpowiada — naskoczyła na lokatorkę, udanie naśladowując typową służbistkę.

— Nie przynależą, a powinny! — Gospodyni podniosła głos.

— Proszę mi tutaj nie pokrzykiwać. Złoży pani podanie, a może się coś znajdzie. Dobrze, ja wszystko obejrzałam, w ciągu dwóch tygodni przyjdzie pismo, czy dezynsekcja się należy.

Właścicielka lokalu właśnie otwierała usta, ale Koperek ją uprzedziła:

— Zdradzę pani w tajemnicy, że decyzja będzie pozytywna.

— Znaczy, że... — Matka Darka chciała mieć absolutną pewność,

że dobrze się rozumiwały.

— Że odrobaczymy na nasz koszt.

— To dobrze — powiedziała zadowolona kobieta i zamknęła drzwi za wychodzącą.

Czekając na windę, Wioletka chciwie zerkała na trzydziestolitrowy worek na śmieci. Niestety czarna, gruba folia nie zaspokajała jej ciekawości. Niewiele myśląc, złapała przedmiot zainteresowania i wskoczyła do wnętrza dźwigu. Na poczekaniu przygotowała wymówkę, na wypadek gdyby Orzechowska oburzyła się, że urzędniczka okradła ją z odpadków i zaczęła gonić. W takiej sytuacji Wiola powiedziałaaby, że jako pracownica spółdzielni nie mogła beczynnym patrzeć, jak budynek niszczy i nasiąka zapachem odpadków, dlatego musiała działać.

Po opuszczeniu wieżowca dziewczyna udała się do pobliskiego śmietnika. Niestety, pomimo wczesnych godzin porannych miejscówkę nieopodal już oblegali ukryci koło trzepaka za kontenerami entuzjaści napojów wysokokowych. Odwrotu jednak nie było, oddalenie się teraz z czarnym wypchanym workiem zapewne wzbudziłoby niepotrzebne zainteresowanie. Wioletka nie raz udowodniła, że w jej słowniku nie istniało określenie „sytuacje bez wyjścia”. Rola, którą odegrała, zasługiwała jej zdaniem na Oscara. Silnie chwyciła za plastik i niby zupełnym przypadkiem rozerwała go. Zgodnie z planem nieczystości rozsypały się tuż pod jej nogami. Nie zapomniała o złorzeczeniu pod adresem producenta worków na śmieci, którego obwinała o oszczędzanie na materiałach w procesie produkcji. Koneserzy taniego alkoholu przerwali konwersację i w absolutnym milczeniu z zaciekawieniem obserwowali poczynania dziewczyny.

Wiola zbierała śmieci z rosnącą irytacją. Okazało się, że ani jedna z resztek państwa Orzechowskich nie była godna jej uwagi. Trzeba uczciwie przyznać, że trudno wyczytać istotną dla śledztwa informację z obierków po jabłkach i ziemniakach, z pestek po śliwkach, potłuczonego słoika, kartonów po mleku i sokach, opakowania po mydle, pudełka po proszku do prania czy

dwóch przetartych (noszonych!) męskich skarpet.

— To chyba nie jest twój szczęśliwy dzień, laluniu — przemówił w końcu pan z brązową butelką.

— Chyba nie — przyznała niechętnie.

— Kiedyś se człowiek kulturalnie zszedł z wiaderkiem, śmiecie wysypał i po krzyku, a teraz tylko wory. Każdy myśli, że to higienicznie, rączek se nie pobrudzi, ale nic z tego! Folia ino w mig się rozerwie, a potem zbieraj brudy gołymi łapami. My ze starą nie ulegliśmy nowej modzie, i o ile to ekologiczniej — pochwalił się brzuchaty jegomość, wskazując puszką na stojący u jego stóp niedomyty kubełek z czarną rączką.

— Sratatata, pierdu-pierdu, uważaj, bo ci kto uwierzy, Tymek! — wypalił wąsaty blondyn. — Kasy chytrzysz na worki i tyle.

— Ty, Władek, zawsze szukasz zwady. Myślisz, że woda do mycia wiadra za darmo leci z kranu? — zdenerwował się zwolennik starych i sprawdzonych rozwiązań.

— Mhyyy, a my niby nie wiemy, że płuczesz kubeł w hydrancie? — zaśmiał się inny z grupki zebranych panów.

Tymek odstawił puszkę i podwinął rękawy. Właśnie szykował się do bitki, kiedy nieoczekiwanie przemówił dotychczas spokojnie sączący z gwinta wiśniowe wino dostojny pan w kaszkiecie w pepitkę oraz w kamizelce w takim samym wzorze, naciągniętej na niebieską koszulę z kołnierzykiem.

— Dosyć. Wśród nas jest dama, dlatego proszę się zachowywać z należytą godnością — rzekł, zerkając w kierunku panny Koperek, która właśnie kończyła nagarniać rękoma ostatnią kupkę odpadków. — Tymoteuszu, Władysławie, podajcie sobie dłonie na zgodę — zarządził.

Najwidoczniej ów mężczyzna cieszył się poważaniem wśród zebranych, ponieważ panowie posłusznie podali sobie ręce i wrócili do przerwanej nawadniania organizmów.

Brudna i zmęczona Wiola właśnie miała odchodzić. Przyszło jej jednak na myśl, że przecież obecni tu osobnicy prawdopodobnie znaczącą część każdego dnia spędzają na świeżym powietrzu, racząc się wyrobami zakładów monopolowych. Dzięki temu znają z widzenia (i nie tylko) wszystkich mieszkańców osiedla.

Czemu nie miałyby skorzystać z ich wiedzy? Pewnie skutecznie podziałałoby przekupstwo, ale jako bezrobotna nie mogła sobie pozwolić na zbytki, dlatego też, żeby wyciągnąć informację, postanowiła połechtać ich próżność.

— Panowie, mam wielki kłopot i tak sobie pomyślałam, że kto jak kto, ale tacy spostrzegawczy dżentelmeni jak wy na pewno nie odmówią pomocy kobiecie.

Wszystkie przekrwione oczy zwróciły się w jej kierunku.

— Szukam właściciela zielonego mercedesa, rocznik na oko mniej więcej tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt, który często parkuje zaraz tutaj pod blokiem. Jeździ nim młody chłopak, raz widziałam, że wchodził do pierwszej klatki.

— Po co ci to wiedzieć? — zapytał podejrzliwie przeciwnik worków na śmieci. — Może ty z psów jesteś, he?

— A gdzie tam. Zakochałam się — wyjaśniła z westchnieniem.

— A, to inna sprawa — powiedział wąsacz. — Raczej nie masz u niego szans, laluniu. On się prowadzi z chudymi.

— Bożydarze! — fuknął przywódca grupy.

— Panie hrabio, przecież ja tak z troski! Po co ma se panna robić nadzieję? Ja to nawet wolę takie kobitki, gdzie jest za co złapać, ale czy dzisiejsza młodzież potrafi docenić prawdziwe piękno?

— Droga pani, proszę wybaczyć naszemu koledze — przemówił arystokrata. — Może się czasem wydawać nieco nieokrzesany, ale zapewniam, że ma pani do czynienia z dżentelmenem o gołęmbim sercu. Kawalerem, o którego pani pyta, jest zapewne Darek Orzechowski. Człowiek uczciwy, pomocny i spokojny. Mieszkają we dwoje wraz z szacowną matczką. Oboje cieszą się pośród lokalnej społeczności powszechnym poważaniem. Ów jegomość nie ukończył wielu szkół, zrezygnował z edukacji na etapie szkoły podstawowej, ale w żaden sposób nie umniejsza to jego inteligencji. Jest pracowity i jak każdy porządny mężczyzna interesuje się sportem. Wcześniej biernie, jako widz meczów piłki nożnej, ale od kilku miesięcy zajmuje się nim również aktywnie, jest mi wiadomo, że zapisał się do osiedlowej siłowni. Więcej w niniejszym temacie moi koledzy ani ja nie powiemy, gdyż wykracza to poza naszą wiedzę. Ze swojej strony możemy

jedynie życzyć powodzenia. Proszę jednak pamiętać, że sprawy sercowe należą do delikatnych tematów. Jest pani młodą osobą, więc jeśli nie powiedzie się pani z Dariuszem, z pewnością ktoś inny skradnie serce szanownej panienki.

— Dziękuję — wydukała Wiolka, zawstydzona i zaskoczona elokwencją oraz podniosłą przemową mężczyzny.

Zebrani w milczeniu odprowadzili ją wzrokiem aż do samochodu.

Do osiemnastej pozostało dużo czasu. Koperek pluła sobie w brodę, że nie wyciągnęła ani z matki, ani z przytrzepekowej drużyny, gdzie pracuje poszukiwany. Ostatecznie uznała, że co się stało, to się nie odstanie, więc bez sensu płakać nad rozlanym mlekiem.

Ponieważ głupio było siedzieć w aucie pod ostrzałem niespuszczających z niej oczu osiedlowych pijaczków, przekręciła kluczyk w stacyjce i pojechała do domu. Przebrała się, umyła, zawiesiła na tablicy zdjęcia oraz notatki z postępów śledztwa, przespała się i punkt osiemnasta dziesięć wróciła na Kostkoczyńską. Przewornie postawiła fiata w miejscu niewidocznym z okolicy kontenerów.

O osiemnastej dwadzieścia na wjeździe od strony skrzyżowania zamajaczył samochód, którego z niecierpliwością oczekiwała. Kiedy mijał czerwonego malucha, dziewczyna schyliła się, ukrywając głowę pod kierownicą. Darek zaparkował wóz nieopodal jej fiata. Wiola ukradkiem popatrzyła przez lornetkę na młodego Orzechowskiego wypakowującego z bagażnika cztery wielkie torby wyładowane papierem toaletowym. Sprawunki ułożył koło zderzaka, dzięki czemu obserwatorka mogła bez problemu obejrzeć sobie puściutki bagażnik — ofiary w nim nie było. Chłopak zamknął samochód, ujął w dłonie siaty, niespiesznie ruszając do domu. Kiedy zniknął w metalowych drzwiach klatki schodowej, prowadząca dochodzenie podeszła do mercedesa. Zbadała wnętrze pojazdu: żadnych śladów przewożenia krwawiącej Mai. Na podłodze wały się jedynie puste opakowania po batonach, kilka opróżnionych butelek po wodzie mineralnej, a deska rozdzielcza była pokryta warstwą

kurzu, co raczej nie sprawiało wrażenia, że ktoś tu sprzątał na przestrzeni ostatnich dni. Chyba że dla niepoznaki rozrzucił niedbale śmieci i posypał czymś wnętrze, ale czy byłyby aż tak przebiegły? — zachodziła w głowę, notując spostrzeżenia w podręcznym notesie.

Przez bite dwa dni Wioletka nie odstępowała Orzechowskiego na krok. Jeździła za nim po zakupy, na siłownię oraz na stację benzynową. W czasie tych czterdziestu ośmiu godzin chłopak nie udał się w żadne inne miejsce. Dla pewności, że jej nie zwodzi, odczekiwała kilka minut, po czym wchodziła za nim do środka ubrana na czarno, w czapce bejsbolowej i gigantycznych okularach przeciwsłonecznych. Mierzyła wzrokiem pomieszczenia, rozglądając się tak długo, dopóki nie spostrzegła Darka. Swoim strojem, który w założeniu miał służyć za kamuflaż, zupełnie nieświadomie i niezamierzenie budziła ogromne zainteresowanie, sprawiając, że zamiast planowanej niewidzialności była doskonale zapamiętywana.

Szczyśliwie dla przebiegu śledztwa chłopak wyraźnie unikał pokonywania dystansów na nogach, przemieszczając się tylko i wyłącznie autem. Aż strach pomyśleć, jak w przeciwnym wypadku poradziłaby sobie w roli ogona raczej mało dyskretna Wiolka. Mocno wątpliwe było, by czarna postać podążająca krok w krok umknęła uwadze śledzonego.

W trzeciej dobie wzmożonych działań operacyjnych Koperek udała się za zardzewiałym mercedesem do hipermarketu, który okazał się miejscem pracy chłopaka. Orzechowski zaparkował wóz, po czym zniknął za drzwiami z tabliczką „Tylko dla personelu”. Dziewczyna wyjęła ze schowka notes oraz długopis, żeby napisać:

Prawdopodobnie przez ostatnie dwa dni podejrzany miał wolne.

Zostawiła na parkingu swój pojazd i powlokła się do wielkopowierzchniowego giganta pokrytego niskiej jakości blachą falistą, na której zawieszono migające światełka, tablice reklamowe i co najważniejsze: półtorametrowej wysokości neon

z nazwą sklepu. Wioletka swoim sokolim wzrokiem praktycznie od razu wypatrzyła podejrzanego siedzącego przy kasie w firmowym wdzianku.

Coraz bardziej odczuwała efekty zmęczenia, dlatego dopiero po zlokalizowaniu Darka uświadomiła sobie, że właśnie w tym budynku spędziła poprzednie wakacje, dzielnie skanując jadące ku niej po taśmie produkty. Genialnie! — pomyślała, niemalże podskakując z zachwytu. Odwróciła się plecami do kasjera i wyszukała punkt obsługi klienta.

Zanim dotarła do celu, odruchowo zerknęła w witrynę butiku z eleganckimi torebkami na każdą kieszeń. Widok, który ukazał się jej oczom, o mało jej nie zabił. Uwagę Koperek przykuło coś zupełnie innego niż pikowana kopertówka zapinana na zatrzask. Zamiast tego powalającego wyrobu z ekoskóry zobaczyła swoje odbicie, a przynajmniej domyślała się, że to właśnie widzi, ponieważ trudno było jej rozpoznać siebie w rozczochranym kocmołuchu z podkrążonymi oczami, w poplamionym ubraniu. Powąchała bluzkę. Fuj! Skrzywiła się, czując nieświeżą woń do złudzenia przypominającą zapach martwej wiewiórki leżącej od tygodnia na słońcu. O nie, nie mogła się tak pokazać byłym współpracownikom.

Nerwowo rozejrzała się na boki, czy czasem ktoś jej nie zauważył. Na szczęście wszyscy obecni udawali, że jest niewidzialna, jak to mają w zwyczaju przechodnie, kiedy na swojej drodze spotykają włóczęgę. Jedyne wymalowana nastolatka sprzedająca perfumy na stoisku w części marketu określanej mianem pasażu łąpała na nią zza szkieł okularów. Nieudolnie ukrywała się za regałem, skąd przeprowadzała rozmowę z kimś po drugiej stronie słuchawki. Przezornie zakrywała usta dłonią, co i rusz spoglądając na Wioletkę — kloszarda. Panna Koperek nie zamierzała czekać na ochroniarza, który zapewne za chwilę zjawi się, żeby przepędzić łązę straszącą klientów wyglądem oraz roztaczanym aromatem. Wmieszała się w tłum i razem z falą ludzkich ciał dopadła do łazienki.

W hipermarketowej, względnie czystej umywalce dokonała

szybkich ablucji. Przyczesła potarganą czuprynę grzebieniem, a przy użyciu zawartości kosmetyczki zrobiła sobie makijaż. Na koniec dla odświeżenia spryskała się wodą toaletową, którą dostała pod choinkę. Nierozwiązana pozostała kwestia brudnych ubrań, ale i na to pomysłowa pani detektyw znalazła radę.

W zdecydowanie lepszej kondycji niż jeszcze pięć minut temu wyszła do pasażu. Ochroniarz przemierzający halę w poszukiwaniu włóczęgi zerknął na nią podejrzliwie, ale szybko stracił zainteresowanie.

Poszła na parking. Pogrzebała w bagażniku, pod siedzeniami, w schowku. Pełen sukces! Wioletka nie słynęła z nadmiernego zamiłowania do porządku, dlatego praktycznie zawsze i wszędzie miała gdzieś poupychane części garderoby, jedzenie oraz picie. Jak się okazywało, nieraz ratowało ją to z mniejszej czy większej opresji.

Ściskając pod pachą zdobycze, ponownie skorzystała ze świątyni dumania, gdzie przebrała się z poplamionej czarnej bluzki w wymiędlony T-shirt z napisem „Ratujmy drzewa”. Zawiązała go na supeł na wysokości pępka, co sprawiło, że zagniecenia przestały rzucać się w oczy. Spodnie nie pierwszej świeżości zamieniła na dżinsy, a przepocone skarpety i trampki — na balerinki z ozdobną klamerką. Dotychczasowe odzienie upchnęła w workowatej torebce, raz jeszcze zerknęła w lustro i z zadowoleniem popatrzyła na pachnącą świeżością, magicznie odmłodzoną siebie.

Raźnym krokiem i z przyklejonym do twarzy uśmiechem podeszła do punktu obsługi klienta, gdzie zadzwoniła stojącym na nim hotelowym dzwonkiem.

— O co chodzi? Nie widzi pani, że wypełniam dokumenty? — opryskliwie zapytała oparta o kontuar kobieta w średnim wieku.

Intruz bez słowa ponownie docisnął dzwonek. Podenerwowana pani przykryła go dłonią i zerknęła na osobę, która ośmielała się jej przeszkadzać.

— Wioletka! — wykrzyknęła z radością na widok dziewczyny, po czym uniosła do góry część ruchomą lady. — Niech ja cię wyściskam! Gdzieś ty się podziewała? Wszyscy za tobą

tęskniliśmy! Bez ciebie tutaj nie jest tak samo.

Koleżanki przywitały się wylewnie, w ciągu kilku minut zdały sobie relacje z tego, co u nich słyszą. Po przydługim wstępie Koperek przeszła do rzeczy.

— Grażynko, Janusz tu jeszcze pracuje? — chciała się dowiedzieć.

— A pewnie, że pracuje. Chciałaś coś od niego? Wracasz do nas?

— Wracać to nie, ale mam prywatną sprawę do Janusza.

— Poszczyli ci się, bo przed chwilą przyszedł i pije u siebie kawę.

— Mogłabym do niego na minutkę?

— Dla ciebie wszystko! — Pracownica postawiła na ladzie tabliczkę z napisem „Zaraz wracam”, a następnie podeszła do białych drzwi straszących ostrzeżeniem koloru świeżej krwi: „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY!” i otworzyła je kluczem. — Wchodź.

Wiola poszła za Grażyną. Zatrzymały się przed niewielkim pomieszczeniem z na wpół uchylonymi drzwiami.

— Tylko popatrz, kogo ci przyprowadziłam — powiedziała Grażynka.

Mężczyzna siedzący tyłem do wejścia z nogami ułożonymi na stole odwrócił się twarzą do gości.

— Wioletka! — krzyknął, wstając z takim impetem, że z filiżanki, którą trzymał w dłoni, wylało się na spodeczek trochę kawy. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, odstawił ręcznie zdobioną w niebieskie słoniki porcelanę, żeby przywitać się z byłą kasjerką. — Grażynko, skąd ty ją wytrzasnęłaś? — zapytał, kiedy w końcu puścił dziewczynę. — Nie wierzę własnym oczom!

— Sama przysła. — Kobieta była rozbawiona. — Dobra, macie coś do obgadania. Zostawiam was i idę tyrać — powiedziała, wychodząc.

— Wracasz do nas? Powiedz, że tak! — naciskał kierownik. — Co mi ktoś przyjdzie do roboty, chwilę popracuje i zaczyna grymasić: a że godziny pracy nie takie, jak by chciał, przerw za mało, klienci nieuprzejmi, krzesła niewygodne... i ciągle tylko by latali na papieroska albo siku. Ja nie wiem, czy teraz każdy ma

problem z pęcherzem moczowym? Z ciebie, Wioletka, był złoty pracownik. Zawsze uśmiechnięta, bez marudzenia, raz, raz i wszystkie produkty zeskanowane.

— To miłe — wzruszyła się — ale na razie nie planuję wracać. Wiesz, jak mówią: dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi. — Zaśmiała się serdecznie.

— Wielka szkoda, ale pamiętaj, jeśli się tylko namyślisz, wal śmiało, miejsce dla ciebie zawsze się znajdzie.

— Dzięki, będę pamiętała.

— Dobra, mów, co cię sprowadza, bo nie uwierzę, że przysłaś tylko na pogaduszki.

— Nie będę kłamała, że jestem tutaj bezinteresownie. Mam sprawę, ale powiem ci, o co chodzi, jeśli przysięgniesz pełną dyskrecję.

— U mnie każda tajemnica jest bezpieczna. Mów, co tam, bo od piętnastu minut powinienem zasuwać w kołchozie.

— Sprawa jest delikatna. Mam podejrzenie, że jeden z twoich kasjerów zarysował mi pod blokiem fiata i uciekł — niechętnie skłamała.

— Błyskawicę? Nie może być! Ten rupieć jeszcze jeździ? — wyraził szczere zdziwienie były szef.

— Janusz, ty jesteś niemożliwy! Podobno ci się spieszyło... — mruknęła.

— Racja. Do rzeczy, Wioletka, do rzeczy. Jak mogę ci pomóc? Mów, który ośmielił się uszkodzić wóz mojej najlepszej ekspracownicy? Już ja mu wlepię same nocki, i to w weekendy! Odechce się łobuzowi takich numerów. — Szef poczuł na sobie błyszczącą zbroję rycerza, który musi pomścić stratę białogłowy.

— Właśnie nie, nic masz nie robić! Masz mi tylko udzielić informacji! — Wioletka straciła cierpliwość.

— Dobra, jasne. Udzielić informacji. Mów jakiej, a ja jej w trymiga udzielam — dowcipkował.

— Chodzi o Darka Orzechowskiego. To było w tym miesiącu około trzeciej nad ranem z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego.

— Słuchaj, a nie lepiej pójść z tym na policję?

— Chcę się upewnić, czy nie był wtedy w pracy, żeby nie zrobić z siebie idiotki przed władzami. Zresztą miałaś udzielać mi informacji, a nie się mądrzyć!

— Racja. Informacji. Sprawdźmy, czy nasz Dareczek był tej nocy w robocie. — Janusz wyjął z metalowej szafy segregator. Przewertował kartki ułożone w przezroczystych koszulkach, aż w końcu powiedział: — Wioletka, niestety, jeśli nadal mieszkasz tam, gdzie mieszkałaś, nie ma szans, żeby to właśnie on przerysował ci Błyskawicę. Z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego akurat mieliśmy inwentaryzację i chłopak dzielnie liczył produkty sypkie oraz słodyczne od dwudziestej pierwszej aż do szóstej rano. Miał co prawda dwie przerwy po trzydzieści minut, ale z tego, co wiem, przejazd stąd pod twój blok zajmuje dobre czterdzieści minut, że nawet nie wspomnę o powrocie. No, chyba że poleciałby rakieta, ale raczej się jej u nas nie dorobił. — Mężczyzna nie tracił dobrego humoru.

— Może ulotnił się na jakiś czas, a potem niepostrzeżenie wrócił albo wyszedł wcześniej? — myślała głośno.

— Żartujesz sobie? Co ty, zapomniałaś, jak jest na nocnej zmianie? Wtedy nadzoruje Zbyszek, a przed Zbyszkciem nikt ani nic się nie ukryje. Zresztą ja też wtedy byłem, chciałem dorobić trochę grosza. Policzyliśmy z Darkiem wszystko od alejki dziesiątej do piętnastej. Przykro mi, ale musisz poszukać innego winnego. Swoją drogą, ten chłopak jest całkiem do rzeczy, nie mam z nim żadnych problemów.

W drzwiach pojawiła się męska głowa.

— Janusz, szybko leć na halę. Stary idzie — wyszeptał mężczyzna. — O, Wioletka, kupę lat! Ty też uciekaj, jak cię Stary zobaczy na terenie biurowca, to jeszcze gotów oskarżyć o szpiegostwo. Obcym wstęp surowo wzbroniony, sama wiesz — powiedział z ironicznym uśmiechem na twarzy i uciekł.

Koperek pamiętała Starego. Przez jakiś czas był jej bezpośrednim przełożonym. Uciał premię od i tak głodowej pensji pracownicy stoiska z wędlinami tylko za to, że ośmieliła się przyprowadzić czteroletniego syna do pracy. Na nic zdały się prośby kobiety, cieszący się złą sławą służbista był nieubłagany.

— Wiolka, spadamy. — Janusz chwycił ją za rękę i pobiegli w stronę wyjścia.

Szybko pożegnali się przy punkcie obsługi klienta i rozeszli.

Dziewczyna odczekała w samochodzie czas pozostały do końca pracy Darka. Dla rozrywki obdzwoniła najbliższych znajomych ze Słodziutkiej Babeczki, dzięki czemu zebrała całkiem pokaźną porcję nowinek z życia byłych współpracowników. Dowiedziała się między innymi o narodzinach kolejnego wnuka pani Draceńskiej, ognistym romansie Tadka z Bożenką, ale największą bombą było odejście z pracy Antka. Ku zaskoczeniu wszystkich Maczkowski bez słowa wyjaśnienia złożył wypowiedzenie, żaden z informatorów nie potrafił powiedzieć Wioli nic więcej w tym temacie. Zatroskana losem kolegi od razu spróbowała się do niego dodzwonić, niestety jak na złość nie odbierał. Kiedy skończyła pogaduszki, przerzuciła się na rozwiązywanie krzyżówek. Starła się nie zasnąć, a nie było to łatwe. Ze zmęczenia dwoiło jej się i troiło przed oczyma. Dźwięk zamykanych drzwi od starego mercedesa wyrwał ją z mikrosnu. Trzymając się w odległości jednego samochodu od śledzonego, wjechała w Kostkoczyńską i bezrefleksyjnie zaparkowała zaraz obok Orzechowskiego.

Facet zabrał rzeczy z siedzenia pasażera, zgasił silnik i właśnie miał wysiąść, kiedy zupełnie nieoczekiwanie jego spojrzenie spotkało się ze zmęczonym wzrokiem Wioletki. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym dziewczyna opuściła głowę. Serce waliło jej jak młotem.

— Boże, jaka ze mnie idiotka! I to ma być dyskretne prowadzenie obserwacji? — mamrotała pod nosem.

Darek wysiadł z samochodu i zaczął iść do domu. Nagle zatrzymał się, zawrócił. Koperek skurczyła się. Chłopak wyraźnie zmierzał w jej kierunku. Wpadła w panikę. Adorator Dębskiej stanął obok drzwi od strony kierowcy i zapukał w szybę. Opuściła ją do połowy.

— Nie jesteś czasem tą panną z dzieckiem, której pomagałem wejść do klatki?

— Nie wiem, o czym mówisz. Widzę cię pierwszy raz w życiu —

wydukała wystraszona.

Zamilkł, przyglądając się jej uważnie.

— Jestem pewien, że to ty — powiedział wolno. — Łazisz za mną od kilku dni. Wypytyujesz o mnie. Wysiadaj! — wysyczał, łapiąc za kłamekę.

Skrajnie wyczerpaną i niewyspaną Koperek przeraził nagły atak. Drzwi auta były zablokowane, ale kto wie, jaki pomysł może mu przyjść do głowy? Zadziałał instynkt samozachowawczy. Dziewczyna chwyciła w dłoń wcześniej przygotowaną broń: lakier do włosów. Widziała taką scenę w jednym filmie, gdzie ów niepozorny kosmetyk okazał się doskonałą alternatywą dla gazu łzawiącego. Psiknęła z całej siły. Strzał był celny. Chmura lakieru trafiła prosto w oczy Orzechowskiego. Mężczyzna zakrył twarz dłońmi, krzycząc rozmaite epitety pod adresem wystraszonej Wioletki, a ona wykorzystała ten moment na ucieczkę.

Tętno wróciło jej do normy dopiero wówczas, kiedy zajęła pod swój blok. Z trudem zebrała myśli, żeby dokonać pobieżnej analizy sytuacji z uwzględnieniem efektu działań operacyjnych poprzednich trzech dni. Niejasno majaczyło jej się, że dla spraw o porwanie decydujące są pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny. Nie miała pojęcia, ani gdzie o tym słyszała, ani tym bardziej co to miałyby znaczyć. Uznała jednak, że czas zawiesić bezowocną obserwację. Podejrzany nie tylko nie doprowadził jej do miejsca przetrzymywania młodej Dębskiej, ale i miał żelazne alibi.

Wiola otworzyła drzwi malucha i z nadludzkim wysiłkiem dowlokła się do łóżka, w którym spędziła nieprzerwanie kolejne osiemnaście godzin swojego życia.

ROZDZIAŁ 7

Zdezorientowana Koperek obudziła się z długiego snu. Zegarek wskazywał godzinę ósmą rano. Dla pewności sprawdziła w telefonie dzień — była sobota. Doprowadzenie się do stanu względnej używalności zajęło jej kilka godzin. Z wielkim szacunkiem pomyślała o policjantach, którzy stale wykonują tak wyczerpującą pracę, jaką ona zajmowała się przez nieco więcej niż trzy doby.

Zwarta i gotowa późnym popołudniem rozsiała się na podłodze w dużym pokoju, gdzie aż do wieczora porządkowała notatki. Na kolorowych karteczkach ślicznie wykaligrafowała najważniejsze informacje. Stworzyła harmonogram wydarzeń, które miały miejsce, począwszy od zaobserwowanego ataku na Maję. Zapał straciła dopiero z chwilą, gdy należało zaplanować dalsze działania. Nic. Pustka w głowie. W sytuacji gdy śledztwo utknęło w martwym punkcie, pozostaje do zrobienia tylko jedno — trzeba zacząć wszystko od początku. Ale jak? Nie wiedziała. W obliczu braku pomysłów postanowiła, że najlepiej będzie się położyć, w końcu mama zawsze mówiła, że wypoczęty umysł pracuje dużo sprawniej. Odwiesiła tablicę w przedpokoju i postąpiła zgodnie z tą wpajaną jej mądrością.

Po przebudzeniu z chwilą otwarcia oczu Wioletka ciepło pomyślała o swojej rodzicielce. Że też wcześniej na to nie wpadłam! Przecież żeby znaleźć oprawcę Mai, trzeba poznać jej wrogów. A żeby poznać jej wrogów, trzeba poznać samą ofiarę. Od kogo więcej dowie się o Dębskiej, jeśli nie od jej najbliższych sąsiadów? Wywiad środowiskowy! To należy zrobić — dedukowała. Nowo powstały plan napisała zamasyście na kartce leżącej na nocnym stoliku.

Niedzielę spędziła w domu pod pretekstem sporządzania dokumentacji. Ukryta za zwiędłymi pelargoniami fotografowała mieszkańców bloku naprzeciwko, których zamierzała przepytac.

Oczywiście to jakże wymagające zadanie nie zajęło jej całego dnia, resztę czasu poświęciła na regenerację sił, czytając wciągający kryminał i racząc się podczas lektury kanapkami z żółtym serem szczodrze oblanymi keczupem.

Dopiero w poniedziałek Wioletka postanowiła wyjść z domu i to też tylko dlatego, że wygonił ją głód. Lodówka, która już od kilku dni świeciła pustkami, teraz zawierała jedynie keczup, musztardę oraz olej rzepakowy. Dłużej nie można było czekać z jej napełnieniem. Dziewczyna z niepokojem zerknęła do szuflady, gdzie trzymała oszczędności. Wyliczyła, że w najlepszym wypadku pieniędzy starczy jej na dwa, góra trzy miesiące, a i to pod warunkiem, że będzie żyła niczym asceta. Na gwałt potrzebowała pracy, tylko kiedy jej szukać, skoro ma pełne ręce roboty, prowadząc śledztwo?

Gdy zeszła na dół, jej oczom ukazało się rozwiązanie problemów finansowych. Zerwała przyklejone do drzwi klatki schodowej wydrukowane ogłoszenie i czym prędzej pobiegła pod wskazany adres.

— Dzień dobry — powiedziała do dwóch pań siedzących za biurkami w wydziale do spraw lokali wszelakich we wspólnocie mieszkaniowej.

— Dzień dobry — odpowiedziały kobiety niemal jednocześnie.

— Czy oferta pracy jest aktualna? — zapytała odważnie Wioletka, wyciągając przed siebie zgnieciony papier.

— Jak najbardziej. — Pani siedząca bliżej drzwi zachichotała. — Wywiesiliśmy ją pół godziny temu.

— Trzeba przyznać, że kujesz żelazo póki gorące. — Koleżanka zawtórowała jej gromkim śmiechem.

— W takim razie chciałabym zgłosić swoją kandydaturę na stanowisko. Nazywam się Wioletta Koperek i mieszkam obok. — Była śmiertelnie poważna. — Przepraszam, tak się spieszyłam, że zupełnie nie pomyślałam o CV, ale to nic, po prostu opowiem trochę o sobie. Mam wyższe wykształcenie. Jestem sumienna, rzadko się spóźniam, starannie wykonuję powierzone mi zadania. Dotychczas nigdy nie byłam asystentką, ale szybko się uczę. Pracowałam w wielu miejscach, zawsze mnie chwalono. I

ja... ja... potrzebuję tej pracy, więc może mogłybyście panie dać mi szansę?

— Dziewczyno, spokojnie, bo jeszcze nam tu zejdziesz na zawał — powiedziała łagodnym głosem zatrudniona we wspólnocie kobieta. — Przecież my cię znamy, podobnie jak wszystkich z bloków od sto dziewięćdziesiąt do dwieście trzy. Nawet chodziłam z twoim tatusiem do szkoły. Ale z niego był przystojny mężczyzna! Myślę, że chyba możemy zaryzykować i cię przyjąć na próbę. Jak sądzisz, Celinko? — Spojrzała za siebie.

— Młoda, sympatyczna, energiczna, z inicjatywą i chętna do roboty. To mi się podoba. Nic się nie bój, Wioletko, nie pracujemy w elektrowni jądrowej, nawet jeśli popełnisz jakiś błąd, nie wysadzisz w powietrze całego miasta. Tylko żeby nie było, uprzedzam: w przeciwieństwie do tego, co myślą niektórzy, nie zarabiamy tutaj grubych milionów.

— Nic nie szkodzi, nie mam dużych wydatków — zapewniła uradowana panna Koperek.

— Sprawy kadrowe oraz dotyczące płac załatwisz w pokoju numer cztery. Kiedy tam pójdziesz, powiedz, że Celina z Kornelią cię przemaglowały i przyjmują do zespołu. Poczekaj, zerknę w kalendarz — powiedziała, zakładając okulary. — Jak dobrze się składa! Pomimo mojego protestu szef kazał nam zatrudnić asystentkę od trzynastego, chodzi o jakieś kwestie pseudopolityczne, ale w tym miesiącu trzynasty przypada na niedzielę. Przecież każdy wie, że zaczynać pracę takiego dnia to by była zła wróżba. Od kiedy pan Lucek, nasz poprzedni prezes, przeszedł na emeryturę, wszystko się sypie. Młodzian zaraz po studiach dorwał się do żłoba i chce robić wielką rewolucję. Kto by pomyślał, że po tylu latach będziemy zmuszone słuchać poleceń kogoś, kto ma jeszcze mleko pod nosem — narzekała. — Ale tym razem nici z jego cudownego pomysłu. Przyjdź czternastego na ósmą, wtedy wyjaśnimy ci, czym będziesz się zajmować. Pasuje?

— Wprost idealnie! Dziękuję paniom z całego serca!

W stanie absolutnego upojenia szczęściem eksbezrobotna dopełniła wymaganych formalności. Było to możliwe dzięki

temu, że akurat tego dnia do personalnej na pogaduszki przyszedł osiedlowy lekarz medycyny pracy. Rzucił okiem na stojący przed nim okaz zdrowia, zerknął do gardła, zmierzył ciśnienie i od ręki podpisał badanie.

Z umową na czas próbny w garści nowa pracownica wspólnoty mieszkaniowej poszła zaszaleć. W ramach świętowania sukcesu wydała za jednym razem piątą część przyszłej miesięcznej pensji. Obskoczyła sklepy spożywcze, ryneček, drogerię i wróciła do domu obładowana torbami. Rozłożyła zakupy, dopięła do tablicy wywołane zdjęcia, a że nadal była pełna energii, więc zapakowała do kieszeni listę osób, które należy wypytać o Majkę: Dzikowscy, ten z drugiego, Budyniowie, Żukowska i najgorsze — Ząbkowscy seniorzy oraz juniorzy. Dużo tego, pomyślała. Kusiło ją, żeby przerażających Ząbkowskich skreślić z listy, ale to byłoby nieprofesjonalne i tchórzliwe. Zostawię ich na koniec, postanowiła w nadziei, że do rzeczzonego końca już dawno zdąży znaleźć zbrodniarza.

Zabrała się do działania metodycznie. Pierwsi od góry na kartce byli Dzikowscy, więc zaczęła od nich. Kiedy przekroczyła próg klatki schodowej, w której mieszkała Dębska, przeszło jej przez myśl, że ona się tak stara, poświęca na śledztwo swój wolny czas (że nawet nie wspomni o poniesionych kosztach), a może dziewczyna wróciła do domu i teraz sobie w najlepsze popija kawkę. Oczywiście profilaktycznie (i z przyzwyczajenia) codziennie zerknęła w okna sąsiadki, a i Paula nie dała znać o jej pojawieniu się, ale dla pewności trzeba było sprawdzić. Wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer do przyjaciółki Majki.

- Cześć, z tej strony Wiolka, wiesz która, sąsiadka Pszczółki.
- Cześć, Wiolka — wyszeptała blondynka.
- Paula, głośniej, źle cię słychać! — krzyknęła do słuchawki.
- Nie mogę głośniej, jestem w pracy. Szybko mów, o co biega, nie wolno mi tu za bardzo gadać.

Koperek musiała się porządnie wysilić, żeby zrozumieć, co mówi dziewczyna, bo nie dość, że cicho mamrotała, to jeszcze w tle było słychać szum, stukanie i czyjeś pokrzykiwania.

- Majka dała jakiś znak życia? Kontaktowała się tobą?

Dzwoniła, pisała? — dopytywała Wiola.

— Nic, jakby się zapadła pod ziemię. Byłam u niej, ale zamknięte na trzy spusty. Martwię się, minęło tyle dni. Muszę kończyć, później zadzwonię. — Nieoczekiwanie się rozłączyła.

Wioletka schowała komórkę i zaczęła się wspinać po schodach. Nagle zamarła w bezruchu. Coś ją zaniepokoiło. Poręcz się zatrzęsała, a pod nogami zadrżało. Z każdym ułamkiem sekundy wzbierał na sile nieokreślony dźwięk. Po chwili wszystko stało się jasne. Wprost na nią z góry biegł rozpędzony brunet w spłowiełej od słońca czapeczce bejsbolowej, posturą przypominający tura. Klatka schodowa w bloku to nie sala balowa w Wersalu. Tutaj obok siebie mogą wchodzić bądź schodzić dwie osoby, ale raczej wątle. Bezkolizyjne minięcie się tura z Wiolą wymagało, żeby chłopak zwolnił, a w kulminacyjnym punkcie jedno powinno przykleić się do ściany, a drugie do balustrady. Szybkość, z jaką facet się przybliżał, nie rokowała dobrze. Za chwilę miało nastąpić nieuchronne zderzenie. Koperek była bez szans. Uciec już by nie zdążyła, nie miała się też gdzie schować. Wczepiła się całą sobą w poręcz, żeby przynajmniej uniknąć ewentualnego zepchnięcia na dół. Facet boleśnie potrącił ją ramieniem i jakby nigdy nic wypadł na zewnątrz.

— CHAM i PROSTAK! — wrzasnęła na całe gardło, rozcierając obolałą rękę.

Zniesmaczona zachowaniem nieokrzesanego chłopaka weszła na czwarte piętro. Jej uwagę przykuły zarysowania na drzwiach w okolicy zamka. Przyjrzała się dokładnie. Ewidentnie ktoś tu gmerał, próbując się włamać do mieszkania Dębskiej. Czy działanie było skuteczne? Tego nie wiedziała. Sfotografowała dowód niecznych poczynań, po czym przycisnęła dzwonek. Tak jak sądziła, nikt nie otworzył. Ukontentowana, że z czystym sumieniem może kontynuować poszukiwania ofiary i winnego przestępstwa, udała się pod drzwi mieszkania Dzikowskich. Nie było dla niej zaskoczeniem, że o trzynastej w dzień powszedni na pukanie z wnętrza odpowiedziało jej jedynie szczekanie zaniepokojonego psa. Globtrotera z drugiego też nie zastała.

Trudno, przyjdę do nich innym razem, pomyślała bez wielkiego żalu.

Kolejni na liście byli Budyniowie. Wystarczyło raz przycisnąć dzwonek, żeby w progu pojawiła się pani domu.

— Koperek, czego chcesz? — zapytała raczej mało uprzejmie gospodyni.

— Dzień dobry, pani Budyń. Widzę, że mnie pani pamięta. — Wioletka próbowała ocieplić atmosferę.

— Nie mam sklerozy, więc pamiętam. Co chciałaś? Lepiej pierogi, nie mam teraz czasu na pogaduszki. Jeśli zbierasz na coś pieniądze, to nie ma szans, żebym dała chociaż grosik na głupoty.

— Na nic nie zbieram. Przyszłam, bo martwię się o koleżankę, od kilka dni jej nie ma. Nie mogę się też z nią skontaktować. Może pani coś wie? Chodzi o Maję Dębską z czwartego.

— To jest twoja koleżanka? Oj, Koperek, nie sądziłam, że się z nią zadajesz. I pomyśleć, że zawsze miałam o tobie wysokie mniemanie.

— Nie lubi pani Mai? — dopytała Wiola, starając się wrócić do przedmiotu swojego zainteresowania.

— Lubię, nie lubię. Mówię tylko, jak jest. Kręci się w tę i we w tę. Tupie po schodach, dobrały się z tą drugą. Niby Majka taka uprzejma, jak zobaczy, od razu kłania się w pas, ale mnie oczu nie zamydli. Tylko ciuchy jej w głowie, stroi się, co i rusz lata w nowej kiece. Ciekawe, skąd niby ona ma na te szmaty. Mówią, że sama sobie szyje, ale czy jest możliwe, żeby młódka robiła takie piękne ubrania? Nie sadzę. Ech, szkoda, że starsza pani Dębska umarła. Pani Fela była wspaniałą kobietą, opiekowała się tą małą. Kto by pomyślał: zawał. Nikt się tego nie spodziewał.

— Kiedy zastanę pani syna? — Wiola pomyślała, że w przeciwieństwie do matki może on będzie miał coś ciekawego do powiedzenia na temat Pszczoły.

— A tobie niby co do mojego syna??? — warknęła matrona. — Już ja cię widziałam, jak nam ostatnio zaglądałaś w okna.

— Pani Budyń, a co to za dźwięk? Czy czasem pierogi pani nie kipią? — Dziewczyna spróbowała wykorzystać zapomniane zajęcie rozmówczyni, by się ewakuować.

— Cholera jasna! — Kobieta złapała się za głowę i tyle ją było widać.

Wiola delikatnie zamknęła drzwi do mieszkania Budyniów i czym prędzej uciekła na paluszkach. Zwolniła dopiero na skwerku. Ławeczka była elegancko obsadzona przez cztery panie. Kolejno od prawej siedziały Teresa Roczniwska z pierwszej klatki, Leokadia Kawa i Helena Trzpień z drugiej, a na końcu czwarta kobieta, którą Koperek kojarzyła jedynie z widzenia. Każdej z dam towarzyszył nieodłączny przyjaciel — torba z kólkami na zakupy, absolutny must have pań w pewnym wieku. Koperek podeszła do zebranych i grzecznie się przywitała:

— Dzień dobry paniom.

— Dzień dobry — odpowiedziały dwie z czterech siedzących.

Wioletka przez chwilę milczała, zastanawiając się, w jaki sposób zacząć rozmowę.

— Nie zmieścisz się tu koło nas. — Trzpień słynąca z ciętego języka postanowiła pozbyć się intruza.

— Nie ma problemu, postoję. — Wiolka szeroko się uśmiechnęła.

— Może jakbyśmy się ścieśniły... — zaczęła Teresa Roczniwska, ale szybko zamilkła pod karcącym wzrokiem koleżanek.

— Naprawdę, nie ma sprawy. Piękna dziś pogoda — zaczęła dziewczyna jak zawsze od tego samego tematu, który sprawdzał się niezależnie od poziomu zażyłości rozmówców.

— Ujdzie — podsumowała pani znana tylko z widzenia, której cechą charakterystyczną była fryzura przywodząca na myśl barana.

— Jak na październik jest wyjątkowo ładnie. W tamtym roku o tej porze siedziałyśmy w płaszczach, a teraz wystarczą same swetry — z uprzejmości podjęła temat była nauczycielka Wioletki, pani Kawa.

— Tak, jest bardzo ciepło jak na październik — przyznała Wiola ubrana w cienką sukienkę z krótkim rękawem. — Nie wiecie panie, co się dzieje z Mają Dębską? Ona mieszka tu w bloku na

czwartym piętrze. Byłam u niej już kilka razy, ale drzwi zamknięte, a ze środka nie dochodzą żadne dźwięki. Pytałam o nią jej przyjaciółkę, ale też nic nie wie. — To było najlepsze, co udało jej się wymyślić na oczekaniu.

— A po co ci Dębska? — zapytała opryskliwie Helena.

— Chciałam, żeby mi uszyła sukienkę — skłamała dziewczyna.

— Przecież możesz sobie w sklepie od ręki kupić cały tuzin kiecek. Teraz wszystkiego pełno, tylko trzeba mieć pieniądze — poradziła ta z baranem na głowie.

— Stefcu, nic nie zastąpi sukni od krawcowej — sprzeciwiła się Teresa. — Pamiętam, jak było w moich młodych latach. Te przymiarki, czekanie, aż się w końcu dostanie kreację... ależ to było ekscytujące!

— Przede wszystkim mam nadzieję, że wyjdzie tanio. — Wiolka z bólem serca wyrwała emerytkę ze wspomnień. — Tylko kłopot w tym, że nie mogę zastać Mai. W zasadzie nie znam jej, tyle co z widzenia, więc tak naprawdę nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł, żeby zamawiać u niej strój na wesele do dalekiej kuzynki. Wstępnie się umówiliśmy, a teraz jakby się zapadła pod ziemię. Dobrze chociaż, że nie dałam zaliczki. — Choć nie przywykła do tego, Koperek kłamała wprost koncertowo.

— Ona naprawdę pięknie szyje, widziałam jej ubrania kilka lat temu, kiedy byłam u nich jeszcze za życia świętej pamięci Felicji. Babcia aż puchła z dumy, że ma bardzo zdolną wnuczkę. Pokazywała mi różne rysunki strojów, które zrobiła Maja. Cuda, mówię wam, niczym z jakiegoś żurnala! Sama też nosiła to, co jej uszyła wnusia — powiedziała Roczniowska.

— Może i piękne te jej szmaty, ale co z tego? Ważna jest też terminowość. Młoda jeszcze, klienta nie umie uszanować. Najpierw się umawia, a potem znika. Ja mam biznes, więc wiem, że przedsiębiorca nie śpi, tylko pilnuje interesu. Trzydzieści pięć lat będzie w grudniu, od kiedy otworzyłam zakład, a nadal przychodzą do mnie te same panie. Powiedz, Stefcu, jak u mnie jest? — Helena, właścicielka salonu fryzjerskiego, zwróciła się do kobiety w bardzo mocnej trwałej.

— Szacunek do klienta jest kluczem do sukcesu. Od dwudziestu

lat cheszę się u Heli i jestem zachwycona — zapewniała wierna klientka, poprawiając dłonią loczki.

— Nie wiecie panie, czy Majka wyjechała? Może zapomniała mnie uprzedzić? — Wiola uporczywie wracała do tematu, niegrzecznie wcinając się do rozmowy.

— A skąd niby my mamy wiedzieć? Co to, nasza koleżanka? — fuknęła Stefania, której nie spodobało się bezpardonowe wtrącanie się właśnie wtedy, gdy dopiero zaczynała zachwycać się umiejętnościami przyjaciółki.

— Może przypadkiem coś panie zauważyłyście, jesteście takie spostrzegawcze. — Wioletka miała nadzieję, że komplement odświeży im pamięć.

— Że niby jesteśmy wścibskie? To chciałaś powiedzieć? — zaatakowała ta z baranem na głowie.

— Stefciu, ona niczego takiego nie powiedziała — próbowała załagodzić sytuację Leokadia.

— Z tydzień będzie, odkąd faktycznie na klatce słychać mniej głosów — szybko wtrąciła Teresa w nadziei, że wespół z Kawą uda im się zapobiec awanturze.

— Ale ja naprawdę nie chciałam nikogo urazić... — tłumaczyła się dziewczyna.

— Chciałaś czy nie chciałaś, i tak prawdą jest, że dziś młodzi nie mają za grosz szacunku dla starszych. My do was z sercem na dłoni, a wy tę rękę gryziecie.

— Ale ja... — Wioli zrobiło się głupio.

— Stefanio... — zaczęła łagodnym głosem emerytowana pedagog, ale już nie dokończyła, ponieważ Stefania, niczym wprawiona w ruch maszyna, nie była w stanie ot tak, w sekundę się zatrzymać.

— Ja ci coś powiem, moja panno, z tej całej Majki jest niezłe ziółko. Helenko, sama przyznaj. Ledwo minął miesiąc, od kiedy po przyjacielsku, jako przedsiębiorca z większym doświadczeniem, chciałaś jej pomóc. Siedziałam wtedy pod suszarką i na własne uszy słyszałam każde słowo. Aż mi się włos na głowie jeżył! — ekscytowała się Stefka.

— A tam, szkoda gadać. — Trzpień, która zupełnie

nieoczekiwanie zrobiła się purpurowa aż po same koniuszki uszu, machnęła ręką.

— A właśnie, że nie szkoda! Zrobiłaś jej przepiękny kok, a ta kręciła nosem, że upięcie nie takie, za dużo lakieru. Kazała sobie od nowa układać fryzurę, a kiedy słusznie sprzeciwiłaś się, próbowała wyjść bez płacenia. Wtedy, drogie panie, Helcia grzecznie wyłożyła tej mądrali, że za usługę się płaci, a ona jak się nie wydarła! Krzyczała na cały salon, że z klientem trzeba inaczej postępować, grzeczniej, uprzejmiej, milej. Klient nasz pan i inne tam takie. Potem małolata przechwalała się jeszcze, jak świetnie zna się na prowadzeniu biznesu. A co niby ona może wiedzieć? Same widzicie, umawia się na szycie i tyle ją widzieli. Ona naszej Heli prawiała impertynencje, a Helenka, kobieta o gołęmbim sercu, nie dość, że nie pogoniła Majki, to jeszcze jej udzieliła porady biznesowej. Podziwiam cię, Helu, naprawdę podziwiam, ja bym wywaliła za drzwi.

— Stefa, daj już spokój, co było, to było — nalegała Trzpień.

— I właśnie o tym mówię! Pomocna i nie szuka zwady. Patrz, obserwuj i ucz się, dziewczyno. Stara szkoła — kontynuowała Stefania.

— A jaka to była porada, jeśli można wiedzieć? — zaciekała się Wioletka.

— Finansowa. Nasza Helenka przestrzegła ją, żeby uważała. Każdy na osiedlu doskonale wie, że Dębska szyje ciuchy na czarno. Helcia powiedziała jej, że w końcu się doigra. Ktoś zrobi donos, przyjdzie komisja ze skarbowki i zasadzi taką karę, że się Majka nieźle zdziwi — zakończyła tyradę wierna klientka.

Zapadła absolutna cisza. Fryzjerka nie odezwała się na to ani słowem. Pani Kawa wpatrywała się uporczywie w ziemię pod swoimi nogami, Roczniwska grzebała w torebce, udając, że czegoś szuka, a Wiola w milczeniu przyswajała mądrość uczynnej bizneswoman.

— Maja jest dobrym dzieckiem. Może trochę czupurnym, ale dobrym. Z jej babcią znałyśmy się całe lata, pracowałyśmy w tej samej szkole. Pamiętam, że Fela nieraz mówiła mi o ukochanej wnuczce, nie mogła się jej nachwalić. Ponieważ uczyłam plastyki

i trochę znam się na sztuce, więc któregoś dnia przyniosła mi projekty ubrań dziewczyny. Oj, wierzcie mi, że było na czym zawiesić oko. Po prawdzie niektóre z tych kreacji na mój gust trochę przekombinowane, dużo asymetrii, ozdób, dodatków, jednak nie zapominajmy, że dzieli nas różnica dwóch pokoleń. Pewnie po prostu jestem za stara, żeby zrozumieć nową modę. Na tych rysunkach kreska była trochę toporna, ale widać, że dziewczyna ma talent. Radziłam, żeby ją posłać do szkoły plastycznej. Fela mówiła mi, że w każdej wolnej chwili Maja szyje. Inne dzieciaki po lekcjach gdzieś biegały, a ona robiła pracę domową i zaraz siadała do maszyny. — Kawa stanęła w obronie młodej sąsiadki. — Po tym, co powiedziałaś, Tereniu, teraz tak myślę, że ostatnio faktycznie jakby mniej ją widać na osiedlu. Może odwiedza rodziców albo wyjechała z chłopakiem, żeby skorzystać z ostatnich ciepłych dni?

— Wcale bym się nie dziwiła, gdyby pojechała z sympatią na wypoczynek. Chodził, chodził i wychodził. Sama bym uległa takiemu brunetowi — zaszczębiotała Roczniwska.

Do ławki podeszła Władysława Żukowska. Na jej widok kobiety bez słowa zsunęły się, robiąc koleżance miejsce. Przybyła usadowiła się na brzegu ławki, a przedramię oparła na torbie zakupowej w białe róże.

— Jaki ładny wózek! Nowy? — zapięła z zachwytu Teresa.

— Nowy, kupiłam wczoraj w markecie na promocji.

— Drogi? Ile kosztował?

— Czterdzieści sześć dziewięćdziesiąt osiem. Do każdego dodawali jeszcze w gratisie drewnianą łopatkę do przewracania kotletów. Od starego odpadło mi kółko, nie miał kto naprawić, a muszę w czymś wozić sprawunki, więc co było robić? Próbowałam przynosić zakupy w siatkach, ale to już nie na moje siły. Z bólem serca wykosztowałam się na drugi i powiem wam, że jestem niezadowolona. Tamten miał kieszonkę w środku, rączka była wygodniejsza, materiał lepszy, a to takie barachło, tylko czekać, aż się rozedrze. — Władysława wyliczała niedostatki sprzętu.

— E tam, nie będzie tak źle. Musisz się tylko przyzwyczaić, no i

wzór ma piękny — pochwaliła Kawa.

— Sama nie wiem. Może i tak. O czym rozmawiacie? — zapytała nowo przybyła.

— O wnuczce Feli Dębskiej — odpowiedziała Stefania.

— O, a czemu? — zaciekawiła się najbliższa sąsiadka Majki.

— Ta tutaj — baranek wskazał głową na Wioletkę — zamówiła u niej szycie sukienki, a teraz nie może jej zastać, więc magluje nas, czy nie wiemy, gdzie pojechała ta mała.

— Może macie panie adres albo numer telefonu do jej rodziców? — nieśmiało zapytała Wiolka.

— Miałam, ale wieki temu. To jest jakaś miłośniczka. Korzycice, Korczyczewice, jakoś tak — próbowała sobie przypomnieć Władka. — Pamięć z wiekiem już nie ta. Nie martw się, moje dziecko, ona na pewno niedługo wróci i zdąży ci uszyć sukienkę. Uszy do góry. Może jej przyjaciółka zna adres do mamy Mai? To jest taka chudziutka blondynka z pasemkami, często się kręci po okolicy. Ma jakieś takie imię jak zagraniczna gwiazda z telewizji z dawnych lat. Pięknie śpiewała. Zaraz, niech pomyślę...

— Paula — podpowiedziała fryzjerka.

— Właśnie, Paula! — ucieszyła się Żukowska.

— Niestety, ona też nie ma żadnych namiarów. Ale coś mi się wydaje, że Mai nie łączyły najlepsze stosunki z rodzicami. — Przebiegła Koperek wykorzystała wiedzę pozyskaną od Pauli.

— Niestety, nie. Fela była moją przyjaciółką. Mówiła mi, że Majka jest dzieckiem z pierwszego małżeństwa jej córki. Nie najlepiej wypowiadała się o ojczymie dziewczyny. Podobno zachłanny na pieniądze. Mała wyjechała do babci, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Matka jest dobrą kobietą, ale co ona może? Fela bardzo starała się, żeby pomóc temu dziecku.

— Drogie panie, miałam się nie odzywać, ale słucham i nie wierzę własnym uszom — niespodziewanie odezwała się dotychczas milcząca Trzpień, na której twarz wróciły naturalne kolory. — Niby od kiedy sympatyzujecie z młodą Dębską? Loni, zapomniałaś, jak ci na spółkę z tą chudą wytlukły okno piłką? Władziu, mało ona nawaliła maszyną w nocy w pokoju bezpośrednio nad twoją głową? A tobie, Tereniu, przestało

przeszkadzać, że obija ci rowerem drzwi?

Wymienione panie spuściły głowy.

— Helu, my nie mówimy, że Maja jest święta, ale w gruncie rzeczy to dobre dziecko. Ile razy wtaszczyła mój wózek pełen zakupów z rynku na półpiętro? A przecież same widziałyście, jakie z niej chucherko — cicho wydukała Roczniowska.

— Terenia ma rację, nam, starym, czasami trudno zaakceptować to, jacy są młodzi. Nie ich wina, że mają w sobie tyle energii i jeszcze wiele muszą się nauczyć z zakresu kultury osobistej. Kiedy nerwy puszczają, wieszamy na nich psy, ale potem przypomina sobie człowiek, jaki sam był, kiedy miał te dwadzieścia lat — powiedziała Kawa.

— A ja tam jej nie lubię i nie polubię! Mówcie, co chcecie, ale to krnąbrna dziewczyna. Kiedy byłyśmy u niej w maju pytać, czy będzie przyjmowała święty obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nie wpuściła nas nawet za próg. Powiedziała tylko niegrzecznie, że nie jest zainteresowana, i zamknęła drzwi. Wstyd. Święty obraz trzeba przyjmować. Koniec i kropka — zaperzyła się Stefcia.

— Władziu, a ty nic nie powiesz? — fuknęła gotowa do kłótni fryzjerka.

— A co mam powiedzieć? No pewnie, że Majka nie daje mi spać po nocach. Kiedy nie szyje, wtedy zaprasza tę Paulę na pogaduszki. Śmichy-chichy, że nie słyhać telewizora. Ściany w bloku cienkie, hałas się nosi kominami, człowiek słyszy każde słowo, każdy ruch. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Maję u Feli, jeszcze wtedy w liceum, wiedziałam, że będą kłopoty. Przed babcią zgrywała aniołka, ale ja się nie dałam zwieść. Kiedyś przyjdzie jej zapłacić za to, co nabroiła w życiu, za te drobne złośliwości i swoją bezmyślność, popamiętacie moje słowa. Oj, przyjdzie kryska na Matyska. Tyle że widzicie, Fela była moją najlepszą przyjaciółką, bratnią duszą, a to zobowiązuje. Kochała wnuczkę najmocniej na całym świecie, więc teraz, gdy odeszła, ja muszę mieć oko na tę małą.

Przemowa Żukowskiej spowodowała, że dyskusja samoczynnie wygasła. Wioletka grzecznie się pożegnała i odeszła do domu.

Panie żywo wymieniały jakieś uwagi, zerkając na oddalające się plecy dziewczyny.

W ramach wywiadu środowiskowego nadal pozostało wiele do zrobienia, ale wydarzenia mijającego dnia do cna wyczerpały Wiołkę zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Z westchnieniem ulgi zanurzyła się w gorącej kąpeli, usilnie próbując poukładać sobie w głowie informacje zebrane na temat Mai. Moczenie się w wannie działało odświeżająco nie tylko na ciało, ale i umysł Wioletki. Znaczną część swojej pensji wydawała na specyfiki do zabarwiania, spieniania oraz perfumowania wody. Haracz płacony co kwartał do zakładu wodociągów przyprowadził ją o ból głowy. Sam widok białej koperty, której adresatem był wróg numer jeden, sprawiał, że zaczynały jej drżeć dłonie. Zaraz przy skrzynkach pocztowych jednym wprawnym ruchem podręcznego scyzoryka dobierała się do wnętrza, żeby poznać wysokość daniny. Dłuższe oczekiwanie na nieuniknione mogłoby ją wykończyć. Rzut oka na szereg cyfr. No i pięknie, kolejne kilka stów poszło w kanał, w przenośni i dosłownie. Na szczęście istniało wypróbowane i niezawodne lekarstwo na wszelkie bolączki: sto dziewięćdziesiąt litrów gorącej cieczy z dodatkiem pięciu kropel olejku z melisy, okazałej garści soli z Morza Śródziemnego, a jako wisienka na torcie — dosłownie trzy suszone płatki róż zbieranych o świcie na ekwadorskiej plantacji; życie od razu wydawało się na powrót piękne.

W miarę możliwości do kąpeli należało zabrać ze sobą jakiś smaczny kąsek, a jeszcze lepiej dwa. Doskonale, jeśli była to miseczka lodów waniliowych posypanych wiórkami kokosowymi, ale nie oszukujmy się, Koperek nie była wybredna, dlatego od biedy równie dobrze sprawdzało się nawet purée z okrasą, które od trzech dni zalegało w lodówce. Rozluźnienie, jakiego doświadczało w kąpeli ciało, nieraz poskutkowało uronieniem okazałej części przekąski wprost do spienionej toni. Dziewczyna nie przejmowała się tym i w najlepsze kontynuowała kąpiel teraz już w zupie, w końcu aspekt mycia od samego początku miał marginalne znaczenie.

ROZDZIAŁ 8

To było późnym wieczorem. Zupełnie nieoczekiwanie, można by nawet powiedzieć, że z zaskoczenia, zdarzyło się wielkie nieszczęście. Najpierw Wioletka poczuła lekkie ukłucie w gardle, potem zakręciło ją w nosie, a to dopiero był początek... w ciągu kolejnych kilku godzin wyszła na jaw okrutna prawda: Koperek miała grypę. Zapewne gdyby chodziło o kogoś innego, wystarczyłaby jedna wizyta u lekarza pierwszego kontaktu, zażywanie przepisanych leków i leżenie w łóżku przez trzy do pięciu dni. W przypadku Wioletty sprawa miała się zgoła inaczej. Udanie się do medyka w ogóle nie wchodziło w grę. Wiola od zawsze uważała, że każdą przypadłość potrafi z powodzeniem wyleczyć samodzielnie przy użyciu farmaceutyków, które można kupić w kiosku bądź na stacji benzynowej. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że chorowała bardzo rzadko i zazwyczaj jedynie sezonowo dopadała ją zwykłe przeziębienie. Kiedy już raz na ruski rok miała katar i niewysoką gorączkę, oczekiwała dwudziestoczworgodzinnej opieki, stałych dostaw gorących napojów leczniczych oraz rosołu z tłustej kury.

W pierwszej kolejności wezwała na pomoc Zuzię, która zawsze we wtorki miała wolne i nie sprzątała na komendzie. Wybór był podyktowany prostą przyczyną: Zuzia mieszkała dwa bloki dalej. Przybyła zgodnie z oczekiwaniami po piętnastu minutach z torbą pełną ziół, czosnku, miodu oraz paracetamolu.

Wstępnie zaopiekowana, resztką sił (podwyższona temperatura ciała wyczerpuje, a Wioletka miała całe trzydzieści siedem i osiem kresek) zadzwoniła do mamy. Ukochana matka odpowiedziała na wezwanie. Ponad pół dnia zajęło kobiecie pokonanie pekaesem trzystu pięćdziesięciu kilometrów z gór, gdzie po czterdziestu latach małżeństwa państwo Koperkowie wybudowali maleńki domek. Córce zostawili dotychczas zajmowane przez całą trójkę mieszkanie w bloku wybudowanym

w ostatnich latach PRL.

Ledwo rozległo się pukanie, a drzwi otworzyła Zużka z wyrazem obłędu w oczach.

— Bogu dzięki, że pani tak szybko dotarła! Pani Marysiu, jest gorzej niż zwykle! — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

— Nic się nie martw, moje dziecko, jakoś damy radę — odparła z uśmiechem Maria. — A to co? — zapytała, wskazując na obwieszoną tablicę korkową.

— Pani nic nie wie? Wiołce po pijaku przywidziało się, że ktoś ogłuszył siekierą, a potem porwał jej sąsiadkę.

— Moja kochana córeńka! — serdecznie zaśmiała się pani Koperek.

— Kto przyszedł? — krzyknęła zachrypniętym głosem obłożnie chora.

— Podobno gardło tak cię boli, że nie możesz mówić! — ryknęła w jej kierunku przyjaciółka.

— Oczywiście, człowiek tutaj umiera, ale nie zasługuje na szacunek. Mam z wysoką gorączką sama iść sprawdzić? Przecież mogę zasłać w przedpokoju, ale to cię nic nie obchodzi. Tak mi się odpłacasz za całe lata wiernej przyjaźni, niewdzięcznico? — marudziła panna z grypą.

— Twoja mama! — wrzasnęła będąca u kresu sił i cierpliwości Zuzia.

— Chodź, kochanie, zaparzę ci rumianku. Przywiozłam bułeczki drożdżowe z konfiturą wiśniową — powiedziała matka, obejmując ramieniem przyjaciółkę córki. — Wioletko, leż spokojnie, podgrzeję ci zdrowotny rosołek — rzuciła w stronę pokoju.

Pani Marysia uwolniła dotychczasową pielęgniarkę Wiołki, wcześniej jednak napiła ją i naładowała odpowiednią dawką cukru. dzielnie przejęła matczyne obowiązki, które wypełniała z należytą troską i anielską cierpliwością dla ukochanej jedynaczki.

Siódmego dnia dogorywania ofiara złośliwego wirusa obudziła się wcześniej niż zazwyczaj. Natychmiast wezwała do siebie mamę, pomimo nawoływań ta jednak nie przychodziła. Niezadowolona Wioletka odkopnęła kołdrę, wsunęła na stopy

kapcie i poszła sprawdzić, o co chodzi. Po chwili stało się dla niej jasne, że matki nie ma w mieszkaniu. Co dziwne, wersalka była pościelona, na oparciu krzesła nie wisała torebka, a w przedpokoju nie było płaszcz ani butów Marii.

Czułne ucho Wioletki odnotowało metaliczny dźwięk klucza wkładanego do zamka. Niewiele myśląc, rzuciła się na złamanie karku do przedpokoju, dzięki czemu udało jej się złapać na gorącym uczynku wchodzącą kobietę.

— Gdzie mamusia była?! Przecież ja tutaj wysycham na wiór z pragnienia... Wołam mamę i wołam, a mama nie przychodzi. W końcu musiałam sama wstać. Nie mam pojęcia, gdzie można chodzić o wpół do ósmej rano!

— Córciu, myślałam, że obrócę, zanim się obudzisz. Poszłam nakupić śliwek, żeby przed wyjazdem zrobić ci kilka słoików dżemu. Nie zaszkodzi, jeśli zjesz coś domowej roboty. Widziałam w szafce te torby chipsów i żelków, zresztą zupki chińskie wsunięte za pikle również. Wczoraj wieczorem nastawiłam sobie budzik i pobiegłam rano na rynek. Udało mi się, byłam pierwsza. Odczekałam te pięć minut do siódmej, zanim handlarze zaczęli się schodzić i otwierać budki. Córcia, mówię ci, jakie oni mieli cudeńka w skrzynkach! Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy tych kilka lat temu wyprowadziliśmy się stąd z tatusiem. Wszystko świeże, apetyczne, żadne tam marketowe starocie. Wybrałam dziesięć kilogramów węgierek pierwszej klasy. Zanim emerytki się zjechały, ja właśnie wracałam z łupem do domu.

— Nic mi mama wczoraj nie mówiła, że gdzieś się wybiera z samego rana — marudziła Wiolka.

— Córcia, a co ty tak zrzędzisz? Nie było mnie ledwie czterdzieści minut. Nie przesadzaj, przecież możesz sobie sama zaparzyć herbaty, ręce ci od tego nie odpadną. Czas spojrzeć prawdzie w oczy, jesteś zdrowa, koniec z błogim leniuchowaniem. Od tej chwili tracisz status chorego. Drugi dzień nie masz żadnych objawów infekcji. Idź się ubrać, weź prysznic i przyjdź do kuchni, pomożesz mi z wekami.

— Dobrze — zgodziła się niechętnie dziewczyna.

Leżakowanie prawie śmiertelnie chorej Wioletki oficjalnie się

zakończyło. W końcu stanęła na nogi i nadszedł czas, żeby mama wróciła do siebie. Chwilę po tym, jak pani Maria odzyskała wolność, ktoś zapukał do drzwi. Koperek otworzyła bez zerkania w wizjer przekonana, że mamusia o czymś zapomniała i się wróciła. Ku jej zdziwieniu na progu stała nerwowo przebiegająca nogami Paula.

— Cześć, Paula, co ty tutaj robisz? — zdziwiła się gospodyni.

— Przyszłam, bo jest ważna rzecz — odpowiedziała, biorąc do ust palec wskazujący prawej ręki, odgryzła kawałek paznokcia i wypluła go pod swoje nogi.

— Wchodź — powiedziała lekko zszokowana Wioletka. — Skąd znasz mój adres? — zapytała, kiedy stały już obydwie w przedpokoju.

— Babki spod bloku powiedziały mi, gdzie mieszkasz, wiesz, te, co tam kwitną przez cały dzień na ławce.

— Jasne, nic ani nikt się przed nimi nie ukryje — zaśmiała się pani domu. — Wchodź do pokoju — zaprosiła.

— Nie mogę, mam tylko chwilę, bo muszę jechać do pracy — odpowiedziała blondynka, rozglądając się po wnętrzu. Jej wzrok padł na obwieszoną tablicę. — Wow, ale czadersko to zrobiłaś! Zupełnie jak w jakimś filmie. Widać, że wzięłaś sobie do serca sprawę Pszczółki. O, i nawet masz tu moje fotki!

— Staram się, jak mogę. — Detektyw wypięła dumnie pierś.

— Słuchaj, jest kwestia. — Dziewczyna przeszła do rzeczy. — Sama zobacz, dzisiaj znalazłam to w skrzynce. — Po tych słowach wyjęła z torebki pocztówkę.

Wioletka wzięła ją do ręki. Zdjęcie na widokówce przedstawiało kościół Mariacki w Krakowie, a po drugiej stronie ktoś namalował:

Cześć, Paula,

wyjechałam do Krakowa i jest po prostu bosko. Miasto piękne, ludzie supermili. Miałam wielkie szczęście, dostałam pracę przy szyciu ubrań, a szef zapewnił mi nawet lokum. Na razie nie wracam, nie martw się o mnie.

Pozdrawiam Cię i całuję.

— Ciekawa sprawa. — Wiola zmarszczyła brwi.

— Żadna tam ciekawa! Jedna wielka ściema — oburzył się gość.

— Niby ona napisała, ale wcale nie ona.

Prowadzącej dochodzenie zajęło dłuższą chwilę zrozumienie zawilości wypowiedzi blondynki. W końcu zapytała:

— Czemu tak myślisz?

— Kulfony takie, jakie sadziła Pszczoła, ale ta kartka nie jest od niej, dam sobie za to odciąć głowę.

— Skąd wiesz?

— Jeśli gdzieś jedzie, przysyła mi pocztówki, ale nie tylko pisze. Zawsze coś ładnego narysuje: zwierzęta, liście, wiesz, tam takie. I to „Maja”... Ona niespecjalnie lubi swoje imię. Powinno być Pszczoła albo Pszczółka! Mówię ci, to nie przyszło od niej. Patrz. — Na dowód Paula wyjęła z torebki plik pocztówek.

Wiola przejrzała je pobieżnie. Aż biło po oczach, że poza identycznym pismem widokówka z Krakowa była inna niż pozostałe. Dębska każdą wolną przestrzeń zapełniała rysunkami i Paula miała rację co do tego, że dziewczyna podpisywała się Pszczoła bądź Pszczółka, a nie Maja.

— Musisz iść z tym na policję — zarządziła Wiola, czując, że należało tak zrobić już dawno.

— No coś ty? Zgłupiałaś? Do gliniarzy mam iść? Nie ma mowy!

— A jeśli Mai coś się stanie, bo nie chciałaś tego zgłosić? — Koperek przypuściła emocjonalny atak.

Paula poważnie się zamyśliła. Po dłuższej chwili w końcu przemówiła:

— Ty idź.

— I co mam powiedzieć? Przecież pocztówka nie przyszła do mnie.

— Ja nie pójdę. Nie i już. — Przyjaciółka Dębskiej zaparła się. — Pomyślisz, co z tym zrobić? Proszę cię. Martwię się o Pszczołę.

— Dobra, pomyślę. Zostaw mi te kartki.

— Spoko. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu.

Blondynka otworzyła drzwi, wyszła na klatkę schodową.

Właśnie się żegnały, kiedy Koperek coś zauważyła.

— Paula, zobacz, na tym stemplu wcale nie ma poczty z Krakowa, tylko jakieś Kozowice.

— Wiolka! Przypomniałam sobie. Przecież Kozowice to jest właśnie miasteczko, skąd pochodzi Pszczółka!

— To teraz dopiero mam zagwozdkę.

— Pewnie kasa jej się skończyła i musiała wrócić do rodziców. Słuchaj, może ona wstydziła mi się przyznać i dlatego ściemnia, że jest w Krakowie?

— Wydaje mi się to raczej wątpliwe. Zbadam sprawę — zapewniła detektyw, która właśnie złapała trop.

Po wyjściu niespodziewanego gościa odpaliła wiekowy komputer i sprawdziła odległość z Łodzi do Kozowic. Blisko dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Ile paliwa! Trudno, jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B, przecież nie może zawieść Pauli, a tym bardziej biednej Mai. Przygotowała suchy prowiant, zatankowała bak do pełna i następnego dnia o świcie wyruszyła w trasę. Plan był taki, że dojedzie do Kozowic, popyta na głównym rynku o rodzinę Dębskich. W miejscowości liczącej kilka tysięcy mieszkańców nie powinno być dużego problemu z ich namierzeniem. Co dalej? Uznała, że będzie improwizować. Skoro w szkole dobrze jej to wychodziło, czemu teraz miałyby być inaczej?

Z czystej ciekawości przejechała przez Kostkoczyńską, tłumacząc sobie, że to przecież po drodze. Na horyzoncie zamajaczył przezarty rdzą mercedes. Nie zaszkodzi za nim ruszyć, pomyślała, przyspieszając. Wlekli się przez całe miasto, skręcając raz w lewo, raz w prawo. Gdzie on jedzie o tej godzinie? — zastanawiała się Wioletka, sprawnie lawirując między samochodami. W końcu wyjechali poza granice Łodzi, kierując się na Aleksandrów. Po kolejnych siedmiu kilometrach Darek zaparkował przed rzędem murowanych garaży. Koperek ukryła malucha za krzakami i po cichu zakradła się bliżej. Chłopak nerwowo rozejrzał się dookoła. Uspokojony brakiem żywej duszy w bliższej i dalszej okolicy wyjął z portfela klucz, którym otworzył kłódkę. Uchylił jedno skrzydło drzwi, żeby wślizgnąć

się do garażu, zostawiając na zewnątrz obserwującą go dziewczynę. Tysiące myśli przebiegały przez jej głowę.

Mężczyzna spędził we wnętrzu ponad dziewięćdziesiąt minut, a po upływie tego czasu szybko wyszedł i zaryglował wrota. Szarpnął kłódkę, upewniając się, że na pewno jest zamknięta, po czym odjechał w kierunku, z którego przybył.

Koperek odczekała chwilę, a następnie wyszła z krzaków wprost na utwardzoną drogę. Strzepnęła z nóg czerwone mrówki i podeszła do garażu, w którym przed chwilą znajdował się podejrzany.

Powoli zbadała obiekt. Nie było szpar. Pokrzykiwania „Jest tam kto?” też na nic się nie zdały. Co on tam ukrywa? W okolicy nie było żadnych domów czy sklepów, dlatego nie miała kogo zapytać o Orzechowskiego. Nie pozostało nic innego, tylko dokonać włamania. Ratowanie życia niewinnej Mai było wyższą koniecznością, która w pełni usprawiedliwiała takie działanie; tak przynajmniej uznała Wioletka.

Uważnie przyjrzała się zabezpieczeniom, które wydawały się raczej łatwe do sforsowania. Wróciła do domu, wyposażyła się w łom, brzeszczot i nożyce do metalu, które zostały jej z czasów, kiedy pracowała w sklepie z narzędziami. Niestety popyt był za mały, więc szef musiał zamknąć interes. Na pożegnanie uraczył wszystkich pracowników pełną skrzynką tego, co się nie sprzedawało. Teraz z pozoru nieprzydatny prezent okazał się jak znalazł.

Kiedy zapadł zmrok, Koperek w skórzanych rękawicach chwyciła w dłonie nożyce i spróbowała przeciąć kłódkę. Piąta próba pozbawiła ją złudzeń. Przerzuciła się na brzeszczot. Postępy były niewielkie, ale przynajmniej jakieś. Po bardzo długim czasie, dwóch złamanych ostrzach i dorobieniu się całej masy odcisków na dłoniach Wioletka w końcu odniosła sukces.

Zmęczona, ale pełna optymizmu zajrzała do środka. Oświetliła wnętrze latarką i poczuła wzbierającą w niej złość. W tym konkretnym momencie z całego serca nie znosiła Darka! Rozsierdzona rzucała pod jego adresem obelgi. Żeby tak mnie zwodził, co za człowiek?! — złorzeczyła.

W garażu nie było Mai Dębskiej, nie było też narzędzi ani żadnych innych dowodów zbrodni. Zamiast tego na metalowym podnośniku stał częściowo rozebrany motocykl, wokół którego na podłodze ktoś, prawdopodobnie Orzechowski, rozłożył metalowe części. A więc tak samo jak mieszkanie na Kostkoczyńskiej garaż nie służył do przetrzymywania ofiary. Chłopak naprawiał lub składał sobie motocykl, ot, cała zagadka.

Koperek trzasnęła drzwiami i nagle ją zmroziło, a cała wściekłość sprzed chwili wyparowała. Nie zostawiła śladów włamania, nikt jej nie widział, bo okolica była martwa niczym cmentarzysko, ale do jasnej anielki, czym ma zamknąć drzwi? Upiłowana kłódka do niczego się nie nadawała. Mogłaby zostawić otwarte, ale jeśli ktoś okradnie Darka, będzie to miała na swoim sumieniu, a może nawet w kartotece policyjnej.

Z duszą na ramieniu i pedałem gazu dociśniętym do podłogi pojechała do całodobowego hipermarketu. Wróciła pod garaż z pierwszą lepszą kłódką, którą udało jej się kupić. Istniała obawa, że jeśli ktoś będzie szukał włamywacza, który w nocy kupował kłódkę, to dzięki nagraniom z kamery bez problemu ją namierzą, ale musiała zaryzykować. Zresztą, kto przy tak znikomej szkodliwości czynu posunąłby się do szeroko zakrojonych poszukiwań winnego?

Kiedy w końcu Wioletka zabezpieczyła drzwi, po raz drugi tego dnia jęknęła. Kłódka co prawda była łudząco podobna do poprzedniej, ale przecież otwierał ją inny klucz! Taki drobny szczegół... Wiola była tak przejęta tym, że znajdzie w garażu porwaną, a może nawet martwą Dębską, że nie starczyło jej uwagi na drobiazgi. Brawo, pogratulowała sobie postępującego zwiotczenia mózgu.

W drodze z miejsca przestępstwa do domu rozpląkała się w odpowiedzi na narastającą w niej frustrację. Czuła, że nieźle narozrabiała. Być może Orzechowski był porywaczem, ale przynajmniej nie popełnił takiego głupiego błędu jak ja, pomyślała. Co robić, co robić? — gorączkowo próbowała znaleźć rozwiązanie.

Wraz ze wschodem słońca zdecydowanie poprawił jej się

humor. To, co wymyśliła, nie było idealne, ale przynajmniej miała jakiś plan.

Poczekwała do dziesiątej, kiedy otwierali sklepy, a następnie jeździła po całym mieście, żeby w czterech przypadkowych miejscach kupić: jednorazowe rękawice, buteleczkę spirytusu salicylowego, paczkę waty, białą kopertę A5, klej w sztyfcie, znaczek pocztowy oraz folię o wymiarach pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Kluczyk do kłódki wrzuciła do garnka z wodą, gdzie gotowała go przez dziesięć minut we wrzątku, żeby zatrzeć odciski palców oraz swoje DNA. Początkowo myślała o pięciu minutach, ale po ich upływie uznała, że drugie tyle z pewnością nie zaszkodzi. Poza tym te pięć dodatkowych minut było jej potrzebne, żeby w spokoju dokończyć picie gorącej herbaty. Następnie w jednorazowych rękawiczkach przetarła klucz watką namoczoną w spirytusie i włożyła do nowo kupionej koperty. Lewą ręką (a była praworęczna) wypisała adres Darka, klejem przykleiła znaczek. Operacji dokonywała na stole przezornie przykrytym folią. Tak przygotowaną korespondencję wrzuciła do skrzynki w Zgierzu. Życie przestępcy bardzo ją zmęczyło, dlatego wycieczkę do Kozowic przełożyła na następny dzień.

Do rodzinnej miejscowości Dębskiej dojechała na szczęście bez kolejnych atrakcji i nieprzewidzianych sytuacji. Na głównym rynku dookoła obsadzonego kwiatami skweru z kostki brukowej od razu zlokalizowała kościół, ratusz, urząd pocztowy, dwa prywatne domy oraz cukiernię. Bezpośrednio pod ratuszem znajdował się przystanek. Na ławeczce przysiadła staruszka, cierpliwie oczekująca na przyjazd autobusu. Wioletka zatrzymała samochód blisko niej, odkręciła szybę i grzecznie zapytała:

— Dzień dobry, pani jest stąd?

— Ano stąd.

— Przyjechałam do koleżanki w odwiedzinę, ale zapomniałam dokładnego adresu, może pani będzie mogła mi pomóc?

Kobiecina podeszła do samochodu.

— Dobrze trafiłaś. Całe życie w Kozowicach mieszkam. Mój tata pole tu miał, pięć nas dziecioków było, tośmy mu na roli pomagali. Mamusia, świętej pamięci, krowy doiła, kuchnią się

zajmowała. Oj, to były czasy, nie to co tera. Dziecioki kiedyś rodziców uszanować umieli, nie pyskowało toto, bo jak nie, to pas zara w ruch szedł! Kaźdyn kaźdego znał, sąsiad sąsiadowi pomagał. Tera to tylko chciwość, zawiść i te komputery czy jakie smertfony. Masz szczęście, że na mnie trafiłaś, bo wszystkich tu znam, jakie nazwisko nie rzucisz, od razu ci powiem, gdzie dom mają. Mów, kogo potrzeba, a ja zara drogę wyłożę albo się nie nazywam Genowefa.

— Genialnie! Szukam Mai Dębskiej

— Że kogo?

— Mai Dębskiej.

— Nie ma tu takiej.

— Musi być — powiedziała bez przekonania Koperek.

— Może i musi, ale nie ma — zapewniła starowinka. — Znam wszystkich, a jej nie znam, to się znaczy, że takiej tu nie ma. A ile to wiosen liczy twoja kuma?

— Około dwudziestu.

— To czego od razu nie mówisz? Skąd mnie niby takie dziecioki znać? Ech, dziewczyno, głowę niepotrzebnie zawracasz. Jedź na pocztę i tam się pytaj — burknęła niezadowolona, wracając na ławeczkę.

— Dziękuję. — Wiola posłusznie odjechała.

Na poczcie znali adres Dębskiej, a dokładniej rodziny Czaplińskich, bo tak brzmiało nazwisko ojczyma, matki i brata Mai. Koperek skrzętnie zapisała go sobie w notesiku razem z instrukcją, jak ma dojechać. Droga była prosta, miasteczko niewielkie, więc po kilku kilometrach jazdy Wioletka ujrzała budynek okazałych rozmiarów — rodzinny dom Majki.

Auto zostawiła w otwartej bramie i raźnym krokiem weszła na podwórze. Nie wiadomo skąd przybiegły dwa kundelki merdające przyjacielsko ogonami. Pieski radośnie poszczekiwały, domagając się pieśczot. Wioletka pogłaskała je i ruszyła w stronę domu.

— Czegoś pani szuka? — huknął wychylający się zza węgła mężczyzna w średnim wieku.

— Szukam Mai! — odkrzyknęła, przybliżając się do niego.

— Pewno córka coś narozrabiała. Ostrzegam, że ja płacił nie będę.

— Proszę się nie obawiać, Majka nie zrobiła nic złego — powiedziała dziewczyna, stojąc już zaledwie krok od mężczyzny.

— To o co chodzi? Chcesz czegoś od niej?

Panna Koperek rozejrzała się po obejściu. Pod nogami kręciła się garstka tłusciutkich grzebiących w ziemi kur oraz gęsi, ze stodoły słycać było rzenie konia. Pod ścianą domu piętrzyła się górka niedbale rzuconego drewna na opał, które nieopodal z zapałem rąbał młody, rosty chłopak.

— Jestem jej koleżanką, mieszkamy blisko siebie w Łodzi. Chciałam oddać pożyczone sto złotych, ale nie mogłam jej zastać w domu. Pomyślałam, że pewnie pojechała w odwiedziny do rodziców. Przejeżdżałam niedaleko, więc zajrzałam, a co mi szkodzi.

— Majki nie ma. Daj mnie te pieniądze, oddam córce, kiedy ją zobaczę. — Mężczyzna wyciągnął przed siebie dłoń ubrudzoną ziemią, którą wytarł z dwóch stron o robocze spodnie.

— Nie będę panu robiła kłopotu. Zresztą chciałam zwrócić osobiście. — Wiolka nie ustępowała.

— Nie bądź niemądra. Spalać paliwo na darmo? Po prostu zostaw kasę.

Wydawało się, że ojczymem niekoniecznie kierowała troska o Wioletkę, która nadłożyła drogi. Bardziej prawdopodobne było, że wizja utraty stówki nie przypadła mu szczególnie do gustu.

— Oddam pieniądze, kiedy się z nią zobaczę. Gdzie jest Maja?

— A skąd mam wiedzieć? Nie przyjeżdża chyba ze dwa miesiące. Szukaj jej w Łodzi, teraz tam mieszka.

— Myślałam, że jest pan ojcem. Ojciec raczej powinien wiedzieć, gdzie jest jego córka.

— A tobie nic do tego, co ja wiem o swoich dzieciach — zezłościł się. — Już mi stąd, bo psami poszczuję. Raz-dwa, uciekaj!

Wiolka spojrzała na przyjazne pieski ocierające się o jej nogi. Raczej nie wyglądały na morderców.

— Tata, co to za jedna? — zapytał młodzieniec, który zarzucił

rąbanie drewna i podszedł do ojca.

Koperek przyjrzała się chłopakowi. — To byłeś ty! — Rozpoznała w nim tura ze schodów w bloku Dębskiej.

— Jakaś nawiedzona — powiedział syn, zerkając na mężczyznę.

— Żadna nawiedzona! Wpadłeś na mnie, kiedy leciałeś na łeb, na szyję spod mieszkania siostry. Chciałeś się włamać, widziałam rysy koło zamka. Co jej zrobiłeś? Gdzie ją trzymasz?! — Koperek zupełnie straciła panowanie nad sobą.

Młody Czapliński przyskoczył do niej, trzymając na wysokości kolan siekiere.

— Nie byłem w Łodzi od roku. Po co miałbym tam jechać? Żeby wdychać spaliny? Kochana siostrzyczka wyprowadziła się od rodziny, pewnie się nas wstydzi, więc jej nie odwiedzamy i ona nas też nie. Coś ci się kompletnie pomieszało. Okulary sobie kup, będziesz lepiej widziała. A teraz idź stąd, bo wezwiemy policję. Zgarną cię za wtargnięcie na teren prywatny, to wrócisz do rozumu.

Dziewczyna odwróciła się i z mocno bijącym sercem powoli odeszła. Nie było mowy o pomyłce, to na pewno był chłopak, którego widziała na klatce schodowej u Dębskiej.

— Aleś jej, synek, powiedział! — Usłyszała jeszcze za plecami głos tatusia.

— A co się tu będzie jakaś obca kręciła! Chodź, ojciec, szkoda czasu, wracamy do roboty — odpowiedział tur.

Wiola wsiadła do fiata. Całkowicie bezpieczna we wnętrzu auta, dyskretnie fotografowała Czaplińskich przez otwarte okno. Nagle zobaczyła przemykającą koło domu kobietę, która biegła w jej kierunku.

— Przyjeźdź za dwie godziny i wejdz od strony kuchni — powiedziała cicho, po czym potruchtała z powrotem do budynku.

Przez chwilę dziewczyna zastanawiała się, czy to nie jest pułapka. Może tamci dwaj wysłali niepozorną babeczkę, żeby osłabić jej czujność? Zwabią ją do domu, gdzie okradną, zabiją, zgwałcą i kto wie, co jeszcze zrobią. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie zaryzykowała.

Czas pozostały do wyznaczonej godziny przeczekała w cukierni

na głównym rynku, gdzie próbowała regionalnych wyrobów, zapijając smakołyki lemoniadą.

Kiedy jechała na umówione spotkanie, minął ją van z Czaplińskimi na pokładzie. Od razu jej ulżyło. Skoro gdzieś jada, oznacza to, że nie ma ich w domu, chyba że posiadli zdolność bilokacji, co było wysoce nieprawdopodobne. Na wszelki wypadek zostawiła samochód kilkaset metrów dalej, żeby go nie namierzyli, gdy ona będzie rozmawiała z tajemniczą kobietą.

Wbiegła na podwórze, sprintem dopadła do budynku i przylgnęła plecami do ściany domu. Na paluszkach zakradła się do drzwi, które znajdowały się tuż obok kuchennego okna, co poznała po wiszących warkoczach czosnku, i delikatnie zapukała.

— Wchodź. — Do środka za rękaw wciągnęła ją kobiecinka, którą widziała wcześniej. — Nie ma ich, pojechali pomagać znajomemu przy przeprowadzce, więc mamy dużo czasu. Jestem mamą Majeczki, słyszałam, że o nią pytałaś.

— Dzień dobry, nazywam się Wioletka Koperek. Trochę okłamałam pani męża. Nie mam żadnych pieniędzy dla Mai, po prostu się o nią martwię. Mieszkam naprzeciwko niej i zauważyłam, że od jakiegoś czasu nie wraca do domu. Jej przyjaciółka Paula, taka blondynka z pasemkami na włosach, też się martwi. Dostała pocztówkę z Krakowa rzekomo od pani córki, ale to niemożliwe, żeby Majka ją wysłała. Ktoś się pod nią podszył. Boję się, że stało się coś złego... — Koperek nie potrafiła tego wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób, ale czuła, że może zaufać matce Dębskiej, dlatego jednym tchem wyrzuciła z siebie opis sytuacji.

— O Panienko przenajświętsza! — Czaplinska złapała się za serce.

— Dobrze się pani czuje? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Dobrze, tylko muszę usiąść. — Kobieta, podpierając się o ścianę, weszła do kuchni, gdzie ciężko opadła na krzesło.

— Dam pani wody — zaofiarowała się Wioletka, zdejmując z suszarki szklanę. Nalała kranówki i podała Czaplinskiej.

— Wioletko, jestem pełna najgorszych przeczuc. Majeczka co miesiąc koło dwudziestego ósmego przysyłała po kryjomu trochę

pieniędzy, to, co jej tam zostało. Odkładałam całość na lokatę na czarną godzinę, gdyby była potrzebna gotówka. Pierwszy raz zdarzyło się tak, że nic nie przyszło. Nie dzwoni, nie pisze. Ja też nie mogę się do niej dodzwonić. Początkowo myślałam, że poznała jakiegoś sympatycznego, młodego chłopca i wyjechała z nim w świat. Nawet cieszyłam się jej szczęściem — powiedziała z bladym uśmiechem, lecz po chwili westchnęła. — Teraz myślę, że to były mrzonki. Czułam, że dzieje się coś niedobrego, ale zamiast to przyznać, wolałam się oszukiwać. Córka mnie bardzo kocha i ja ją też Kocham nad życie, więc nawet gdyby wyruszyła w podróż, na pewno dałaby mi znać. Nie chciałaby, żebym się o nią martwiła. A tu nic, ani słówka. Majunia jest moim wielkim szczęściem. Jest taka dobra, miła i utalentowana! Byłam bardzo młoda, kiedy poznałam na dyskotecie pierwszego męża. Od razu się w sobie zakochaliśmy i pobraliśmy. Mama z tatą nie byli zachwycenia takim obrotem sprawy, uważali, że na bycie razem będzie jeszcze czas. Dla mnie, chociaż krótki, to był wspaniały okres w życiu. Byliśmy tacy szczęśliwi... — z rozrzewnieniem wspominała Czaplinska, wycierając kącik oka rąbkiem fartucha. — Niestety zdarzył się nieszczęśliwy wypadek i mój ukochany zmarł. W jednym momencie życie legło mi w gruzach, ale nie zostałam sama, bo byłam w ciąży. Od pierwszej chwili, kiedy tylko Maja zaczęła rosnąć pod moim sercem, pokochałam tę kruszynkę. Zwierzyłam się z tego mamie. Matka, jak to matka, pocieszała, mówiła, że sobie poradzimy. Pomoże mi, a kto wie, czy i nie skończę studiów. Niestety, tak się nie stało. Kiedy ojciec się dowiedział, że zostałam wdową, i to z dzieckiem w drodze, natychmiast zaczął działać. Pogadał z jakimś kolegą w pracy i nim się zorientowałam, co się dzieje, byłam żoną Czaplinskiego. Andrzej miał dom, dobre zatrudnienie, rodzice dołożyli do tego jeszcze moje hektary, więc może nie byliśmy wielkimi bogaczami, ale pieniędzy na życie nie brakowało. Niestety Maja miała tutaj pod górkę. Mąż krzywo na nią patrzył... Na szczęście on nie z tych, co by podnosił rękę na kogokolwiek albo inną krzywdę robił. W gruncie rzeczy to dobry człowiek, tylko łasy na pieniądze i tu właśnie jest pies pogrzebany. — Ponownie

westchnęła. — Nasz syn Szymek jest trochę szorstki, zdarzało się, że nie był dla Majuni najprzyjemniejszy. W końcu uradziłyśmy z mamą, że trzeba dać mojej córce lepszy start. Złożyłam jej papiery do liceum w Łodzi i udało się! Dobrze się uczyła, zyskała nowych przyjaciół. Kiedy szkoła się skończyła, wróciła do Kozowic. Mówiłam jej, żeby tam została, ale ona zdecydowała inaczej. Chciałam dla niej lepszego życia, nie pozwolę, żeby skończyła tak jak ja: bez szkoły, bez pracy, bez perspektyw... — Załzawionymi oczami kobieta spojrzała na dziewczynę. — I wtedy, jakiś rok temu, zmarła moja mama. Mąż z synem zacierali ręce, że położą łapy na jej mieszkaniu. Wioletko, nie zrozum mnie źle, kocham syna, ale miłość mnie nie zaślepia. Doskonale widzę, że Szymek jest pod wpływem ojca. Jedyne dobre, że ani jednego, ani drugiego nie ciągnie do żadnych używek. U nas w domu nigdy nie było alkoholu, a tym bardziej tych gorszych substancji, co to się o nich czyta w gazetach i ogląda w telewizji, że ludzie zażywają i niszczą sobie zdrowie. Syn jeszcze wróci do rozumu, wierzę w to i modłę się do Matki Boskiej, żeby tak stało się jak najszybciej! — Zamyśliła się. — W każdym razie niedługo po śmierci mamy listonosz przyniósł pismo do Mai. Mąż rozerwał kopertę i... zbladł. Przez chwilę myślałam, że dostanie wylewu, ale na szczęście nie. Dopiero po jakimś czasie się uspokoił i powiedział, w czym rzecz. Okazało się, że moja mama u notariusza przezornie zrobiła odpowiednie zapisy i co tylko miała, przepisała na wnuczkę. Pomogłam się córce spakować i odprowadziłam na pekaes. Prosiła mnie, żebym z nią pojechała, mówiła, że pomoże mi znaleźć pracę, ale ja nie mogłam tak zostawić wszystkiego, a zwłaszcza Szymka. Przecież jest moim dzieckiem, on ledwie co pełnoletni, więc nic dziwnego, że w głowie na razie pusto. No i jak to, miałabym na stare lata na nowo zaczynać życie? — Pokręciła głową. — Ale ja tak mówię i mówię, bo wiesz, człowiek cały dzień siedzi w domu, więc jeśli tylko trafi na życzliwego słuchacza, będzie bez przerwy gadał. Powiedz mi, Wioletko, od kiedy nie ma Mai?

— Od dwudziestego drugiego — odezwała się dotychczas milcząca dziewczyna.

— Wcale nie tak długo.

— Tyle że widzi pani, my z tą jej przyjaciółką Paulą...

— Znam Paulę, jest takim miłym i dobrym dzieckiem — przerwała Czaplińska.

— No więc Paula miała zapasowy klucz do mieszkania Mai. Weszłyśmy tam i okazało się, że pani córka gdzieś wyszła, ale niczego nie zabrała, nawet butów, zostawiła też telefon komórkowy.

— O Matko święta! Przecież nie poszłaby nigdzie bez butów — przestraszyła się kobieta. — Co teraz?

— Chyba powinna pani iść z tym na policję i zgłosić zaginięcie.

— Chyba tak, tyle że policjanci mają tak dużo spraw... Czy zajmą się należycie kolejną? Pewnie uznają, że młoda dziewczyna uciekła z domu i tyle. Wioletko, jej się coś stało, ja to czuję! Serca matki nie oszukasz.

— Niech się pani nie martwi, może wszystko się wyjaśni, a Maja wróci cała i zdrowa.

— Bogu dzięki, że moja córcia ma w tobie przyjaciółkę. Często myślę o mojej małej. Martwię się, że ona nie ma nikogo na całym świecie. No bo poza mną kto się troszczy o jej los? Paula i ty. Kiedy żyła moja mama, było inaczej. Kochała Maję, nieba by jej przychyliła. Nie przepadała za moim mężem, źle też wypowiadała się o Szymku. Złościło mnie to, ale teraz, z perspektywy czasu, widzę, że w pewnych kwestiach mama miała sporo racji. Gdybym od początku postawiła na swoim, nie pozwoliła, żeby tak było, wszystko potoczyłoby się inaczej — stwierdziła z goryczą. Nagle zamilkła i pogrążyła się w rozmyślaniach. Po chwili powiedziała: — Poczekaj, coś ci pokażę.

— Wyszła z kuchni, a za moment wróciła z małym albumem, który mocno przyciskała do piersi. — Schowałam sobie tutaj kilka zdjęć z mojego dzieciństwa, z pierwszego małżeństwa, jest też trochę ujęć Mai i Szymka. Czasami oglądam je i wspominam. To się jakoś ułoży, Święta Panienska na pewno nad nami czuwa.

Razem przejrzały fotografie, na których byli pięknie ubrani, uśmiechnięci ludzie.

— Te są moimi ulubionymi. Tutaj jesteśmy ja z mamą i Mają

pierwszego dnia liceum, a tutaj na rozdaniu świadectw maturalnych. Zobacz, jak córka mi wydorosła. I pomyśl tylko, że sukienki, w których jesteśmy wszystkie trzy, ona uszyła własnymi rękoma!

— Ma wielki talent — przyznała Wiolka.

— Tak, od razu widać. Życzę jej, żeby odniosła sukces, szyła dla największych sław, zamieszkała w Paryżu, Ameryce czy gdzie tylko sobie zamarzy. Kiedyś pozna miłego chłopaka, wyjdzie za mąż i będzie miała szczęśliwą rodzinę. — Kobieta nagle przerwała. — Ale co ze mnie za gospodyni! Nawet nie zaproponowałam ci herbaty. Poczekaj, zaraz zrobię! — Skoczyła do kuchenki i przygotowała dwa kubki napoju.

Wioletka w tym czasie nie próżnowała, wykorzystwała nieuwagę matki dziewczyny, żeby sfotografować kilka zdjęć z albumu.

Kiedy już zaprzyjaźnione panie wygodnie się rozsiadły i w najlepsze rozprawały, popijając przy tym mocno słodzoną, czarną herbatę zrobioną z jednej torebki, na podwórko wjechał van.

— Wioletko, musisz iść! — powiedziała kobieta, nerwowo zerkając przez okno.

Panna Koperek wstała i doskoczyła do drzwi.

— Nie tędy! Tyłem. Chodź szybko, pomogę ci. — Matka Mai chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą do sypialni. Otworzyła okno. — Kiedy wyjdiesz na zewnątrz, biegnij prosto przed siebie. Za stodołą jest furtka, przez którą wypadniesz wprost na łąki sąsiada.

— Proszę mi obiecać, że zgłosi pani zaginięcie córki — naciskała Wiolka, siedząc okrakiem na parapecie.

— Zgłoszę. A teraz szybko, leć! Lepiej, żeby cię tutaj nie widzieli, bo jeszcze wezwą policję. Po co masz mieć kłopoty. Ja ich zagadam, nic się nie bój — powiedziała pewnym siebie głosem. — Poczekaj, dam ci numer do siebie, zadzwoń, jeśli się czegoś dowiesz — poprosiła i oderwała róg gazety, na którym w pośpiechu nakreśliła cyfry długopisem wyjętym z kieszeni podomki w niebieskie bratki.

— Oczywiście — zapewniła dziewczyna, chwytając papierek do

ręki.

W obstawie dwóch rozkosznych kundelków znalazła furtkę, która jednak jak na złość okazała się zamknięta. Co robić? Koperek nie widziała innego wyjścia, niż przez nią przeleźć. Zadarła nogę i pokonała przeszkodę sięgającą jej do pasa. Tuż za ogrodzeniem rzuciła się pędem przez łąkę w kierunku lasu znajdującego się o jakieś kilkaset metrów na lewo. Dokładnie z chwilą kiedy jej stopa dotknęła leśnego poszycia, cały strach uleciał. Serce nadal waliło jej jak młotem, ale ukryta wśród drzew czuła się już bezpiecznie. Profilaktycznie kilka razy odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Czaplińscy jej nie gonią, ale szczęśliwie nie zobaczyła ich za plecami. Uspokojona, okrężną drogą spacerkiem wróciła do samochodu. Korzystając z okazji, nazrywała naręcze rosnących przy drodze jeżówek, liliowców i dzielżan.

W domu wstawiła bukiet zebrany przy wiejskiej drodze do kryształowego wazonu. W pomieszczeniu od razu zrobiło się przyjemniej i jakoś tak weselej. Wioletka zaktualizowała dane na tablicy, a następnie przyniosła z pokoju krzesło, które ustawiła naprzeciwko. Zasiadła niczym prawdziwy detektyw i zaczęła wpatrywać się w każdy przypięty do korka element po kolei. Coś jej nie pasowało, czegoś jakby brakowało, coś pomijała. Wstała i przemierzyła mieszkanie wzdłuż i wszerz, próbując przywołać w pamięci coś, co słyszała, ktoś jej powiedział, ale umknęło, a była przekonana, że to ważna informacja. Znużona bezowocnymi rozmyślaniami udała się do kuchni, gdzie wyjęła z szuflady przybory do szycia i kłębek różowej włóczki, po czym ponownie wróciła do przedpokoju. Pracowicie zaczęła nawijać wełnę na pinezki (dokładnie w tym samym odcieniu różu co motek) przyczepione do zdjęć — widziała coś podobnego w filmie. Chciała w ten sposób wyznaczyć połączenia między poszczególnymi osobami i wątkami. Pomysł, najdelikatniej mówiąc, nie był trafiony. Wszystko się splątało, powstał chaos, trudno było cokolwiek odczytać spośród przecinających się nici. Wiolka z niezadowoleniem odczepiła wełnę i niedbale rzuciła na podłogę.

— Co za idiotyczny pomysł! — burknęła, zła na samą siebie.

ROZDZIAŁ 9

Od feralnej nocy, kiedy to Wioletka podejrziała atak siekierą na Maję, minęły ponad dwa tygodnie, a nadal nie było ciała: ani żywego, ani martwego. Prowadząca nieoficjalne śledztwo dziewczyna sama nie wiedziała, jak ma to rozumieć. Za dwa dni zaczynała pracę we wspólnocie mieszkaniowej, a więc wolny czas, jakim będzie dysponowała, drastycznie zmaleje. Zamyślona siedziała w wygodnym fotelu z książką w dłoni, kiedy przez okno zobaczyła wracającą z zakupów Dzikowską. Porzuciła bezsensowne rozmyślenia i ruszyła na spotkanie trudno osiągalnej sąsiadki. Dopadła ją, kiedy pani Łucja przestawiała torby z zakupami z klatki schodowej do przedpokoju.

— Dzień dobry, pani Dzikowska — przywitała się Koperek, stając obok kobiety.

— Dzień dobry — uprzejmie odpowiedziała sąsiadka.

— Szukam Mai Dębskiej. Nie widziała jej pani może w ostatnim czasie?

— Kogo? — zapytała szczerze zdziwiona Łucja.

— Takiej młodej dziewczyny, która mieszka tutaj na czwartym piętrze.

Wyraz twarzy Dzikowskiej dawał do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o kogo chodzi.

— Przepraszam, ale nie znam.

— Może chociaż kojarzy ją pani z widzenia. Taka szczupła niewysoka brunetka.

— Niestety, nic mi to nie mówi. — Dzikowska bezradnie rozłożyła ręce. — Bardzo mi przykro, że nie pomogłam. — Mówiąc to, wepchnęła stopą do przedpokoju szczekającą szczotkę, która prawdopodobnie była psem rasy szpic miniaturowy, sama też weszła do środka, po czym zamknęła drzwi.

Rozczarowana brakiem nowych informacji Wioletka zeszła piętro niżej i zadzwoniła do mieszkania podróżnika. Ku jej

zaskoczeniu drzwi się otworzyły, a na progu stanęła Żukowska.

— Dzień dobry — wydukała zdziwiona Wiola na widok sąsiadki zamiast przystojnego globtrotera.

— A dobry, dobry — odpowiedziała emerytka.

— Myślałam, że pani mieszka na trzecim.

— Bo mieszkam. Przychodzę tutaj trzy razy w tygodniu, żeby podlewać kwiaty. Zawsze gdy chłopak wyjeżdża, zostawia mi klucze. Opiekuję się jego kawalerką.

— On to ma fajnie, zwiedza cały świat...

— Prawda, ale ja tam wcale mu nie zazdroszczę. Od początku września jest w Nepalu, miał wrócić za tydzień, a tu szef w ostatniej chwili zmienił plany i kazał mu zostać jeszcze przez miesiąc. Moje dziecko, sama się zastanów, jak w takich warunkach biedak ma poznać jakąś miłą panienkę, że nawet nie wspomnę o założeniu rodziny.

— Nie pomyślałam o tym — przyznała dziewczyna.

— Masz do niego sprawę? Coś mu przekazać, kiedy do mnie zadzwoni?

— Nie, to może poczekać.

— Dobrze, w takim razie wracam do podlewania kwiatów — powiedziała pani Władysława, znikając za metalowymi drzwiami.

Wioletka na nowo zatem zaczęła śledzić Darka. Uznała, że nie zaszkodzi mieć go na oku, łudziła się, że a nuż, widelec popełni jakiś błąd. Żelazne alibi porywacza nie zniechęcało jej, wszystko wydawało się lepsze niż zrealizowanie ostatniego punktu z listy, który — zakreślony żółtym mazakiem — jak wół głosił: „przeprowadzić z Ząbkowskimi wywiad środowiskowy na temat ofiary”. Akurat ci sąsiedzi przerażali ją zdecydowanie bardziej niż podejrzany w osobie Orzechowskiego.

Późnym popołudniem udała się pod blok chłopaka, a następnie pojechała za nim na siłownię, skąd po upływie godziny i dziesięciu minut ponownie wrócili pod wieżowiec. Mężczyzna poszedł do domu, a dziewczyna w oczekiwaniu na dalszy przebieg wydarzeń wykonała we wnętrzu malucha manicure oraz pedicure. Czas dłużył jej się niemiłosiernie, a Kawka i

Ciasteczko kusiły widoczną z zewnątrz podświetloną witryną z deserami. Nawet najtwardszy zawodnik uległby pokusie, więc nic dziwnego, że i panna Koperek nie wytrzymała.

Wkroczyła do kawiarenki, gdzie natychmiast poczuła się tak dobrze jak u babci na wsi. Wnętrze urządzone w staropolskim stylu było przytulne, zupełnie nie chciało się z niego wychodzić. Dziewczyna skonsumowała napoleonkę, potem włoską rurkę z kremem, a na zakończenie wypijała Chałwową Rozpustę — specjalność zakładu. Przez tę krótką chwilę zapomniała, dlaczego znalazła się na Kostkoczyńskiej. Widok Orzechowskiego zmierzającego szybkim krokiem w kierunku merca odświeżył jej pamięć. Szybko zapłaciła i ubrudzona na policzku bitą śmietaną wybiegła na parking. Wtem usłyszała krzyk Darka i ujrzała jego rękę wycelowaną wprost na nią.

— To ty!!!

Na ucieczkę maluchem nie było szans. Auto stało pod kioskiem, za plecami mierzącego w nią palcem faceta, który właśnie w tej chwili zaczął biec do Wiołki. Ta odwróciła się do niego plecami i ile sił w nogach ruszyła przed siebie.

— Stój! Niech no cię złapię, to my sobie już porozmawiamy! — wołał za nią.

Jakieś sto metrów dalej do przystanku podjeżdżał autobus. Dziewczyna nie zastanawiała się dwa razy, doskonale wiedziała, gdzie szukać ratunku. Trudno powiedzieć, czy była to zasługa adrenaliny, czy może biegów przełajowych, które uprawiała w liceum, w każdym razie w olimpijskim czasie dopadła do wiaty i jednym susem wskoczyła do wnętrza pojazdu przez właśnie zatraskujące się drzwi. Autobus minął zdyszanego amatora wygodnych dresów, który patrzył ze złością w kierunku oddalającej się Wioletki.

Uratowała skórę, ale co z samochodem? Pomyślała z niepokojem o tym, że trzeba go przecież jakoś odebrać. Z tego powodu, z duszą na ramieniu i wielką butlą lakieru do włosów ściskaną w trzęsącej się dłoni, wysiadła o drugiej w nocy z nocnego autobusu pod kawiarenką Kawka i Ciasteczko. Zgarbiona przedostała się do swojego auta. Przykucnęła przy

drzwiach od strony kierowcy, szybko je otworzyła, władowała się do środka i odjechała na pełnym gazie do domu.

Tej nocy spała nad wyraz źle. Męczyły ją dziwne sny, których kompletnie nie pamiętała po przebudzeniu. Rankiem niewyspana zasiadła z kubkiem zielonej herbaty nad wczorajszą gazetą.

Już pierwsza strona wzbudziła jej zainteresowanie. Jakaś pani podczas generalnego remontu znalazła w ponemieckiej kamienicy na starym mieście zamurowany w ścianie sejf. W pierwszej kolejności wraz z mężem usiłowali dobrać się do ukrytych skarbów. Dwa tygodnie wiercenia, tłuczenia, piłowania nie posunęły sprawy do przodu. Wtedy na pomoc wezwali władze miasta. Kolejne dwa tygodnie oględzin, ekspertyz, a na koniec komisyjne wysadzenie drzwiczek ukazały wnętrze opancerzonej skrytki: kapsel po piwie, trzy „Przyjaciółki” z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego oraz rzeźbiony w drewnie samolocik. Na marnej jakości zdjęciu małżonkowie trzymali w dłoniach znaleziska, uśmiechając się szeroko do obiektywu. Z bijącej z ich twarzy dumy można było sądzić, że sejf zawierał co najmniej kilogram złotych monet albo nikomu dotychczas nieznaną obraz Matejki.

Na drugiej stronie dziennika zrobiło się jeszcze ciekawiej. Wypisany pogrubioną czcionką tytuł artykułu głosił: *Horror w naszym mieście! Szczątki kobiety odkryte na wysypisku*. Wioletka przeczytała całość od deski do deski z wypiekami na twarzy. Co prawda poza kilkoma faktami nie było żadnych konkretów, ale historia naprawdę budziła grozę. Przez umysł dziewczyny przemknęło, co by było, gdyby wyrzucone ludzkie szczątki należały do Mai... Szybko jednak odgoniła tę przerażającą myśl. Naprawdę bardzo chciała wierzyć w wersję z porwaniem.

W tekście informowano, że w miniony piątek na wysypisku śmieci ptaki wygrzebały spod sterty odpadków ludzką rękę. Wystraszeni pracownicy od razu zawiadomili o odkryciu policję. Na miejscu zjawiły się trzy radiowozy. Przetrząsnięto część terenu, w wyniku czego znaleziono poćwiartowane ciało należące do kobiety. Ze względu na dobro wszczętego śledztwa nie zdradzono niczego więcej. Pomysłowy dziennikarz,

prawdopodobnie chcąc zwiększyć zainteresowanie swym artykułem, zamieścił na stronie kilka przypadkowych zdjęć. Wśród nich znalazło się wysypisko śmieci widziane z lotu ptaka, jakiś rynecek oraz szereg bloków. Porcyjka faktów została okraszona całą listą pytań, wątpliwości, niedomówień, o które pokusił się reporter:

Kto mógł dokonać tak bestialskiego czynu? Czy obywatele miasta i okolic jeszcze kiedykolwiek zasną spokojnie w swoich łóżkach? Co robiliśmy, kiedy mordowano? Gdzie była policja? Jak żyć w tym mieście bezprawia? Kim była bezbronna, niespodziewająca się niczego złego kobieta? Może zostawiła garstkę dzieci, które teraz gdzieś tam dogorywają z głodu, biedne małe sierotki...

Na tym Wiola zakończyła czytanie gazety. Porażająca ilość głupot zawartych w artykule odebrała jej chęć kontynuowania lektury oraz apetyt na śniadanie. Właśnie składała szmatławiec, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Przeszła do przedpokoju i swoim zwyczajem, bez spoglądania w judasza, otworzyła. Na klatce schodowej stał nie kto inny jak Orzechowski we własnej osobie. Koperek zrobiła wielkie oczy.

— Myślałaś, że cię nie znajdę? — zapytał z triumfem w głosie.

— Ja... — zaczęła, ale nic więcej nie udało jej się wydusić.

— Myślisz, że tylko ty umiesz kogoś wysledzić? I co, zdziwiona?

— Ale jak... — próbowała coś powiedzieć, nadal jednak była jak sparaliżowana.

— Chciałaś zapytać, w jaki sposób cię namierzyłem? — odpowiedział nasuwające się na myśl pytanie, kręcąc na palcu kółkiem z kluczykami od mercedesa. — Banalnie prosto. Obserwowałem tego twojego gruchota, wiedziałem, że w końcu musisz po niego wrócić. Oczywiście miałem rację. Potem to już była bułka z masłem, po prostu pojechałem za tobą. Przechytrzyłem cię, maleńka.

— Ale ja zerkałam w lusterko, nikt za mną nie jechał... — wyjęczała.

— Nie jesteś zbyt spostrzegawcza, co? Nic nie szkodzi. —

Zaśmiał się przerażająco, po czym przybrał pozę macho, opierając się łokciem o poręcz. — Jechałem bez świateł. Trzeba umieć śledzić. A teraz się policzymy, za to włamanie do mojego garażu też!

Pani detektyw zbladła.

— Co, myślałaś, że się nie domyślę? Wszystkiego się dowiem, przede mną nic się nie ukryje.

— Ale ja... — nadal nie potrafiła otrząsnąć się z szoku.

— Herbaty mi zrobisz i sobie porozmawiamy, oj, porozmawiamy — powiedział, podchodząc o krok bliżej, mocno popchnął ręką drzwi, tak że otworzyły się prawie na całą szerokość.

Dziewczyna wystraszyła się nie na żarty. Chwyciła za klamkę, próbując zatrzasnąć intruzowi drzwi przed samym nosem. Chłopak ani myślał do tego dopuścić — przyblokował je ręką, uniemożliwiając zamknięcie. Wioletka nie miała złudzeń, że w tym przypadku na niewiele zdałoby się doświadczenie sprzed pewnego czasu, kiedy pracowała w charakterze ochroniarza podczas koncertów. Wtedy jej zadania ograniczały się do pilnowania, żeby rozhisteryzowane nastolatki nie przedarły się przez bramki na scenę. Te umiejętności nie były pomocne w sytuacji realnego zagrożenia mienia, zdrowia, a może nawet życia.

— ZOSTAW MNIE! — wrzasnęła wniebogłoso. — POMOCY! — Może i nie miała dość siły, żeby się obronić, ale z całą pewnością potrafiła głośno krzyknąć.

— Czego się tak drzesz? Uspokój się — próbował ją uciszyć Darek.

— A co się tutaj dzieje? — Nieoczekiwanie w drzwiach naprzeciwko pojawił się sąsiad.

— Idź pan stąd, nie pańska sprawa — fuknął Orzechowski, nie fatygując się, żeby spojrzeć na mężczyznę.

— Panie Wiesiu, pomocy — piszcziała z przedpokoju Wioletka. — On chce wtargnąć do mojego mieszkania!

Pan Wiesio nie potrzebował większej zachęty. Wykorzystując chwilę nieuwagi intruza, łapą wielkości bochenka chleba chwycił

za jego przerośnięty kark. Darek zasyczał z bólu. Z trudem wykrzywiając głowę, popatrzył na agresora. Jegomość o anormalnie dużej dłoni był niskiego wzrostu, krępy, żyłasty, raczej starszy niż młodszy.

— Puszczaj pan, bo nie ręczę za siebie — wysapał Darek, odważnie, choć zupełnie nietrafnie oceniając swoje położenie.

W odpowiedzi sąsiad tylko się zaśmiał.

— Wioletko, nic ci się nie stało? Może wezwiemy policję? — zapytał, po czym mocniej zacisnął palce.

Domniemany przestępca jakby się skurczył.

— Wszystko dobrze, tylko się najadłam strachu — powiedziała, nieśmiało wychylając się zza progę.

— Prawdziwy mężczyzna nigdy tak nie postępuje z kobietą. Grzecznie przeproś panią i wynocha. — Wiesio postanowił przy okazji nauczyć Orzechowskiego dobrych manier.

— Hej, ale to ona zaczęła! Ja jestem niewinny! — próbował się bronić.

— Co innego tu widzę — stwierdził wybawiciel. — Przeproś panią.

— A jak nie? — Młodzian nie zamierzał się tak łatwo poddać.

— A jak nie, to w inny sposób nauczę cię postępowania z damami. Na co dzień jestem pacyfistą, jeśli wiesz, co to znaczy, ale specjalnie dla ciebie zrobię wyjątek — odpowiedział spokojnie sąsiad, nie zmniejszając uścisku.

— Przepraszam — wycedził przez zaciśnięte zęby chłopak.

— Widzisz, od razu lepiej. A teraz zabieraj się stąd i żebym cię więcej nie widział — powiedział pan Wiesio, chcąc sprzedać Darkowi na odchodne kopniaka w cztery litery. W ostatniej chwili, już z wstępnie uniesioną do góry nogą, zrezygnował. Kto wie, być może na powrót obudziła się w nim dusza przeciwnika stosowania wszelkiego rodzaju przemocy.

Na półpiętrze młodzieniec odwrócił się i wysyczał, patrząc wprost na Wioletkę oraz mężczyznę:

— Jeszcze mnie popamiętacie!

Sąsiad wykonał krok w kierunku Orzechowskiego, na co ten bez dalszej zwłoki uciekł.

— Panie Wiesiu, jak ja się panu odwdzięczę...

— Wioletko, sąsiedzi są od tego, żeby sobie pomagać. Grunt, że nic ci nie zrobił. Ostatnio nasza okolica schodzi na psy. Włamania, rozboje... Co się porobiło na tym świecie!

— Że też pan się nie bał, przecież on jest wielki jak stodoła!

— Dziewczyno, a czego ja miałbym się bać? Teraz młodzi chłopcy chodzą na te swoje siłownie, ale zamiast uczciwie ćwiczyć, jeden z drugim ładują sterydy. Daje to masę, ale na pewno nie prawdziwą siłę. A ja osiemnaście lat robię jako grabarz. Może wydaję się niepozorny, ot, byle tam chłopina, ale mocy mi nie brakuje. Mówię ci, Wioletko, jeśli człowiek chce coś osiągnąć, to trzeba to zrobić krok po kroku, a nie na skrót.

— Zapamiętam radę. Raz jeszcze dziękuję.

— Kłaniam się i polecam na przyszłość.

Roztrzęsiona Wioletka nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Zastanawiała się, co zrobi, jeśli Orzechowski wróci. Nie może przecież liczyć na to, że pan Wiesław za każdym razem przybędzie jej z pomocą. Dlatego po dogłębnej analizie sytuacji postawiła w przedpokoju kij od szczotki do samoobrony, na dłoń założyła pięć pierścieni ze sztucznymi kamieniami jako kastet i uroczyście przysięgła sobie zerkać w wizjer przed każdym otwarciem drzwi wejściowych. Tyle wystarczyło, żeby zachwiane poczucie bezpieczeństwa powróciło.

W porze obiadowej zadzwoniła jej komórka. Wioletka oderwała się od spożywania domowej pizzy i odebrała telefon.

— Co tam? — zapytała, kończąc przeżuwanie.

— Wioletka! Ale jest afera! Ty chyba miałeś rację! — ekscytowała się Zuzia.

— Ja ZAWSZE mam rację. — Samozwańcza detektyw nie odmówiła sobie przyjemności, żeby zażartować.

— Nie dowcipkuj! Sprawa jest poważna. Ubieraj się w te pędy i biegiem do mnie na komisariat.

— Coś ci się stało? Wsadzili cię? Za co? Na pewno za jazdę na gapę. Mówiłam, żebyś kasowała bilety. Taka jesteś chytra, że dwóch złotych na przejazd ci szkoda, to teraz masz, siedzisz w pierdlu. Wiedziałam, że tak będzie.

— Co ty wygadujesz? Puknij się w głowę. Nie siedzę w żadnym pierdłu, tylko odkryto na wysypisku poćwiartowane ciało dziewczyny. Morderca pociął tego szczuplaczka na kawałki i podrzucił do różnych śmietników na naszym osiedlu. Pewnie by się nie wydało, gdyby nie ptaki. Rozdziobały odpadki i odkryły rękę. Uch, aż mnie przeszły ciarki na samą myśl o tym! Ale dobra, do meritum, wyobraź sobie, że ten trup to nasza Pszczoła!

— O nie! Biedna dziewczyna! Czaplińska się zapłacze...

Zapadła cisza. Po chwili Koperek powiedziała:

— Ale przynajmniej teraz, kiedy w końcu znalazło się ciało, śledztwo wejdzie na nowe tory.

— Wiolka, idiotko! Dziewczyna nie żyje, a ty zamiast jej żałować, myślisz o tych swoich głupotach.

— Oj, już nie przesadzaj — naburmuszyła się — no przecież, że żałuję. Straszna historia, nie dość, że śmierć, to jeszcze poćwiartowanie. Tylko że teraz przynajmniej można znaleźć jej oprawcę i odpowiednio go ukarać. Może to jest seryjny morderca, który właśnie, kiedy my tu sobie rozmawiamy, czai się na kolejną ofiarę?

— Chyba za dużo sobie wyobrażasz — powiedziała jakoś łagodniej Zużka.

— Zaraz, czytałam w piątkowej gazecie o tym odkryciu na śmietniku. Dzisiaj jest niedziela. Czemu od razu nie zadzwoniłaś? Przez ciebie straciłam dwa dni, a tak wiele mogłam zrobić w tym czasie! Przełom w śledztwie, a ona nie raczy mnie poinformować!

— Za przeproszeniem, wielkie G mogłaś zrobić! Zresztą sama nic nie wiedziałam, miałam wolne. Kiedy dziś przyszłam, od razu zauważyłam, że coś jest na rzeczy. Każdy biega od pokoju do pokoju na najwyższych obrotach. Słowo do słowa i wszystko sobie poskładałam. To są części Majki. Ktoś ją faktycznie zamordował.

— A skąd oni wiedzą, że to Majka, a nie jakaś inna dziewczyna?

— Przecież mają głowę! Znaczą się jej głowę. Myśl trochę. Kilka dni temu matka zgłosiła zaginięcie, zdjęcie było w bazie, jakoś pokojarzyli, coś powrzucali do komputerów i im wyszło.

Czaplińska jeszcze nie zdążyła przeprowadzić identyfikacji, zrobi ją dopiero dzisiaj, ale sprawa jest pewna. Słuchaj, w ogóle nie powinnam z tobą o tym rozmawiać, tyle że kiedy dowiedziałam się o sprawie, od razu pobiegłam do komendanta. Opowiedziałam mu, co widziałas i o tym twoim dochodzeniu, a on natychmiast kazał mi cię ściągnąć. Jesteś naocznym świadkiem!

— O Boże!

— Dobra, torebka na ramię i zasuway tutaj.

— Jestem za chwilę — obiecała Koperek, po czym się rozłączyła.

Po niespełna siedemdziesięciu pięciu minutach znalazła się w miejscu pracy przyjaciółki. Zuzia czekała na nią przy drzwiach wejściowych. Chcąc odsunąć od siebie ewentualne podejrzenia, że się obija, energicznie i dokładnie wycierała ścierką opancerzoną szybę, dzielącą dyżurującego policjanta od potencjalnego obywatela, który w każdej chwili mógł pojawić się na komendzie w celu zgłoszenia jakiegoś bliżej nieokreślonego przestępstwa.

— Jestem — powiedziała dziewczyna, z przejęcia mocno ściskając w dłoni pasek od torebki.

— Czemu tak długo?! Przecież od ciebie tutaj jest piętnaście minut i to spacerkiem! — fuknęła sprzątaczką, która całkowicie straciła zainteresowanie dotychczasowym zajęciem, pomimo że szyba była w jednej czwartej pokryta ściekającą na podłogę pianą.

— Jak to długo? Tobie się nigdy nic nie podoba. Musiałam przecież ułożyć włosy i odpowiednio się ubrać. Trzeba dbać o wizerunek — broniła się Wiola, wciśnięta w przyciasną garsonkę w kolorze ciemnoniebieskim i ozdobiona fantazyjnym kokiem na czubku głowy. — Nie zapominaj, że nie tylko jestem naocznym świadkiem morderstwa, ale również prowadzę dochodzenie, i to z bardzo dobrymi wynikami! A teraz muszę się podzielić swoją wiedzą z kolegami po fachu. Zresztą, co ty możesz wiedzieć, nie masz bladego pojęcia o naszej, detektywów, pracy.

— Pomieszało ci się, kompletnie ci się pomieszało pod kopułą...

— Przyjaciółka załamała rękę. — Chodź za mną — powiedziała zrezygnowanym głosem.

Wiolka posłusznie przemierzyła za nią labirynt korytarzy, na którego końcu znajdował się gabinet komendanta. Zuzanna zapukała do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wsadziła głowę do środka.

— Przyjechała.

— Wspaniale, wejdźcie i od razu sobie spocznijcie, szkoda nóg na stanie.

Panie wypełniły polecenie. Usiadły ramię w ramię na dwóch drewnianych, niewygodnych krzesłach naprzeciwko szczupłego mężczyzny w średnim wieku z wielką brodą i wąsami.

— Zuzanko kochana, jak wakacje? W tym całym zamieszaniu z morderstwem nawet nie było okazji zapytać.

— Dobrze, tylko za krótko. Ledwie dojechałam nad morze, a zaraz trzeba było pakować walizki i wracać.

— Wakacje mają to do siebie, że mijają za szybko. Coś o tym wiem. U mnie ta sama bolączka. Przez miesiąc szykuję wędki, przynęty, haczyki, całą zimę robię muszki, a potem zanim dobrze się rozłożę i poznam łowisko, okazuje się, że urlop skończony — powiedział ze smutkiem w głosie. — Ale gdzie moje maniery? Domyślam się, że to ty jesteś tą sławetną koleżanką naszej Zuzanki. Miło cię poznać. Komendant Kaliflafer. — Wyciągnął do Wioli silną dłoń na przywitanie.

— Wioletta Koperek. Mnie również jest bardzo miło — odpowiedziała uprzejmie.

— Dziewczyny, dzień taki piękny, szkoda go tracić na morderstwo. Im szybciej się uwiniemy, tym szybciej będziemy mieli to z głowy. Wioletko, Zuzanka zaprowadzi cię do sierżanta Ogińskiego, który zada kilka pytań, i będziesz wolna. Dobrego dnia — skończył mówić i wrócił do przeglądania zawartości pękatej teczki.

— Panu również dobrego — powiedziała Zużka, wstając.

Koperek poszła w jej ślady.

— Tylko nie zrób z siebie skończonej idiotki — wyszczała Wiołce do ucha przyjaciółka, kiedy wchodziły do kolejnego

pokoju. Cześć, Jasper — przywitała się z kolegą w mundurze.

— Cześć, Zużka! Wreszcie wróciłaś z tych swoich wczasów — ucieszył się Ogiński na widok współpracownicy. — Gdzie się tym razem włóczyłaś?

— Wypoczywałam nad morzem.

— O, taka to pożyje! — skwitował młody mężczyzna o bujnej rudej czuprynie. — Czyżby to był nasz naoczny świadek morderstwa Dębskiej? — zapytał na widok urodziwej panny, ściśniętej niebieskim materiałem niczym baleron sznurkiem.

— We własnej osobie — potwierdziła Zuzanka.

— Zuzia, w takim razie zrób sobie kawy, odpocznij, a my tutaj z twoją koleżanką trochę sobie porozmawiamy.

— OK — zgodziła się dziewczyna, ruszając do wyjścia. Zanim opuściła pomieszczenie, groźnie popatrzyła w oczy przyjaciółce, dając jej jasno do zrozumienia, żeby się nie wygłupiła. Poręczyła za Wioletkę, ale teraz, na widok jej ekscentrycznego odzienia i uczesania, nie była taka pewna, czy postąpiła mądrze.

— Proszę siadać — zarządził sierżant.

Panna Koperek usiadła. Krzesło było tak samo niewygodne, jak to w gabinecie u komendanta. Chwilę się pokręciła, usiłując znaleźć możliwie najmniej niekomfortową pozycję. Wygibasy nie pomagały, pośladki, rozpieszczone miękkimi materiałami, nie pasowały do tego narzędzia tortur.

— Nazwisko? — zapytał policjant, nie siląc się na zbędny wstęp, jednak nie doczekał się odpowiedzi.

Obywatelka była zbyt zaaferowana, żeby usłyszeć Ogińskiego. To była jej pierwsza wizyta na komisariacie, dlatego z ciekawością przyglądała się wystrojowi wnętrza, który utrzymano w tym samym stylu co biuro Kaliflałera.

— Widzę, że nasze luksusy odebrały pani mowę — zażartował mężczyzna.

— Słucham? — zapytała wyrwana z obserwacji dziewczyna. — Luksusy? Jakie luksusy? — zdziwiła się.

— Jak to jakie? Wspaniałe, okazałe, wszystko urządzone z takim rozmachem! Bogactwo i przepych jak okiem sięgnąć. — Na dowód sierżant zatoczył ręką koło, wskazując na otaczające go

rzeczy. Wśród nich można było ujrzeć: odrapane biurko z metalowymi nogami, dwie szafy z paździerza z wypaczonymi drzwiami, monitor, klawiaturę i myszkę poźółkłe od starości i mnóstwa wypalonych w ich towarzystwie papierosów, trzy drewniane krzesła rodem ze śmietniska oraz lampkę z abażurem przypalonym od żarówki o zbyt dużej mocy. — Moje biuro to nie byle co, fiu, fiu, nie każdy może się takim pochwalić. Widzę, że dzieło najwyższej klasy projektanta wewnątrz tak bardzo przypadło pani do gustu, że aż odebrało mowę — podśmiewał się. — Pytałem o nazwisko.

— Koperek — odpowiedziała odruchowo.

— Imię?

— Wioletta.

— Drugie imię?

— Hiacynta.

— Imię matki?

— Maria.

— Miejsce urodzenia?

— Łódź.

— Stan cywilny?

— Panna.

— Lat?

Pytanie o wiek było kroplą, która przelała czarę. Tego było już za wiele dla dziewczyny, której nerwy w tym konkretnym momencie, jak rzadko, były napięte niczym struny stradivariusa.

— Zaraz, zaraz, a co to niby ma być? Przesłuchanie? Czy ja się pana wypytuję o stan cywilny albo wiek? Może jeszcze mam podać rozmiar buta? Jako prawa obywatelka, ba, detektyw wolontariusz, przychodzę z własnej woli pomóc służbom mundurowym w złapaniu mordercy, a pan mnie wypytuje o takie głupoty? Naprawdę uważa pan, że nie szkoda czasu, który moglibyśmy z powodzeniem poświęcić na złapanie mordercy biednej Mai? Trzydzieści dwa, jeśli już koniecznie musi pan wiedzieć!

Jasper podniósł wzrok znad wypełnianych dokumentów i z irytacją popatrzył na przesłuchiwaną. Przez tę krótką sekundę

Wioletka dostrzegła jego piękne niebieskie oczy i piegi, którymi obficie okraszone były policzki oraz nos. W jej mniemaniu policjant nie należał do szczególnie przystojnych, ale miał w sobie coś, co przyciągało uwagę. Wioletka lubiła mężczyzn o niestandardowej urodzie, a jeśli do tego mieli kocie hipnotyzujące oczy, to była kupiona.

— Chyba musimy sobie coś wyjaśnić — powiedział spokojnie, odkładając na bok długopis. — Była pani świadkiem popełnianego przestępstwa i nie raczyła nawet podnieść słuchawki, żeby to zgłosić. Jak piesek nasrał na chodnik, wtedy jakoś potrafiła pani wykręcić numer na policję — przypuścił atak.

— Raz jeden zadzwoniłam pod sto dwanaście, przysięgam! — zaczęła się bronić, dociskając dłoń do piersi. — Nie należę do osób, które z byle głupotą dzwonią na policję, ale w tamtej sytuacji naprawdę nie dało się inaczej. Paniusia wyprowadziła na spacer pieseczka wielkości królika, a tu nagle jak ten nie narobi na chodnik! Mówię jej, żeby sprzątnęła po przyjacielu, na co ona opryskliwie, że ani jej się śni. Komu niby miałyby przeszkadzać taka kupeczka? Próbowала mi wciskać, że to jest nawóz. Ciekawe, co ona chciała nawozić na płycie chodnikowej, niewidzialne roślinki? Nijak nie dało się z nią dogadać, więc co miałam zrobić? Bić się? Zresztą chyba jesteście po to, żeby przywracać porządek. Jak gów..., znaczy się chciałam powiedzieć kupa, leży na ścieżce od autobusu do domu, to chyba nie jest porządek? Mylę się? — zapytała wzburzona. — Ale skąd pan o tym...? Zaraz... pan sprawdzał moje akta? Może jeszcze jestem podejrzana o zabicie Dębskiej?!

— Może i jest pani podejrzana, ale to się wyjaśni w toku prowadzonego śledztwa. Odpowiadając na pierwsze pani pytanie: tak, sprawdzałem pani kartotekę. Między innymi na tym polega moja praca. Proszę się dobrze zastanowić! Niewinna dziewczyna dostała śmiertelny cios siekierą w czaszkę, że nawet nie wspomnę o tym, co zrobiono z jej ciałem, a pani myśli, że to są żarty?

— Ja... znaczy się... — Zbita z tropu panna Koperek nie

wiedziała, co powiedzieć.

Piegowaty rudzielec zmarszczył czoło, zamyślił się, po czym zapytał, bacznie przyglądając się nieszablonowej obywatelce:

— Co pani powiedziała o detektywie wolontariuszu?

— Właśnie — dumnie wypięła klatkę piersiową — to jest dowód, że nie marnuję czasu policji, a co za tym idzie: i podatników, tylko biorę sprawy w swoje ręce. Nikt mnie nie musiał prosić, za nic mi płacić. Sama przyjąłam na siebie brzemię prowadzenia dochodzenia, a trzeba przyznać, że to nie jest kaszka z mlekiem. Nieprzespane noce podczas śledzenia potencjalnego porywacza, kamuflaż, przeszukanie mieszkania... a to zaledwie początek góry lodowej! Zaraz wszystko panu wyłożę, mam ze sobą listę podejrzanych, najważniejsze spostrzeżenia z rozmów przeprowadzonych z przyjaciółką i rodziną denatki. Poza chłopakiem Dębskiej również jej brat i ojciec wydają mi się kandydatami na przestępców. No i ta siekiera! Panowie Czaplińscy i Orzechowski są w top three na mojej liście podejrzanych. Obecnie jestem w trakcie wywiadu środowiskowego, zostali mi tylko Ząbkowscy. Zresztą opowiem po kolei. Proszę przygotować sobie notes i długopis, bo nieskromnie muszę powiedzieć, że jest co zapisywać. — Dumna i zadowolona z siebie dziewczyna wyjęła z torebki grubą kopertę i wysypała jej zawartość na biurko sierżanta.

Ogiński zrobił się czerwony na twarzy. Z wyrazem obłędu w niebieskich oczach popatrzył na bezład zdjęć, odręcznych notatek pozakreślanych mazakami oraz pocztówki. Dał sobie chwilę na opanowanie emocji, po czym powiedział przez zaciśnięte zęby:

— Pani chyba postradała zmysły. To już druga w tym tygodniu, zaraz i ja stracę rozum.

Na te słowa Wioletka zastygła z dwiema różowymi karteczkami w dłoniach.

— Prowadzi pani dochodzenie? Detektyw wolontariusz? Śledziła pani podejrzanego? Przepytuje ludzi? Brakuje, żeby pani wywiesiła na słupie ogłoszenie, że widziała przebieg morderstwa. I oczywiście proszę nie zapomnieć o podaniu

swojego adresu oraz numeru telefonu — wylewał z siebie morze sarkazmu.

— Nie bardzo rozumiem... — Koperek miała poczucie, swoją drogą trafne, że nie nadąża za tokiem myślenia siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny.

— Że pani nie bardzo rozumie, to ja akurat widzę i słyszę. Gdyby pani rozumiała, wtedy może by nie robiła takich głupot. Czy ja mam za mało pracy, żeby się na dokładkę zajmować poszukiwaniem pani mordercy?

— Ale przecież ja żyję i mam się świetnie!

— Na razie tak. Ale proszę tak dalej sobie poczynać, a nim się obejrzymy, będziemy mieli nie jednego, ale dwa trupy. Od razu dodam, tak na wszelki wypadek, gdyby ZNOWU miała pani trudności ze zrozumieniem, że ten pierwszy trup jest Mai Dębskiej, a drugi będzie pani. Ktoś, kto pozbył się jednej osoby, będzie miał żywy interes w pozbyciu się naocznego świadka swojego czynu, zaręczam pani. Jak mniemam, nie przyszło to do głowy detektywowi wolontariuszowi. Jeden z drugim naogląda się filmów, przeczyta kilka kryminałów i zaraz czuje się Sherlockiem Holmesem. Amatorzy, którzy szukają taniej sensacji i czegoś, co dostarczy im choć trochę adrenaliny. To powinno być karalne! Nikt nie pomyśli, że potem ten bałagan my musimy sprzątać. Pewnie według pani w policji pracują same niedouczone obiboki. Siedzą, jedzą pączki i żłopią kawę. Nieprawdaż? A zatem proszę się przygotować na rozczarowanie: tak nie jest. Proszę natychmiast zabrać te śmieci z mojego biurka i opowiedzieć dokładnie, co pani widziała i co wie, a ja się w tym czasie zastanowię, czy oskarżyć panią o utrudnianie śledztwa.

Koperek właśnie otwierała usta, ale zirytowany Ogiński uniósł palec do góry, powstrzymując ją od mówienia.

— Tylko tym razem proszę mówić z sensem. Minuta po minucie, rozmowa po rozmowie. Nie chcę takiego bełkotu jak przed chwilą. A jeśli się pani nie zastosuje do ustalonej przeze mnie zasady, wtedy na czterdzieści osiem godzin wsadzę do aresztu. Będzie pani miała dużo czasu na przemyślenie, w jaki sposób przekaże wiedzę, którą posiada. Zrozumiano?

— Zrozumiano — odpowiedziała urażona.

Sprowadzona do parteru Wioletka grzecznie zgarnęła swoje notatki, fotografie i zdobyte dowody do torebki, po czym krok po kroku opowiedziała o wszystkim jak na spowiedzi. Ominęła jedynie kwestię włamania do garażu Orzechowskiego, ale nie wydawało jej się to ważne, by dodatkowo zajmować czas zapracowanego urzędnika państwowego.

Pomimo zawstydzenia przyznała, że dokonała obserwacji krwawej sceny pod wpływem napojów wysokokowych, co sprawiło, że nie bardzo miała ochotę i odwagę zwracać głowę policji. Nieźle rozgadała się na temat Orzechowskiego. Opowiedziała o przebiegu dzisiejszego najścia we własnym domu z nim w roli nachodzącego. Jeśli nie przybył w celu uciszenia niewygodnego świadka, to po co?

Opowiedziała o Pauli, o tym, jak weszły do mieszkania Mai, oraz o fałszywej pocztówce.

Jasper na wieść o widokówce wpadł w szał. Straszyl, że za zatajanie dowodów grozi kara, wymachiwał z przejęciem rękoma, a na koniec odebrał przedmiot swojego nieoczekiwanego wzburzenia.

Dziewczyna, przywołana do porządku po raz drugi podczas tej wizyty, kontynuowała zeznania, ze szczegółami streszczając rozmowę z matką Dębskiej oraz wynik rozmów z sąsiadami. Na koniec obsmarowała Czaplńskich (ojca i syna). Nie omieszkała również nadmienić o swoich domysłach na temat włamania, czego ślady można obejrzeć na drzwiach u Majki, oraz o jednym z podejrzewanych przez nią sprawców, czyli Szymku, który spadł na nią ze szczytu schodów niczym grom z jasnego nieba.

Policjant wysłuchał Wioletty, precyzyjnie spisując zeznania.

— Tyle — stwierdziła po dwóch godzinach nieustannego mówienia.

— Na pewno? — zapytał, unosząc do góry brew.

— Na pewno. Według mnie winni są brat z ojcem albo Orzechowski, teraz tylko trzeba...

Ogiński jej przerwał:

— Tym, co teraz trzeba zrobić, zajmiemy się my. Przypominam

o karze, jaka grozi za utrudnianie śledztwa, a pani amatorskie dochodzenie z całą pewnością można pod to podciągnąć. Że nawet nie wspomnę o niebezpieczeństwie, na jakie się pani naraża. Proszę mi tu i teraz uroczyście przysiąc, że koniec z pani, pożał się Boże, śledztwem.

— Ale ja... — Wiola próbowała się sprzeciwić nakazowi.

— Żadnego ale. Proszę mi natychmiast obiecać!

— Dobrze, przysięgam — niechętnie się zgodziła.

— Teraz niech pani idzie do domu i lepiej, żebym o pani nigdy więcej nie słyszał.

Do wyjścia doprowadził Wioletkę młodszy aspirant, wezwany przez Ogińskiego. Zuzia spojrzała na nią pytająco z drugiego końca korytarza, gdzie od dobrych trzydziestu minut obrywała z suchych liści trzy paprotki. W odpowiedzi przemaglowana przez mundurowego przyjaciółka przewróciła oczami i pokiwała głową z niezadowoleniem. „Zadzwonię”, powiedziała bezgłośnie Zuzanna.

Kiedy Wioletka zbliżała się do swojego samochodu, drzwi komendy trzasnęły, a na szczycie schodów stanęła zapłakana matka Mai. Dziewczyna popatrzyła na tę biedną kobietę i nie wahała się ani chwili. Pobiegła z powrotem pod wejście, gdzie bez słowa objęła Czaplińską, która przyjęła opiekuńczy gest z wdzięcznością.

— Proszę płakać, jeśli to pomaga, to proszę płakać — powiedziała Wiolka z troską w głosie.

— Moja Majeczka, moja kochana Pszczółka...! — szlochała.

— Wiem, to takie straszne...

— Co za bestia... Zabił ją, a i tak było mu mało. Jakim trzeba być potworem, żeby porąbać człowieka? Nie uszanować nawet zwłok — mówiła kobiecina, zalewając się łzami. — Intuicja podpowiadała mi, że Mai stało się coś złego! Serca matki nie oszukasz.

Niespodziewanie na parkingu rozległ się krzyk mężczyzny:

— Mama! Ile można czekać! — złościł się Szymon Czapliński, który niespiesznie zbliżał się do kobiet stojących u szczytu schodów.

— Już idę, Szymciu. — Matka ruszyła w kierunku potomka.

Wioletka podążyła za nią.

Chłopak zaczął marudzić:

— Mama, coś ty tam robiła tyle czasu? Siedzę i siedzę, a przecież mówiłem ci, że muszę jechać do roboty. Teraz na pewno się spóźnię. I co ja powiem szefowi?

— Zostaw ją w spokoju — powiedziała Wiola do tura.

— A tobie co do tego? — wysyczał.

— Wioletko, Szymek, wystarczy — powiedziała uspokajająco rodzicielka młodego Czaplińskiego.

— Do matki to się trzeba zwracać grzeczniej. Więcej szacunku. Kobieta straciła córkę! Zresztą chyba o tym wiesz, w końcu to też twoja siostra, ale jakoś nie widzę, żebyś był w żałobie.

— Umarła i nie żyje. Pewno, że szkoda, Majka była moją rodziną, ale co da, że będę teraz ryczał? Przecież nie poskłada jej to w jeden kawałek — rzucił ze złością.

— Szymek... — stęknęła Czaplińska.

— Daj spokój, mama. Oby tylko złapali tego, co jej tak zrobił. A ty po co się tu kręcisz? Twoja siostra, że taka jesteś zainteresowana? — Nagle na chwilę zamilkł, najwidoczniej coś przyszło mu do głowy, bo niespodziewanie uśmiechnął się przebiegle. — Majka zostawiła mieszkanie. Będziemy się często spotykali, sąsiadko.

— Ty świnio! — Wioletka nie wytrzymała i skoczyła do chłopaka z pięściami.

Czapliński złapał w samoobronie dziewczynę za nadgarstki. Spróbowała się wyrwać, ale wydawało się, przynajmniej przez krótką chwilę, że jest bez szans.

— Hej, puść ją! — Zebrani usłyszeli głos mężczyzny dobiegający od strony komisariatu.

Rozproszony tur stracił czujność, co Koperek wykorzystała, wymierzając mu silnego kopniaka między nogi. Szymek skulił się i złapał za przyrodzenie.

— Ty głupia...! — wyjęczał.

— Masz za swoje! — odpowiedziała z satysfakcją.

Pani Czaplińska obserwowała bijatykę, cicho pochlipując.

— Co tu się dzieje? — zapytał rudy policjant, który właśnie zdążył podejść do miejsca zdarzenia.

— Zupełnie nic. Ot, takie tam przyjacielskie przepychanki, sierżancie — powiedziała dziewczyna, kładąc silny nacisk na słowo „sierżancie”.

— Pan też tak sądzi? — Ogiński skierował pytanie do wijącego się Szymona.

— Tak, panie władzo. Zwykła kłótnia dobrych sąsiadów — wystękał, patrząc Wioletce głęboko w oczy.

Jasper nie zamierzał tak łatwo odpuścić, spojrzął na płaczącą Czaplińską i zapytał:

— A pani? Co pani ma do powiedzenia? Ktoś panią niepokoi?

— Ja... Ja... — kobieta przenosiła wzrok z Koperek na syna — ja nie mam nic do dodania.

— Niech wam będzie — westchnął policjant i zakładając rękę na rękę, zarządził: — W takim razie proszę się rozejść.

Prawi obywatele posłusznie oddalili się do swoich samochodów.

W drodze do domu Wiolka rozmyślała o przebiegu wizyty na komisariacie. Powoli zaczynała odzyskiwać jasność myślenia, zaburzoną przez zupełnie niespodziewaną reprimendę ze strony Ogińskiego. Słowo po słowie odtworzyła jego wypowiedzi. Że niby ja nie potrafię prowadzić dochodzenia? Pożał się Boże śledztwo? Szukam taniej sensacji? Dokładam pracy mundurowym? O nie, jak on śmiał mi tak powiedzieć! — wściekała się, odruchowo coraz mocniej dociskając pedał gazu. Szczęśliwie dla innych uczestników ruchu drogowego prowadziła fiata 126p, więc nie była w stanie przekroczyć zawrotnej prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a i dystans, który miała do przemierzenia, był śmiesznie mały.

Kiedy zaparkowała pod domem, zadzwonił telefon. Przerwała dywagacje i odebrała go.

— Wiolka, i jak? Co się tam działo? Mów, bo umieram z ciekawości — wyszeptała do słuchawki Zużka.

— Zaraz, najpierw ty mi coś powiedz. Kim jest ten bezczelny buc?

— Jaki znowu buc?

— Ten, który mnie przepytywał!

— Jasper?

— Cham i burak!

— Na pewno myślimy o tej samej osobie? Pytasz o Jaspera Ogińskiego?

— Tak, o niego. Bufon! Żebyś ty słyszała, jaki on był opryskliwy! Złośliwy bubek z przerostem ego, który na dokładkę nie lubi kobiet. Chyba w życiu nikt mnie tak źle nie potraktował!

— Wiolka, on jest dżentelmenem w każdym calu. Sympatyczny, pomocny. Nie zauważyłam, żeby źle odnosił się do płci pięknej, sama jestem kobietą, a zawsze był wobec mnie w porządku. Chyba coś ci się przesłyszało. Jego matka pochodzi z Bawarii, ojciec jest Polakiem. Kiedyś opowiadał mi o tym, jak poznali się jego rodzice, bardzo romantyczna historia. To było w latach siedemdziesiątych, kiedy pan Ogiński był na placówce dyplomatycznej. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wyobraź sobie, że ona porzuciła kraj mlekiem i miodem płynący i w pogoni za miłością swojego życia przyjechała tutaj. Bardzo piękna kobieta, widziałam zdjęcia.

— Ale synek chyba nie jest już taki idealny — prychnęła. — Wilk w owczej skórze. Najwidoczniej prawdziwe oblicze niebieskooki Ogiński pokazuje dopiero, kiedy współpracownicy znikają z pola widzenia.

— Dobra, nie będziemy się teraz kłócić o niego. Mów, jak było.

— A jak miało być? Ten twój cały Jasper przemaglował mnie od prawej do lewej i z powrotem. Groził, że jeśli nadal będę się wtrącać do sprawy, to mnie oskarży o utrudnianie śledztwa. Podobno narażam się na atak mordercy, który na pewno będzie chciał uciszyć naocznego świadka. Wyobrażasz to sobie?! Patrz, jaki złośliwy! Wymusił na mnie obietnicę, że skończę z prywatnym dochodzeniem.

— I chwala mu za to! — Przyjaciółka odetchnęła z ulgą.

— A ty co? Stoisz po jego stronie?

— Nie po jego, tylko po twojej! No chyba że chcesz, żeby i ciebie pocięli na kawałeczki? Mądrze ci powiedział. Skoro sama nie

potrafisz tego dostrzec, ktoś musiał to zrobić za ciebie.

— Jaka ty jesteś naiwna! Przecież Ogiński wcale się o mnie nie martwi. Jemu zapewne chodzi o siebie. Tylko pomyśl, jak by to wyglądało, gdyby obywatele odwalali robotę za policjantów. Skończyłyby się ciepłe posadki. — We wzburzeniu umknęło jej, z jak wielkim trudem wiązało się śledzenie Darka, dalekie od miana ciepłej posadki. — On się boi, że zostanie bezrobotny. Zazdrość, Zużka, to jest zazdrość. Pewnie marzą mu się zasługi, order, gratulacje. A tu przyszła znikąd taka niepozorna dziewczyna i mu zagraża. Chce mnie odsunąć od sprawy. Myśli, że jeśli powie, że ze mnie żaden detektyw, wtedy podkule pod siebie ogon i ucieknie, ale nic z tego.

— Litości, tylko nie mów, że nadal będziesz prowadziła swoje śledztwo... Przecież złożyłaś obietnicę.

— Pewnie, że będę! Co więcej, znajdę mordercę i osobiście przyprowadzę go do Ogińskiego. Wtedy dopiero mina mu zrzednie, oj, zrzednie. Zresztą obietnica wymuszona pod presją się nie liczy.

— Nie mam do ciebie siły. To się źle skończy, zobaczysz.

— Nie fatalizuj.

— Popamiętasz moje słowa, ale wtedy będzie za późno. Jakie kwiaty życzysz sobie na grobie?

— Przestań dramatyzować. Lepiej powiedz, co wiesz o zabójstwie Dębskiej. Na pewno coś podsłuchiłaś albo ktoś ci coś zdradził.

— O nie, nie przyłożę ręki do zamordowania ciebie, a do tego wszystko zmierza.

— Zużka, nie bądź niemądra. Mów, bo inaczej skreślam cię z listy przyjaciół i kasuję numer telefonu. — Mimo wszystko Wiola nie traciła poczucia humoru.

— Nie żebyś była dziecinna — powiedziała z ironią. — Dobra, jak chcesz, w końcu jesteś dorosła. Tylko kiedy będziesz płakała, nie mów mi, że cię nie ostrzegałam.

— Do rzeczy!

— Dobrze, już dobrze... Nie jest tajemnicą, że Dębska umarła od uderzenia siekierą w głowę. Sytuacja miała miejsce tej nocy,

kiedy patrzyłaś przez okno. Szczęśliwie dla niej nie cierpiała. Jeden cios i po sprawie. Trup został porąbany, a poszczególne części w czarnych plastikowych worach ktoś podrzucił do różnych śmietników. Obszar zrzutu niewygodnych dowodów w postaci szczątków to orientacyjnie półtora kilometra w różnych kierunkach od ryneczku koło naszych bloków.

— A morderca wyrzucał elementy jednego dnia czy przez kilka?

— Jednego. Prowadzący śledztwo ustalili, że działał nad ranem, zanim zrobiło się jasno. Ten, kto zabił, kimkolwiek jest, wrzucił worki do samochodu, a potem objechał osiedle i się ich sukcesywnie pozbywał.

— A wiedzą, gdzie rozprawił się z ciałem?

— Z pewnością nie w mieszkaniu, nie było śladów krwi. Musiał niepostrzeżenie wynieść trupa w jednym kawałku, a dopiero później gdzieś go rozczłonkować.

— Kurczę, więc zbrodniarz musiał być silny...

— Raczej tak. Majka ważyła trochę ponad pięćdziesiąt kilogramów. Chyba że wsadził ją do gigantycznego śmieciowego worka i wlekł po schodach na dół.

— Aleś wymyśliła! Przecież huk byłby taki, że wszyscy w piżamach wylecieliby na klatkę.

— Może zrzucił z okna?

— Tak, to by nie zrobiło hałasu... — odpowiedziała ironicznie Wiolka.

— Więc nie ma innego wyjścia, musiał ją nieść.

— Co jeszcze wiesz?

— Ten Orzechowski faktycznie ma żelazne alibi. Wezwali też na cito grafologa, według jego wstępnej ekspertyzy pocztówka nie była napisana przez Dębską. Tyle. Ty myślisz, że oni mi tu zdradzają tajemnice śledztwa? Wiem tylko to, co wolno im powiedzieć, tyle samo przeczytasz w gazecie.

— Dobre i to. Gdybyś czegoś jeszcze się dowiedziała, daj znać.

— A nie mogłabyś sobie odpuścić? — zapytała nieśmiało przyjaciółka.

— Nie.

— OK, to nara.

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia Wioletka w pełni zwrta i gotowa stawiała się w miejscu pracy na dziesięć minut przed wyznaczonym czasem. Drzwi prowadzące do biur wspólnoty mieszkaniowej były jednak zamknięte na cztery spusty. Nowa pracownica upewniła się w podręcznym kalendarzyku, że nie pomyliła dat, i już spokojna oparła się o poręcz w oczekiwaniu na którąś z przełożonych.

Dokładnie o siódmej pięćdziesiąt dziewięć na szczyt schodów wczłapała pomarszczona kadrowa. Koperek aż podskoczyła, uradowana jej widokiem, gdyż właśnie z tą niską, wychudzoną damą dopełniała formalności wymaganych przy zatrudnieniu. Staruszka doskonale ją pamiętała, lecz jako osoba z natury nieufna i raczej mało przyjazna po dłuższym namyśle zgodziła się wpuścić nową współpracownicę jedynie do poczekalni, o zaproszeniu jej na firmowe „salony” nie mogło być mowy.

— Zasady są po to, żeby ich przestrzegać. W szafach mamy pozamykane ważne dokumenty i byle kto nie może mieć do nich dostępu. Siadaj tutaj i nigdzie nie chodź. Będę cię miała na oku. — Po tych słowach wskazała dziewczynie samotne krzesło pod wydziałem do spraw lokali wszelakich.

Starowinka weszła do swojego gabinetu, otworzyła na całą szerokość drzwi, a następnie rozsiadła się za biurkiem, skąd podejrzliwie wpatrywała się w Koperek znad szklanki z kawą oraz kanapki wyjadanej nad papierem śniadaniowym.

O ósmej piętnaście niespiesznie zaczęli się schodzić pozostali pracownicy biura, w tym również panie Celina z Kornelią. Wiola dostrzegła je z daleka przez szybę w drzwiach wejściowych, jak szły ramię w ramię, zaśmiewając się z czegoś do rozpuku. Obydwie były w średnim wieku, raczej pulchne, w typie pań noszących się klasycznie: długie spódnice, jednobarwne żakiety, spod których wystają bluzki z kołnierzykiem, a do tego nieodłączny płaszcz za kolano i broszka. Pierwsza z pań

najwidoczniej lubiła odrobinę szaleństwa, co można było wyczytać z fryzury w stylu Rihanny z kilkoma czerwonymi pasemkami zalotnie wylaniającymi się z kruczoczarnej czupryny. Druga z przybyłych kobiet preferowała bezpieczniejsze rozwiązanie w postaci tradycyjnej trwałej ondulacji na naturalnie brązowych włosach. Jej śliczne loczki nie miały wiele wspólnego z działalnością zakładu Heleny Trzpień, której chodzącą reklamą był baran na głowie wiernej klientki — pani Stefy.

— Przecież ty dzisiaj zaczynasz pracę! — przypomniała sobie Kornelia na widok nowo zatrudnionej asystentki.

— Mnie też zupełnie to umknęło. Strasznie cię przepraszamy, Wioletko, że pierwszego dnia musiałaś na nas czekać — rzekła zawstydzona Celina.

— Nic nie szkodzi. — Wiolka uśmiechnęła się łagodnie w odpowiedzi.

— Anioł z ciebie, nie dziewczyna, prawda, Celinko?

— Prawda. I do tego taka uprzejma. Zaraz damy ci zapasowe klucze, nigdy więcej nie będziesz miała problemu z wejściem.

— Ale zaraz, Wioletko, czemu ty siedzisz na korytarzu? Nie mogłaś wejść do pokoju i się rozgościć? — zapytała Kornelia.

— Pani kadrowa zaproponowała mi to miejsce — odpowiedziała dyplomatycznie panna Koperek.

— Już ja ją znam, na pewno cię nie chciała wpuścić! Okropna służbistka — fuknęła głośno urzędniczka w klasycznej trwałej w kierunku gabinetu personalnej. — Jej się wydaje, że my tutaj trzymamy tajne dokumenty o randze państwowej.

— Pani Kornelio, przecież ja wszystko słyszę! — odkrzyknęła kadrowa.

— I bardzo dobrze, że nas pani słyszy. Może na drugi raz nie będzie się pani tak wywyższała i wpuści biedną dziewczynę. Siedziała tutaj jak jakaś sierota. Niech no by to zobaczył któryś z petentów, a z autorytetu biednej Wioli nici. — Pracownica z fryzurą na Rihannę wczuwała się w swoją rolę.

— Dyrekcja wyraźnie zakazała wpuszczać bez nadzoru obcych na teren placówki. Wydano nawet adekwatne zarządzenie —

bronila się słuźbistka.

— Jakiej placówki? Przecież to jest wspólnota mieszkaniowa, a nie Ministerstwo Obrony Narodowej. I wielka mi dyrekcja! Jeden prezes i sekretarka, która wiadomo, czym się zajmuje. — Kobieta kilka razy wymownie uniosła do góry brwi.

— Pani Kornelio! Tak nie przystoi! — oburzyła się starsza pani.

— Jak nie przystoi? Mówić prawdę? Zresztą szkoda się kłócić. Niech pani sobie raz na zawsze zapamięta, że Wioletka jest naszym człowiekiem, pełnoprawnym członkiem zespołu, i należy jej ufać. Chodźcie, kobiety, idziemy do pracy — powiedziała obrończyni, a jednocześnie niepisany przywódca wydziału do spraw lokali wszelakich.

Panie szybko wprowadziły koleżankę z działu w zasady obowiązujące w biurze wspólnoty. Zaraz z rana, tuż po przyjeździe do miejsca pracy, należało się kolektywnie pożywić, ponieważ — jak stwierdziła Celina — „bez paliwa i samochód nie pojedzie”. Świeżo zatrudniona asystentka posłusznie wypila dwie zaparzone jej w kawiarence kawy oraz zjadła przyniesiony z domu jogurt z muesli. Nie ulegało wątpliwości, że płatki były zjełczałe, a rodzynki wyschły na kamień, ale w doborowym towarzystwie wszystko smakowało zdecydowanie lepiej.

Dzień przebiegał zgodnie z planem, dlatego o dziewiątej odpowiednio posilone trzy panie zasiadły do biurek. Starsze stażem pracownice ochoczo zabrały się do klepania czegoś w komputerach, Wioletce przypadło w udziale niszczenie dokumentów. Ukryta za szafą kanciapa wyładowana aż pod sufit płóciennymi workami pełnymi papierów nie pozostawiała złudzeń, że dziewczyna dzisiaj skończy swoje dzieło. Koleżanki uśmiechały się do Wioletki serdecznie, co jakiś czas dorzucając małe co nieco do sukcesywnie zmniejszającej się sterty makulatury.

Po jedenastej w drzwiach wydziału pojawił się pierwszy petent. Zapukał nieśmiało, po czym zajrzał do środka, uchylając kapelusza.

— Dzień dobry miłym damom. O, widzę nowy nabytek. — Szpakowaty osobnik płci męskiej wskazał na asystentkę.

— Gdzie ją pan wytyka tym paluchem? — naskoczyła na niego Kornelia, która najwidoczniej była w bojowym nastroju i szukała zaczepki. — Kto to widział, żeby mężczyzna tak się odnosił do kobiety! Wioletka nie jest żadnym nabytkiem, tylko naszą koleżanką.

— Panie Alfredzie, co tym razem? — zapytała kąśliwie Rihanna. — Jeśli znowu chodzi o garaż, to przysięgam uroczyście, że własnymi rękoma pana uduszę. Z dziesięć razy odrzucałyśmy pańskie podanie o przydział, tłumaczyłyśmy, że nic wolnego nie ma, a pan jak namolna mucha ciągle przylatuje. Z pustego i Salomon nie naleje. Panie kochany, przecież my pamiętamy, że pan czeka, jak coś się zwolni, zaraz będziemy dzwonić. Proszę mi więcej nie przynosić tych pism, bo potem nie ma kto tego niszczyć. Niech pan sam zobaczy, ile biedne dziewczę ma pracy przez takich natrętów. — Wskazała na zaledwie kilka worów przyciągniętych z pomieszczenia gospodarczego.

Chłopina w wieku emerytalnym zawstydział się. Szybko ukrył w kieszeni jakiś papier i powiedział:

— Gdzieżbym śmiał dokładać pracy takim ślicznym rączkom! Mój trabancik może poczekać kolejną zimę. Jeśli od osiemdziesiątego trzeciego się nie rozpadł, to i przetrzyma ten jeden dodatkowy sezon. Ja tu dzisiaj przyszedłem ostrzec drogie panie przed szaleńcem, który grasuje na naszym osiedlu.

— O czym pan znowu mówi? — zapytała Kornelia, zamasyżując zdejmując okulary do czytania.

— Tak myślałem, panie bardzo zapracowane, więc nawet nie mają czasu zajrzeć do prasy. Majkę Dębską z bloku sto dziewięćdziesiąt osiem zamordował z zimną krwią jakiś pomyleniec, a na domiar złego pociął jej ciało na małe kawałeczki. Milicja znalazła je na śmietniku.

— Co też pan mówi? — Kornelia zmarszczyła twarz z niesmakiem. — Dopiero co jadłyśmy śniadanie, a pan opowiada nam świństwa. Fuj! Żeby tak żartować z tej miłej dziewczyny. Co wy macie do młodej Dębskiej? Proszę się wstydzić!

— Ależ droga pani, mówię samą prawdę. Wszystko jest wyłożone jak wół w dzisiejszej gazecie — zarzekał się,

wymachując szmatławcem.

— Pan pokaże. — Urzędniczka wyniosłe wyciągnęła przed siebie rękę.

Mężczyzna od razu wręczył jej ogólnopolski dziennik, otwarty na właściwej stronie. Kobieta założyła na nos okulary i zaczęła w ciszy przebiegać wzrokiem artykuł. Po chwili jednak zmieniła zdanie: głośno i wyraźnie przeczytała całość na głos. Współpracownicy oraz petent przysłuchiwali się temu z uwagą. Wioletka stwierdziła w myślach, że opis w zasadzie niewiele różnił się od tego z piątkowego wydania, które czytała.

— Panie Alfredzie, a skąd pan wie, że chodzi o Majkę? — dociekała głównodowodząca, zwracając mu gazetę.

— Pani Kornelciu kochana, przecież podali, o tu, u samej góry, że „ofiara bestialskiej zbrodni dokonanej pod osłoną nocy jest dwudziestoletnia Maja D.” — przeczytał. — A na zdjęciu podpisanym „Dom zamordowanej” na stówę mamy blok sto dziewięćdziesiąt osiem. Nie widać numeru, a fotografia taka rozmazana, ale nie może być mowy o pomyłce.

Pani Kornelcia raz jeszcze ujęła w dłonie dzisiejsze wydanie, a następnie przekazała je dalej.

— Jakby faktycznie tamten blok... a ty co myślisz, Celinko? — chciała poznać opinie koleżanki.

Zapytana na zmianę zbliżała i oddalała od twarzy wręczoną jej płachtę papieru, lecz ostatecznie poddała się, mówiąc:

— Wioletka jest z nas najmłodsza, ma najzdrowsze oczy, niech ona się wypowie.

Koperek poczuła silną presję, twarze zebranych zwróciły się w jej kierunku. Bardzo uważnie zmonitorowała podetkniętą jej pod nos gazetę, po czym orzekła:

— Mnie też się wydaje, że to musi być blok sto dziewięćdziesiąt osiem. Można odróżnić po tych gaciach wywieszonych na suszarce w oknie u Budyniów.

Ograniczyła się do ekspertyzy na zadany jej temat. Z niemałym trudem powstrzymała się, żeby nie zdradzić swojej rozległej wiedzy w kwestii śmierci dziewczyny.

— Ja nie wiem! Czy Budyniowa koniecznie musi świecić swoim

stanem posiadania na całą okolicę? To ich wieczne pranie! — wyraziła swoją opinię zde gustowana Kornelia.

— Przecież aż trzy razy mówiłyśmy jej, żeby suszyła rzeczy w łazience. Nic nie pomaga — oburzyła się Celina, nagle jednak posmutniała. — Kurczę, szkoda Dębskiej, miała swoje wady, ale to było dobre dziecko. Inna sprawa, że o ile jeszcze mogę zrozumieć morderstwo, to bezczeszczenie zwłok nie mieści się w moim światopoglądzie. Panie Alfredzie, najlepiej niech pan wraca do swoich spraw, po co nam pan przynosi takie złe wieści? Nie dość tragedii jest na świecie, żeby ich szukać u siebie w ogródku? Przez pana zupełnie straciłam apetyt na lunch, a zbliża się dwunasta.

Panu Alfredowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wziął nogi za pas, kłaniając się uniżenie.

— Anioł śmierci — burknęła za nim Kornelia. — Straszne świństwo. Taka młoda, śliczna dziewczyna.

— I zdolna. W kwietniu uszyła mi przepiękną garsonkę na chrzciny do Kamilka, a wzięła za nią grosze.

— Pamiętam, taką błękitną, i do tego bluzkę z żabotem. Wyglądałaś w niej jak milion dolarów.

— No patrz, a za dwa miesiące mam zjazd absolwentów w liceum. Myślałam, że Maja mi trochę przerobi starą princeskę...

— Jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć swoją czerwoną, w której byłam w piątek.

— Sama nie wiem, czerwony na taką okazję wydaje mi się trochę za bardzo wyzywający.

— W sumie racja.

Panie zamilkły i wróciły do swoich obowiązków. Nie trwało to jednak długo, ponieważ zaledwie po kilku minutach Celina przerwała ciszę:

— Ech, ta sprawa z młodą Dębską nie daje mi spokoju. Zupełnie straciłam zapał do pracy. Powiem wam, że jak tak dalej pójdzie, to będzie strach wyjść na ulicę. Jak żyć, jeśli nie można się czuć bezpiecznie nawet we własnym domu?

— Nie wolno tak myśleć, Celinko, bo się człowiek jeszcze doprowadzi do jakiejś choroby. Pewnie Maja nie zamknęła drzwi.

Zawsze była roztrzepana, wiecznie z głową w chmurach. Choć muszę przyznać, że po tej rewelacji i mnie wszystkiego się odechciało. Bezsensowna śmierć, coś okropnego. Lepiej o tym więcej nie mówmy. Myślę, że w zaistniałej sytuacji na skołatane nerwy i ogólną niechęć do czegokolwiek może nam pomóc jedynie filiżanka mocnej brazylijskiej arabiki — powiedziała Kornelia, wstając. — Wioleto, weź z półki za twoimi plecami teczkę opisaną „Lokal trzydzieści osiem” i dołóż do kupki do zniszczenia. W tej sytuacji nie widzę sensu rozpatrywania skarg na Dębską.

Dotychczas jedynie przysłuchująca się rozmowie Wiolka wystawiła głowę zza niszczarki niczym surykatka.

— Na Majkę składano skargi? — zapytała, ze wszystkich sił starając się nie zdradzić zbytniego zainteresowania tematem.

— I to ile! Większość mieszkańców naszego osiedla miało coś do powiedzenia w kwestii jej zachowania — odpowiedziała współpracownica.

Koperek ujęła w dłonie pękającą w szwach teczkę.

— Jak dużo tego jest! — Zaskoczyła ją objętość pakunku.

— To są tylko z ostatniego kwartału — zaśmiała się kobieta, podając koleżankom filiżanki z kawą.

— Jest ich więcej?

— Pewnie, że tak. Resztę trzymamy w archiwum. Swoją drogą, tamte też możesz zutilizować.

Dziewczyna podeszła do wskazanego miejsca skąd wyjęła wielkie, kartonowe pudło opisane „Maja Dębska — skargi rozpatrzone”. Przeniosła je do swojego biurka.

— O czym oni tak piszą? — zainteresowała się.

— A co im tylko przyjdzie do głowy. Jeśli znajdą chwilę wolnego, od razu łapią długopis, papier i „uprzejmie donoszą”. Powstały całe epopeje o tym, jak Majka dorabiała na lewo szyciem, tupała po nocach, za głośno się śmiała z przyjaciółką. Były nawet skargi zbiorowe. Prawdziwy absurd. Zresztą, jeśli cię to interesuje możesz sobie poczytać. Przy tej maszynie zejdziesz ci z tydzień albo i lepiej, przynajmniej będziesz miała jakąś rozrywkę — powiedziała pani Kornelia.

— Maja była chyba głównym obiektem zainteresowania osiedlowej gromady, ale nie myśl, że i innym się dostaje. Co ciekawe, Dębska nigdy nie zajmowała się donoszeniem. Nie wiem, dlaczego uwzięli się akurat na nią — dodała koleżanka po fachu.

— Czy nam się to podoba, czy nie, jesteście informowane o wszystkim. Jeszcze ktoś dobrze nie ruszy ręką, a za chwilę mamy o tym cynk. Sąsiad pisze paszkwile na sąsiada, a potem przed klatką, jakby nigdy nic, ucina sobie przyjacielską pogawędkę o tym i o owym. Jeden bardziej złośliwy od drugiego. Zresztą również o tobie mamy kilka smakowitych kąsków — zaśmiała się Kornelia.

— Akurat tego nie polecam ci czytać, raz przeczytanego nie da się już odczytać — poradziła Celina. — Pranie mózgu, mówię ci. Mieszkańcy chyba myślą, że nie mamy nic lepszego do roboty niż przeglądanie jakichś bzdur. Z każdą jedną musisz się dokładnie zapoznać, odnieść do niej, napisać uzasadnienie, dlaczego postąpisz tak, a nie inaczej. Dodatkowo uprzejmy informator co chwila dzwoni, żeby dopytać o status jego niecierpiącej zwłoki sprawy.

— Chyba Ząbkowscy są jedynymi normalnymi. Nie zawracają nam głowy, a innych zostawiają w spokoju — pochwaliła pani Kornelia. — Raz jeden singielka z parteru, nie pamiętam nazwiska, napisała, że od młodych Ząbkowskich z lokalu słychać jakieś dziwne stuki, jęki, zawodzenie.

— Nie przypominam sobie, żeby ktoś kiedyś mieszkał na dole pod Ząbkowskimi — wtrąciła po krótkim namyśle Wiola.

— Może nie zauważyłaś. Ona wynajmowała ten lokal bardzo krótko. W każdym razie wywaliła takie pismo, jakby nie wiadomo co tam robili. Poszłyśmy z Celiną na komisję. Ząbkowska potraktowała nas bardzo miło, choć co prawda przyjęła nas na klatce.

— I bez poczęstunku — wcięła się druga urzędniczka.

— Ale Celinko, bądź sprawiedliwa, że bardzo uprzejmie udzieliła wyczerpujących odpowiedzi. I była taka spokojna! Prawdziwa oaza spokoju. Ani jej nie drgnęła powieka, kiedy

dowiedziała się o powodzie naszej wizyty. Inni się odgrają, czy to nam, czy donosicielom, lamentują, trzaskają drzwiami, a ona nic, kamienna twarz.

— Prawda — przytaknęła z podziwem współpracownica.

— Wyjaśniła, że hałasy są wynikiem łobuzowania dzieciaków. Maluchy jak to maluchy, muszą się wyszaleć. Kiedyś każdy miał ogród, otworzyło się drzwi i berbecie leciały na podwórko, a teraz w tych blokach, gdzie mają się bawić? Cokolwiek nie zrobisz, ludziom nie dogodzisz, zawsze coś im przeszkadza. Na koniec młoda Ząbkowska tylko grzecznie zapytała, kto na nią złożył donos. Krótko po tym singielka się wyniosła, a oni sobie pozakładali wyciszające panele, żeby sąsiedzi przestali ich podsłuchiwać. Namiastka prywatności w tej naszej komunie — dokończyła opowieść niepisana szefowa.

— A panie powiedziałyście jej, kto był autorem skargi? — Dziewczyna wciągnęła się w historię.

— Pewnie, że tak. To nie są żadne tajne informacje. Skoro nie wstydzą się pisać do nas tych oszczerstw, niech też mają odwagę przyznać się przed obsmarowywanymi, że to ich dzieło. — Celina uśmiechnęła się przebiegle.

— A tak właściwie czym zajmują się Ząbkowscy? — zacięła się asystentka.

— A kto ich tam wie. Zresztą, co za różnica? Zawsze płacą czynsz w terminie, ludzie się na nich nie skarżą, dla nas żyć, nie umierać. Przynajmniej oni jedni nie dokładają nam pracy.

Niespodziewanie rozległ się przyjemny dla ucha trzask leśnego ptactwa.

— A to co? — zdziwiła się jedna z pań.

— Bardzo przepraszam, to moja komórka. Zapomniałam wyłączyć, ale to się już nie powtórzy, obiecuję — zarzekła się Koperek, grzebiąc w czeluściach torebki.

— A niby czemu miałybyś wyłączać telefon? — zapytała zaskoczona pracownica wspólnoty.

— Tam, gdzie poprzednio mnie zatrudnili, nie wolno było prowadzić prywatnych rozmów. Na to jest czas po godzinach albo na przerwie — powiedziała zawstydzona Wiola, której w

końcu udało się namierzyć telefon.

— Wioletko, to nie jest obóz pracy! Spokojnie sobie odbierz, a jeśli ktoś dzwoni w pilnej sprawie?

— Ale nie, nie, zresztą i tak już przestał dzwonić. — Wiolka zerknęła jednym okiem na wyświetlacz, gdzie na zielono migał napis: „Nieodebrane połączenie od Zuza”.

— Oj, Wioletko, jeszcze wiele musisz się dowiedzieć o życiu, ale nic się nie martw, my cię wszystkiego nauczymy. To, co teraz powiem, potraktuj jako pierwszą lekcję: w pracy człowiek spędza jedną trzecią swojego życia, co oznacza, że musi się w niej czuć dobrze. A żeby czuć się dobrze, trzeba mieć swobodę. Potrzebujesz skorzystać z toalety, idziesz. Jesteś głodna? Jesz. Chce ci się pić? Pijesz. Musisz załatwić drobną sprawę urzędową? Jedziesz. Dzwoni telefon? Odbierasz. Praca ma być przyjemnością, a nie udręką. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. A teraz, żeby mi udowodnić, jaką jesteś pojętną uczennicą, śmiało oddzwon. — Starsza specjalistka Celina z należytym zaangażowaniem edukowała młodszą koleżankę.

— Naprawdę, nie ma takiej potrzeby... — Uczennica nie miała odwagi ulec kusicielce.

— To jest polecenie służbowe — włączyła się do rozmowy Kornelia.

— Tyle że ja... ja... — dukąła Wiola.

— Co się dzieje, Wioletko? Nie wstydz się, kochanie, nam możesz wszystko powiedzieć — zachęcała kobieta, nachylając się w stronę niedoświadczonej asystentki.

— Ja nie mam pieniędzy na karcie... — Koperek poczuła, że spiekła raka.

— A jaki to kłopot? — zdziwiła się Celina. — Skorzystaj z telefonu służbowego, przecież właśnie w tym celu ktoś postawił aparat na każdym biurku.

— Nie, wolę nie, bo skąd będę wiedziała, ile i komu mam oddać pieniędzy za połączenie?

— Słyszałaś ja, Kornelciu? Ile będzie miała oddać pieniędzy, dobre! — Dobroduszna Celina z poczciwą Kornelią zaśmiewały się do łez. — Nie zaprzataj sobie tym głowy, Wioletko. Bierzemy

to na siebie. A teraz dzwoń.

Wiolka ujęła w dłoń słuchawkę i z ociąganiem wykręciła numer do Zuzi.

— Cześć, Zuza, tu Wiola. Dzwoniłaś — wyszeptła.

— Jesteś w pracy? Pewnie dzwoniisz ze służbowego i nie bardzo możesz rozmawiać — domyśliła się przyjaciółka. — Więc ja tak szybciotko.

— Co tam?

— Dzwonię w interesującej cię sprawie.

— No?

— Chyba, że nie jesteś zainteresowana — przekomarzała się Zuzanna.

— Nie mam czasu na głupoty, pracuję — warknęła Koperek, sprawdzając dyskretnie, czy współpracownicy nie podsłuchują, ale wydawało się, że prywatna rozmowa asystentki zajmuje jej równie mocno co zeszłoroczny śnieg, gdyż rozprawiły z przejęciem o sposobach marynowania śledzi.

— A ja niby jestem na wakacjach?

— Do rzeczy! — wykrzyczała szeptem Wiola, nieoswojona z prowadzeniem prywatnych pogaduszek na koszt pracodawcy. Wiedziała też, że musi uważać, co mówi. Nie chciała, żeby koleżanki dowiedziały się o jej zaangażowaniu w śledztwo dotyczące morderstwa Majki.

— Są ustalenia w sprawie alibi syna i ojca Czaplińskich.

— Cudownie, czy w takim razie raczysz mi je zdradzić?

— Boże, jaka ty jesteś dzisiaj zgryźliwa. Nie pasuje to do ciebie.

— Zużka...!

— No już dobrze. Ani stary, ani Szymek nie mają żadnego alibi. Podobno byli w domu, ale nikt poza nimi samymi i Czaplińską nie jest w stanie tego potwierdzić. Tyle.

— Nie mogłaś mi tego napisać w SMS-ie?

— Na drugi raz nie zadzwonię do ciebie. Moja cierpliwość się skończyła. Człowiek chce dobrze, ale ty dzisiaj jakoś nie potrafisz tego docenić.

— Sorry. Wielkie dzięki, Zuza, masz u mnie kawę z pełnotłustym mlekiem. Specjalnie dla ciebie kupię cały karton. A

teraz muszę kończyć.

— OK, narka.

Wioletka sumiennie wypełniała zleconą jej pracę: prawą ręką wpychała niepotrzebną makulaturę do niszcarki, a lewą odwracała kartki z donosami na Majkę. Dzięki temu do końca tygodnia udało jej się zapoznać z zawartością pudełka oraz teczki poświęconej młodej Dębskiej. Co ważniejsze informacje dotyczące cech, funkcjonowania oraz wrogów denatki wypisywała w podręcznym notesie. Niestety po tej lekturze nie tylko nie miała odwagi zmierzyć się z pismami na siebie samą, ale co gorsza nie potrafiła tak jak kiedyś z życzliwością patrzeć na każdego z sąsiadów. Autorzy owych pism wydawali jej się podstępni i dwulicowi.

Pan Grześ z ostatniej klatki, który zaledwie tydzień temu zdawał się może trochę rubasznym, ale z całą pewnością serdecznym przedsiębiorcą w dojrzałym wieku, teraz w oczach Wioletki jawił się jako okropny. Szczerze pożałowała mandarynek, którymi dała mu się poczęstować u podnóża schodów. Nowa pracownica wspólnoty poznała prawdę o mężczyzny napisała do Kornelii i Celiny:

Skarga

Mieszkanka bloku położonego naprzeciwko naszego, wszystkim doskonale znana niejaka Majka Dębska, postępuje ze wszech miar nieobyczajnie i demoralizująco. Wspomniana pannica kusi niewinnych mężczyzn, SPECJALNIE i z PREMEDITACJĄ paradując w negliżu w odsłoniętym oknie. Mój mąż już po raz kolejny był w dniu wczorajszym narażony na gorszący widok. Miała ona czelność pokazywać się w rozświetlonym mieszkaniu w samym staniku i majtkach!!! Dotychczas siedziałam cicho, w końcu jak to mówią: „wolność, Tomku, w swoim domku”, ale teraz przesadziła. Kiedy wczoraj wieczorem weszłam do kuchni i zaświeciłam żarówkę, zapytałam mojego biednego małżonka, cytując: „Na co

tak patrzysz po ćmoku?”. Nie mógł mi odpowiedzieć od razu, ponieważ — jak wytłumaczył — chwilę wcześniej gulnął słuszny łyk zdrowotnej nalewki z pigwowca. Kiedy tylko przełknął lekarstwo, odpowiedział mi z niesmakiem, że — ponownie cytuję — „znowu Dębska łązi półgoła po chałupie”. Początkowo chciałam do niej pójść i osobiście się rozprawić, ale małżonek mnie przekonał, żebym odpuściła. Najpierw dałam mu się udobruchać. Jednak po głębszym zastanowieniu, jako prawa mieszkanka wspólnoty mieszkaniowej, postanowiłam, że nie mogę udawać, że nic się nie dzieje. Jeśli każdy będzie przymykał oko na ten amatorski striptiz, to nic w tym kraju się nie zmieni. Mówię dość i zgłaszam zażalenie. Ja nie proszę, ja ŻĄDAM, żebyście coś z nią zrobili! Jeśli wy nie macie na tyle przyzwoitości, żeby zakończyć demoralizację osiedla, wtedy pójdę z tym gdzieś wyżej, choćby i do samego prezydenta miasta czy do kurii. Przecież przez okno może wyglądać młodzież!!!

Bernadetta

Skarga pochodziła z końca ubiegłego roku i była już rozpatrzona. Na dole kartki widniała odręczna adnotacja wraz z urzędowym stemplem:

Decyzja nr 345 w sprawie skargi

Szanowna Pani,

dokładnie i z należytą uwagą zapoznaliśmy się ze zgłoszoną przez Panią sprawą. Udało nam się wypracować rozwiązanie kłopotu, które może wydawać się dość banalne, ale z całą pewnością będzie skuteczne: proszę zasłaniać okno, wtedy mąż nie będzie narażony na, jak pani napisała, „gorszący widok”. O młodzież proszę się nie martwić, jakoś sobie poradzą te biedne niewiniątka. Jeśli uważa Pani, że kuria i prezydent nie mają ważniejszych spraw niż zajmowanie się kwestią ubioru Mai Dębskiej, to proszę do nich śmiało napisać.

Korzystając z okazji, chciałam poinformować, że w ostatnim

czasie wpłynęło do nas zgłoszenie dotyczące zbulwersowania nadmiernym spożyciem przez Pani małżonka lekarstwa z pigwowca. Poinformowano nas, że po wspomnianym wysokoprocentowym medykamencie pan Grzegorz głośno i po godzinie dwudziestej raczy pozostałych mieszkańców patriotycznymi przyśpiewkami, wśród których królują „Rota”, „Mazurek Dąbrowskiego” oraz „Przybyli ułani pod okienko”. Proszę o zaprzestanie tych praktyk.

Decyzję w imieniu WM wydała st. spec. wydziału do spraw lokali wszelakich

Również pozostałe opinie wydawane przez starsze specjalistki Kornelię i Celinę były utrzymane w tym samym duchu. Koperek pocieszyło, że w obliczu upadku obyczajów, jakim było dla niej oczernianie sąsiadów, przynajmniej współpracownicy potrafiły zachować zdrowy rozsądek i odpowiednią dawkę humoru.

Następne w kolejności podanie sprawiło, że w oczach Wiolki dużo straciła pani Żukowska, która wespół z panią Kawą i jakąś nieznaną jej Pawlak napisała zbiorowy protest.

ZBIOROWY PROTEST

My, niżej podpisane, jako wybrane w wyniku losowania, tegoroczne przewodniczące komisji do spraw przyozdobienia bloku sto dziewięćdziesiąt osiem na konkurs „Wiosna na balkonie” protestujemy. Na początek pokrótce nakreślimy Państwu sytuację. Konkurs, do którego się zgłosiliśmy, polega na tym, że komisja wybiera spośród wszystkich bloków w dzielnicy tylko trzy z najpiękniej ukwieconymi balkonami. Niestety naszym słabym ogniwem jest Majka Dębska (lokal trzydzieści osiem). Podkreślamy, że mówimy o bardzo ważnym wydarzeniu dla nas wszystkich, w końcu chyba nie ma nic dziwnego w tym, że chcemy mieszkać w otoczeniu cieszącym oko. Niestety sąsiadka Dębska tego nie rozumie. Nie tylko nie ozdobiła swojego balkonu, ale na dokładkę trzyma na nim rupiecie, które nie mieszczą się jej w mieszkaniu. Stare biurko, wiadra po farbie i obtłuczony regał już

na pierwszy rzut oka straszą przechodnia i szpecą cały blok. My się pytamy: jakie mamy w tej sytuacji szanse na wygraną? Odpowiedź jest jedna: żadne. Same byśmy poprosiły Maję o poprawę, ale ona nas nie słucha, dlatego w desperacji zwracamy się z naszym kłopotem do zarządu wspólnoty. Uniżenie prosimy o Państwa pomoc w tej ważnej dla nas sprawie.

Żukowska, Kawa, Pawlak

Decyzja nr 720 w sprawie zbiorowego protestu

Szanowne Pani,

ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu nie przypominamy sobie, żebyście składały do wspólnoty mieszkaniowej podanie w sprawie pozwolenia na przystąpienie do konkursu „Wiosna na balkonie”. Jak same wiecie, jest to wydarzenie ważne i prestiżowe. W związku z samowolką, której dopuściliście się Państwo w kwestii zgłoszenia bloku sto dziewięćdziesiąt osiem do udziału w dzielnicowym konkursie, decydujemy, co następuje:

Ze względu na dotychczas nieposzlakowaną opinię, jaką mamy o Paniach, tym razem przymkniemy oko na postępowanie niezgodne z przepisami obowiązującymi w naszej wspólnocie mieszkaniowej. Tym niemniej do czasu wplynięcia (i pozytywnego rozpatrzenia) ww. stosownego pisma odrzucamy zbiorowy protest.

Decyzję w imieniu WM wydała st. spec. wydziału do spraw lokali wszelakich

Wioletka wolała nawet nie myśleć, jakie paszkwile pod jej adresem wysmarowała w tym roku komisja do spraw przyozdabiania balkonu z jej macierzystego bloku. Pamiętała, że pod koniec maja na dole w gablocie widziała ogłoszenie o konkursie. Wiedziona chęcią odniesienia sukcesu przez siebie oraz najbliższych sąsiadów, kupiła kilka pelargonii. Większość z nich wsadziła nawet do skrzynek, ale na tym skończył się jej zapał. W przyszłym roku się poprawię, przysięgła sobie w duchu, wracając do czytania skarg na Dębską. Łatwiej było mierzyć się z

tym, że krytykują kogoś innego niż ją samą.

Kolejne cztery pisma zdemaskowały wierutne kłamstwo Łucji Dzikowskiej, która zarzekała się, że nie ma pojęcia, kim jest Majka. Otóż miała pojęcie, co było udowodnione czarno na białym czcionką Times New Roman 12. Dlaczego nie mówiła prawdy? Z pewnością istniał jakiś powód, ale w tej chwili Wioletka nie potrafiła go odgadnąć.

Pismo z dnia 24.03.

Sąsiadka z góry, Majka Dębska, nie przestrzega ciszy nocnej i o piątej nad ranem w ostatnią niedzielę, jedyny dzień wolny prawdziwie zapracowanych ludzi, biegała po klatce schodowej w butach na szpilce. Proszę o interwencję.

Z poważaniem zbulwersowana

Łucja Dzikowska

Decyzja nr 592 w sprawie pisma z dnia 24.03.

*Szanowna Pani,
jak to mówią: „jedna jaskółka wiosny nie czyni”. Jednorazowy incydent nie daje podstaw do interwencji ze strony wspólnoty mieszkaniowej.*

Decyzję w imieniu WM wydała st. spec. wydziału do spraw lokali wszelakich

Pismo z 18.04.

W sprawie Mai Dębskiej. Może i jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale już dwie, a nawet trzy to zupełnie co innego. Nic się nie zmieniło, Dębska nadal zaczyna swoje wędrówki w niedzielne poranki od piątej rano. Proszę o pilną interwencję.

Z poważaniem, coraz bardziej zirytowana

Łucja Dzikowska

Decyzja nr 614 w sprawie pisma z dnia 18.04.

Szanowna Pani,

jako osoby zawsze pomocne i otwarte na wszelkie problemy mieszkańców naszej wspólnoty mieszkaniowej, zalecamy, celem znalezienia wyjścia z niekomfortowej sytuacji, co następuje:

proszę porozmawiać z sąsiadką Mają Dębską i przedstawić jej swój punkt widzenia. Szczera rozmowa wydaje się nam najlepszym sposobem na wypracowanie kompromisu.

Decyzję w imieniu WM wydała st. spec. wydziału do spraw lokali wszelakich

Pismo z 28.04.

Po raz ostatni zwracam się do Państwa z prośbą o interwencję w sprawie łamania zasad ciszy nocnej. Sąsiadka Majka Dębska nie zaprzestała porannych przechadzek w butach na wysokim obcasie w niedzielne poranki. Zwracałam jej osobiście uwagę, tak jak mi Państwo poradziliście, ale nie udało nam się dogadać. Dębska stwierdziła, że jeździ na drugi koniec miasta na kurs szycia dla kreatywnych i na moją prośbę nie zaprzestanie nauki. Nie zamierza również chodzić w trampkach albo w samych rajstopach, a buty zakładać dopiero na dole. Jeśli nie podejmiecie Państwo żadnych kroków (zalecam pouczenie sąsiadki albo mediacje), sprawa znajdzie swój finał w sądzie.

Z poważaniem, lecz na skraju wybuchu

Łucja Dzikowska

Decyzja nr 638 w sprawie pisma z dnia 28.04.

Szanowna Pani,

wspólnota mieszkaniowa nie jest jedyną instytucją niosącą ład i porządek w demokratycznym kraju, jakim z całą pewnością jest

Rzeczpospolita Polska. W sprawie nagminnego łamania ciszy nocnej polecamy usługi policji bądź straży miejskiej. Jeśli w naszych szeregach pojawi się kiedyś mediator, z pewnością go do Pani wyślemy.

Decyzję w imieniu WM wydała st. spec. wydziału do spraw lokali wszelakich

Pismo z 10.05.

Piszę do Państwa, żeby poprosić o przesłanie na mój adres domowy kopii pism wysłanych do Państwa w sprawie zakłócania ciszy nocnej przez Maję Dębską. W związku z brakiem chęci pomocy po Państwa stronie złożyłam przeciwko ww. sąsiadce pozew w sądzie.

*Bez poważania
Łucja Dzikowska*

Dla prostolinijnej Wioli w całym tym morzu złośliwości i ogólnej niechęci, które ukryto w pudełku oraz teczce, największym rozczarowaniem był plik pism pochodzących od Roczniowskiej, może niewielki, ale jednak istniejący. Na podstawie lektury dziewczyna pomyślała, że arystokratka jedynie udawała sympatię dla Majki. Koperek poczuła, że wcale nie zna pani Teresy, zresztą jak się okazało — podobnie rzecz miała się w odniesieniu do pozostałych sąsiadów, którzy umilali sobie czas, donosząc na Dębską.

W pamięci Wioletki najbardziej zapisała się jedna z ostatnich skarg Roczniowskiej, datowana na wrzesień bieżącego roku:

Szanowni Państwo,

ja, Teresa Roczniowska, z domu Ujazdowska, jako osoba, w której żyłach płynie błękitna krew (mój dziadziś zawsze mawiał, że po kądzieli jestem spokrewniona z „tymi” Poniatowskimi), piszę do Was w ważkiej sprawie. Od przeszło roku uskarżam się na niekomfortową sytuację, która ma miejsce w naszej oazie spokoju,

jaką dotychczas był blok numer sto dziewięćdziesiąt osiem. Z rozmysłem napisałam „dotychczas”, ponieważ ów dyskomfort nie miał miejsca za życia naszej ukochanej Felicji Dębskiej. Po śmierci Feli (świeć Panie nad jej duszą!) do mieszkania nieboszczki wprowadziła się jej wnuczka. Wtedy sytuacja miała swój początek. Najpierw dziewczę zносиło bagaże, co było nad wyraz uciążliwe dla mieszkańców. Później, kiedy walizy i paki ostatecznie zostały wniesione na górę i spodziewaliśmy się, że spokój oraz harmonia powrócą do naszych domostw, na dobre się zaczęło. Długo mogłabym pisać, ale szkoda marnować pióra (wszystko możecie Państwo prześledzić w przesłanych przeze mnie wcześniejszych opisach). W niniejszym liście pragnę zapoznać szanownych Państwa z najświeższym zachowaniem niegodnym młodej damy, jakiego dopuściła się Majka.

Zajście miało miejsce w dniu dzisiejszym niedługo po pianiu koguta. Opisywana przeze mnie persona wraz ze swoją przyjaciółką o wątej kibici (tj. Paulą) pozwoliły sobie na scysję w obecności mojej osoby. Działo się to między drugim a trzecim piętrem. Starczy powiedzieć, że dziewczęta postugiwały się językiem zupełnie nieprzystającym eleganckim kobietom. Słów tych nie ośmielę się powtórzyć nawet na piśmie (pojawiała się wśród nich obelga na pięć liter zaczynająca się literą „k”, kończąca na „a”; nie zabrakło również czteroliterowej na „c”, a zakończonej na „a” oraz nie jestem w stu procentach pewna, ale chyba wystąpiło i to dwukrotnie siedmioliterowe określenie czynności na „p”, zakończone na „l” plus zaimek zwrotny „się”). Panienki nie tylko krzyczały, ale dodatkowo szarpały się oraz popychały.

Z kontekstu wypowiedzi domyśliłam się, że musiało chodzić o jegomościa, który jednocześnie przypadł do gustu i Majce, i Pauli (ów kawaler to zapewne przystojny amant z zielonego mercedesa). Panna Paula była zazdrosna o awanse, które brunet czynił koleżance. Będąc w sidłach silnych emocji, dziewczę pozwoliło sobie na wypowiedź, która nie powinna przejść przez usta delikatnego dziewczęcia. Starczy rzec, że ja, kobieta w jesieni życia, słysząc to, spłoszowałam ze wstydu niczym róża.

Szanowni Państwo, nie godzi się, żeby takie sceny rozgrywały się

na terenie porządnego domostwa, jakim jest nasz blok. Szczęśliwie poza mną i wymienionymi panienkami na klatce schodowej nie przebywał nikt inny. Okryłabym się wielką hańbą, gdyby ktoś powiązał mnie z takim towarzystwem. Stąd też moja serdeczna prośba o zachowanie anonimowości mojego przypadkowego udziału w zdarzeniu oraz podjęcie kroków w celu przeciwdziałania tego typu sytuacjom w przyszłości.

*Z wyrazami najwyższego szacunku, oddana
Teresa Roczniwska*

Na szczęście był to ostatni list. Więcej umysł Wioletki nie byłby w stanie znieść. Coś okropnego! — pomyślała dziewczyna o ogóle przeczytanych doniesień, zamykając szczelnie pudełko w pogodne, piątkowe popołudnie. Nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby pisać na współmieszkańców, dlatego tym mocniej odczuwała smutek po utracie zaufania do części ludzkości.

Po powrocie do domu po raz pierwszy od czasu, kiedy otworzyła śledztwo w sprawie zamordowania Dębskiej, pomyślała, że może za tą zbrodnią stoi ktoś zupełnie inny niż Orzechowski albo Czaplińscy. A co, jeśli ta straszna historia jest efektem sąsiedzkiej zмовy? Wystraszyła się własnych myśli. Oczyma wyobraźni zobaczyła zgarbionych mieszkańców pobliskich bloków, którzy chyłkiem przemykają w ciemnych prochowcach do piwnicy. Niegodziwcy zapewne siadają na skrzynkach po piwie, żeby w blasku dwudziestowatowych żarówek debatować nad najskuteczniejszymi sposobami pozbycia się uciążliwej Mai. To by wyjaśniało, dlaczego żadna z przepytywanych przeze mnie osób nie słyszała niczego podejrzanego w noc zabójstwa, uznała dziewczyna.

Przyszło jej do głowy, że zgłoszona przez Roczniwską kłótnia Majki z Paulą też była podejrzana. Za pamięci od razu zanotowała na świstku papieru, że musi to wyjaśnić przy najbliższej okazji. Może przyjaciółka zaciukała ją z zazdrości? Tylko jakim cudem takie chuchro wytaszczyło z mieszkania i poćwiartowało

Dębską? Problem natury technicznej skłonił panią detektyw do myśli, że jednak bardziej prawdopodobna była wersja zbiorowego działania ludzi z osiedla.

Koperek w przebłysku świadomości stwierdziła, że pisanie nawet najbrzydliwszych donosów to jedno, a mordowanie to zupełnie coś innego, ale umysł skażony wielogodzinnym czytaniem bzdur nie pracował jasno. Poczwała, że zaczyna tracić rozum. Gorąca kąpiel przy akompaniamencie hard rocka, tego mi potrzeba, zdecydowała, wchodząc do łazienki.

ROZDZIAŁ 11

Z wanny pełnej gorącej wody pachnącej świeżością alpejskich wzgórz, jak głośiła etykieta na butli z płynem, wyrwało Wioletkę łomotanie do drzwi. Głośna muzyka zagłuszyła kilka pierwszych dzwonek, ale już natarczywe walenie w drewno się przez nią przebiło. Ze złością tryskającą z oczu dziewczyna opuściła domowe spa. Narzuciła na siebie znoszony szlafrok w kaczuszki, poprawiła poły i mocno przewiązała się paskiem. Zachodziła w głowę, kto też śmiał przerywać jej kojący dla umysłu i ciała rytuał, zwłaszcza że akurat tego dnia wypróbowała nowość: musujące kule wielkości pięści o zapachu słodkiej wanilii.

— Idę, idę! — krzyknęła niezadowolona w kierunku korytarza.

— Och, chyba przeszkodziłyśmy pani w kąpeli — powiedziała Leokadia Kawa, którą Koperek zobaczyła jako pierwszą po otwarciu drzwi.

— Panie do mnie? — zapytała ociekająca wodą Wiolka, zdumiona widokiem zwartego szeregu pań: Leokadii, Lucyny (żony pana Wiesia z mieszkania naprzeciwko), Heleny i jej wiernej klientki Stefci, która ze względu na fryzurę charakteryzującą się silnym skrętem loczków występowała w myślach Wioletty pod pseudonimem „baran”.

— My w sprawie petycji — odpowiedziała fryzjerka, starając się wsadzić głowę do przedpokoju.

Pozostałe kobiety, ośmielone zachowaniem koleżanki, bez krępacji z dużym zainteresowaniem monitorowały wnętrze lokalu.

— Tyle że ja jestem... zajęta. — Gospodyni przytknęła drzwi. — Właśnie się myłam — dokończyła, starając się zachować asertywnie w obliczu sąsiedzkiej inwazji.

— Proszę natychmiast wyłączyć te szatańskie wycia! — warknęła Helena.

Wioletka, nauczona szacunku dla starszych, z rezygnacją

opuściła ramiona.

— Zaraz wracam — powiedziała, zamykając drzwi, i wykonała polecenie. — No dobrze, słucham, o co chodzi? — zapytała po powrocie do przedpokoju.

— Nalała ci się woda do ucha czy jak? Przecież wyraźnie mówiłam, że my w sprawie petycji. — Trzpień była wściekła z bliżej nieokreślonej przyczyny, która jednak chwilę później miała się wyjaśnić.

— Helenko, spokojnie, masz skołatane nerwy po rozmowie z tym gburem z dołu. — Kawa poklepała koleżankę po ramieniu.

— Nie moja wina, że na takie chamstwo od razu się wpieniam. Żeby byle wyrostek w wieku moich wnuków wyzywał mnie od sadystek! Same powiedzcie, czy ja nie mam racji? Pewnie, jak każdy lubię zwierzęta, ale musicie przyznać, że kocie sikanie po komórkach jest lekką przesadą. — Helena coraz bardziej się oburzała.

— Masz absolutną rację. Napiżemy na niego do wspólnoty stosowne pismo, nic się nie bój — zapewniła z zaciętością w głosie Lucyna, w wyniku czego Wiolka poczuła falę gorąca mimo zimnego październikowego powietrza, które smagało jej gołe łydki.

— O jaką petycję chodzi? Proszę o konkrety, bo jestem zajęta — powiedziała ostrym tonem Koperek.

— Koleżanki, może ja wyjaśnię Wioletce. Chodzi o petycję w sprawie wprowadzenia absolutnego zakazu dokarmiania i wpuszczania do piwnicy kotów. Zbliża się zima i znowu będzie powtórka z tamtego roku. — Pani Kawowa wzięła na siebie ciężar wyłożenia sprawy.

— Smród i brud — dorzuciła trzy grosze Helena.

— W komórkach i na korytarzach leżały fekalia, roznosił się ten specyficzny zapach, sama wiesz, o czym mówię — kontynuowała Leokadia.

— Szczerze mówiąc, niczego nie zauważyłam — uprzejmie poinformowała je Wiola.

— Ale inni zauważyli! Zaśmiardł mi metr ziemniaków! — huknęła Trzpień.

— Rozumiem poniesione przez panią straty i ogólny nieład, ale same panie powiedzcie, co te biedne, bezdomne kotki mają zrobić w czasie mrozu? — Pomimo że gospodyni nie lubiła wchodzić w konflikty, empatia nie pozwalała jej na konformizm kosztem bezbronnych istotek w miłusich futerkach.

— Kolejna! Trzymajcie mnie, panie, bo nie wytrzymam! — Fryzjerka była na skraju wybuchu. — Wielcy mi przyjaciele zwierząt! Każdy teraz taki mięciutki, ciuciuruciu. Ślicznie malutkie koteczki, ojej! Jak tak kochasz zwierzątka, to sobie wszystkie przygarnij. Żeby chociaż łapały myszy, a nie tylko załatwia się toto po kątach.

— Pani Trzpień, proszę się uspokoić. — Wioletka nie dała rady dłużej milczeć. — Przykro mi, ale nie podpiszę petycji. Źle bym się z tym czuła.

— Ja ci coś powiem o złym samopoczuciu. — Helena właśnie miała zacząć Bóg jeden wie co, kiedy detektyw przebiegle zapytała:

— Panie oczywiście macie pozwolenie ze wspólnoty mieszkaniowej na zbieranie podpisów pod petycją?

— Tak jakby... Jesteśmy w trakcie... To znaczy... — dukała emerytowana nauczycielka.

— Bo bez tego chyba i tak się nie liczy. — Pracownica rzeczony instytucji doskonale wiedziała, z której strony zaatakować, i to w białych rękawiczkach.

— Dobra, nie chcesz podpisać, to nie — mruknęła Trzpień, starając się wyjść z twarzą z sytuacji, po czym sprytnie zmieniła temat: — I nie będzie sukienki na wesele. Czytałaś w gazecie, co się stało małej Dębskiej?

— Czytałam. Jedno słowo: szok. — Wiola przyjęła z ulgą taki obrót sprawy. Nie miała najmniejszej ochoty wchodzić w spór z sąsiadkami, rozmowa o śmierci Majki wydawała się zdecydowanie bezpieczniejsza niż kwestia kotów.

— Kiedy pan Alfred, wiecie, panie, ten z trabantem w kolorze kanarkowym, opowiedział o zbrodni, aż mi się zjeżył włos na głowie. — Stefania pogłaskała się dłonią po silnie skręconej czuprynie. — Taki okrutny los spotkał naszą Bogu ducha winną

Mają. Coś przerażającego! Mówię wam, dzicz i upadek obyczajów. Tyle było w niej życia, miała przed sobą wielką przyszłość.

— Święta racja, Stefciu. Po bliższym przyjrzeniu od razu było widać, że ma w sobie to coś, była łebska do biznesu jak mało kto. No i umiała się też ubrać, nie tak jak dzisiejsza młodzież. Nie nosiła żadnych tam dresów, workowatych bluz czy trampek. Podobno ona sama sobie wszystko szyła. Daleko by zaszła, mówię wam to, a znam się na rzeczy, w końcu w grudniu będzie trzydzieści pięć lat, od kiedy otworzyłam zakład. — Trzpień z pewnością siebie pokiwała głową.

Wiola nie mogła uwierzyć własnym uszom, przysłuchując się pieśniom pochwalnym pod adresem denatki. Kto by pomyślał! Nie minął nawet miesiąc od czasu rozmowy z paniami przy ławeczce, a ich opinia o Pszczole uległa zmianie o sto osiemdziesiąt stopni.

— Z Mai było kochane dziecko. Szczęście, że pani Fela tego nie dożyła, bo na wieść o takiej tragedii z całą pewnością pękłoby jej serce — dotychczas milcząca Lucyna dołączyła się do chóru.

— Kiedy tylko dowiedziałam się o śmierci Majki, płakałam przez cały dzień — dodała, siąkając nosem, Leokadia.

— A ja przez dwa dni miałam tak zapuchnięte oczy, że aż wstydziłam się pójść na rynek — licytowała się Stefa. — A ty, Helenko? Pewnie ciebie najbardziej dotknęła jej śmierć. W końcu jako starsza koleżanka po fachu byłaś jej mentorką. Jeszcze tyle mogłaś ją nauczyć o prowadzeniu firmy...

— Akurat ja nie jestem taka skora do płaczu, ale jakoś mnie tak ścisnęło w sercu! My, bizneswoman, musimy się trzymać razem — przemówiła właścicielka salonu fryzjerskiego.

— Helenko, nie bagatelizuj sygnałów, które wysyła ci organizm. Czytałam o tym w gazecie. Jedna babka z podkarpackiego czuła, że coś jej doskwiera, ale nie pofatygowała się do doktora. Tak ją właśnie pokłuwało, niby nic wielkiego, a nie minął miesiąc i się przekręciła. To twoje ściskanie w sercu, kto wie, czy nie jest poważną sprawą. A co, jeśli zwiastuje zawał? Kiedy ostatnio robiłaś sobie EKG? — zapytała żona pana Wiesia.

— Trochę już będzie. Chyba faktycznie powtórzę, ostatnio mnie

kłuje tutaj z lewej strony. — Trzpień przycisnęła dłoń do klatki piersiowej.

— A może to pogoda? Mnie gdzieś od tygodnia łupie w kościach — dorzuciła Kawowa.

— Te pogody! Wszystkiemu winien zmieniający się biorytm. Pamiętam, że jeszcze w osiemdziesiątym siódmym na Wszystkich Świętych na grobach leżał śnieg, a teraz jeśli w styczniu spadną dwa centymetry, mamy wielki sukces — wydał opinię baran.

— Drogie panie, przepraszam, ale na mnie czas. Miło było porozmawiać, do widzenia — rzuciła panna Koperek, bezlitośnie przerywając spotkanie kółka dyskusyjnego odbywające się na progu jej M3.

Na wypadek, gdyby którejś z dam przyszło do głowy podjąć próbę zatrzymania jej, szybko zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Przycisnęła oko do judasza, w którym zobaczyła plecy pań znikających we wnętrzu mieszkania pani Lucyny i jej małżonka.

Przemarznięta na kość Wiola przekłęta w duchu aktywne społecznie sąsiadki. Nie była Rockefellerem, żeby ponownie napełnić wannę gorącą wodą. Trudno, mam nadzieję, że następnym razem uda mi się zaznać chwili relaksu we własnej łazience, pomyślała z rezygnacją i wskoczyła pod kołdrę, zgarniając po drodze z umywalki talerzyk z wafelkami. Jeszcze tego brakowało, żeby się przeziębiła, i to w pierwszym miesiącu nowej pracy, kiedy trzeba się pokazać szefostwu z najlepszej strony.

Dla zabicia czasu postanowiła przekartkować kolorowe czasopismo dla pań w każdym wieku. Właśnie na takie okazje trzymała na nocnym stoliku obok łóżka „Porady nie od parady”. Otworzyła gazetę w przypadkowym miejscu i skamieniała. Dwie minuty później otrząsnęła się z szoku, gotowa podjąć wyzwanie. Okazało się bowiem, że spośród wszystkich pięćdziesięciu trzech stron równie zajmujących artykułów wszechświat wybrał dla niej tę z wielkim tytułem:

Dieta dla opornych, talia jak u osy w czternaście dni albo i krócej

Wioletka chwyciła długopis, pierwszą lepszą karteczkę (zawsze znajdowały się pod ręką na wypadek, gdyby nasza ją superważna myśl wymagająca zapisania) i wzięła się za notowanie wytycznych kluczowych dla jej przyszłej szczupłej sylwetki.

Trzy pierwsze dni diety wymagały nie lada poświęceń: do ust można było wkładać tylko jajka gotowane na twardo (w dowolnej ilości), wodę i czarną niesłodzoną (!) kawę. W razie kryzysu dietetyk łaskawie pozwalał sięgnąć po świeże maliny, truskawki albo porzeczki. Weteranka wielu diet cud spojrzała prawdzie w oczy — kryzys ją dopadnie, a nastąpi to wcześniej niż później. Numer rzeczonoego czasopisma pochodził z czerwca, kiedy stragany aż ugięły się od wymienionych owoców, ale skąd w październiku wziąć takie przysmaki? Od biedy dałoby się jeszcze kupić mrożone, ale tutaj z kolei problemem były fundusze... Wiolce jednak nie można było odmówić kreatywności. Bez najmniejszego wysiłku przeprowadziła ciąg w miarę logicznych operacji: maliny, truskawki i porzeczki są czerwone, czerwone są też pomidory, a pomidory to prawie to samo co ogórki. Akurat kwaszeniaków nie brakowało w mieszkaniu, ukochana mama dopiero co przysłała pięć skrzynek pyszniętych weków. Zatem kłopot z głowy, jajka, woda, kawa i ogórki są, trzy pierwsze dni diety miała zabezpieczone.

W dniach od czwartego do siódmego do listy akceptowalnych produktów dołączono sałatę lodową, rzodkiewki i odtłuszczony twarożek (dwieście gramów dziennie). Sałata i rzodkiewki nie były tym, co Koperek jakoś szczególnie lubiła, dlatego wyrzuciła je z rozpiski, a w zamian do wyznaczonych dwustu gramów twarożku postanowiła dołożyć dodatkowych pięćdziesiąt. Menu na kolejne dni było opracowane.

Problem zaczął się w drugim tygodniu planowanej katorgi, bo kogo z pensji asystentki we wspólnocie mieszkaniowej stać na świeże morele, jagody goi (czykolwiek są) oraz pstrąga i doradę, wpisane jako ABSOLUTNIE OBOWIĄZKOWE. Wioletka była jednak zdeterminowana, sylwester coraz bliżej, a po

luksusach ze Słodziutkiej Babeczki nie było szans na wciśnięcie się w nieziemską kreację z ubiegłego roku. Nie potrafiła sobie odmówić zrobienia furory w małej brązowej, ozdobionej sztucznymi perełkami i z głębokim dekoltem na plecach. Dam radę, postanowiła, lekko modyfikując zalecenia pana doktora i certyfikowanego dietetyka w jednej osobie z dwudziestoletnim doświadczeniem w zawodzie.

Zamiast świeżych ryb, nieosiągalnych dla jej kieszeni, wpisała głęboko mrożone paluszki rybne, dziesięć sztuk za dwa dziewięćdziesiąt dziewięć z pobliskiego marketu. To nawet lepiej, pomyślała, bo w przeciwieństwie do rybki na parze mają w składzie natkę pietruszki, cenne źródło witaminy C, do tego przepyszna panierka! Że też twórca diety nie wpadł na takie ulepszenie, pomyślała z rozbawieniem.

Kolejna pozycja — świeże morele — również znajdowały się poza możliwościami finansowymi Wioletki, ale zgodnie z zasadą, że jeśli życie daje ci cytryny, to zrób z nich lemoniadę, wymyśliła rozwiązanie. Z poprzedniej diety owocowej, którą stosowała przed wakacjami, została jej jeszcze pokaźna torebka suszonych morelek. Ów skądinąd wątpliwy przysmak różnił się od świeżego jedynie kwestią odparowanej wody. Wypije się dodatkowe pół szklanki kranówki i wyjdzie na to samo. Uśmiechnęła się zadowolona z własnej umiejętności pokonywania przeciwności losu.

O jagodach goi nigdy wcześniej nie słyszała, ale z oczywistych względów kojarzyły jej się ze zwykłymi jagodami. Tak się szczęśliwie składało, że w drzwiach lodówki stały cztery słoiczki tych cudownych darów lasu zasypanych cukrem — będą jak znalazł. Przepis na sukces gotowy, ucieszyła się, z radością odkładając długopis.

Dieta odchudzająca to poważna sprawa. Dziewczyna uważała, że tak dużego przedsięwzięcia absolutnie nie należy zaczynać w piątek, jedynym słusznym dniem dla ważnych życiowo decyzji jawił jej się poniedziałek. Zresztą zmiana zwyczajów żywieniowych wymagała odpowiedniego przygotowania, nie zapominajmy też o pozbyciu się pokus. Do końca weekendu

musiała wyjść każdy produkt, który nie mieścił się na liście tych dozwolonych, jeden zabłąkany pod fotelem drops, który ujrzałby światło dzienne w chwili słabości, mógł wszystko zaprzepaścić.

Decyzja zapadła, początek diety został zaplanowany na poniedziałek dwudziestego pierwszego października. Wiolka właśnie odkładała kartkę, która przez najbliższe dwa tygodnie miała być jej wiernym kompanem i największym wrogiem, kiedy rzuciła jej się w oczy notatka nabazgrołona po drugiej stronie papieru:

Konfrontacja z Paulą — wyjaśnić kwestię scysji z denatką z września bieżącego roku

Ambitna detektyw postanowiła od razu załatwić sprawę. Wyciągnęła rękę, najdalej jak potrafiła, po kilku próbach koniuszkami palców chwyciła komórkę, która wpadła jej wcześniej pod łóżko. Oczywiście mogła się pofatygować i wstać, dzięki czemu oszczędziłaby sobie dodatkowej gimnastyki na poziomie olimpijskim, ale tym razem lenistwo okazało się silniejsze. Teraz już nie tylko skostniała, ale dodatkowo obolała (plecy nieprzyzwyczajone do wygibasów łupały ją niemiłosiernie) wykręciła numer do przyjaciółki Majki.

— Paula, tu Wiolka Koperek. Miałaś do mnie dzwonić, a nic się nie odzywasz — mówiła szybko, świadoma, że co prawda po pracy doładowała sobie konto telefoniczne, ale długa rozmowa to drogocenne impulsy, co z kolei oznaczało kolejny koszt. Śledztwo nadszarpnęło jej domowy budżet.

— Wyleciało mi z głowy — bąknęła blondynka. — Chciałaś coś ważnego?

— Wiesz, że znaleźli ciało Mai?

— Wiem, były u mnie gliny. — W słuchawce rozległo się pociąganie nosem. — Normalnie mówię ci, megaszokers. Coś straszego. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

Wioletka na chwilę zamilkła. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Paula nie zadzwoniła do niej po rozmowie z mundurowymi, podczas gdy z pocztówką przyleciała od razu. Złośliwie

pomyślała, że może coś się jej przepaliło pod kopułą w wyniku doznanego „szokersa”. Szybko jednak na nowo odzyskała sympatię dla dziewczyny, w końcu dopiero co straciła (i to w okropny sposób) przyjaciółkę.

— Mów, o co chodzi, bo się spieszę na pekaes — ponagliła koleżanka Dębskiej.

— Doszły mnie słuchy, że we wrześniu nieźle się pokłóciłyście z Majką na klatce schodowej.

— Pewnie ci doniosła tamta baba z parteru! Wielka mi kłótnia, trochę poprztykałyśmy się, jak to przyjaciółki, i tyle. Kobita stała z rozdziawionymi ustami, kodując każde słowo, żeby później mieć o czym rozpowiadać po osiedlu. A ty co, nigdy się ze swoją psiapsiółą nie pokłóciłaś?

Koperek musiała uczciwie przyznać, że nie raz i nie dwa doprowadziła do spięcia z Zużką, potem przez tydzień miały ciche dni, ale żeby się bić? O nie.

— To chyba nie była taka niewinna wymiana zdań, jak ją przedstawiasz. Podobno wyzywałyście się i szarpałyście.

— Zaraz szarpałyście... Leciutko ją szturchnęłam, a ona mnie raz popchnęła ramieniem, ale już mi po prostu nerwy puszczały na tę jej tępotę.

— A co takiego zrobiła?

— Jak to co? Uganiała się za tym całym Darkiem. Robiła maślane oczy, opowiadała, jaki on miły, przystojny, planowała mu wybaczyć. Aż niedobrze się robiło od tej słodczy. Wtedy na klatce darła się, że źle o nim mówię z zazdrości. Nie zaprzeczę, może trochę mi się podobał ten jej brunet, ale mam swoje zasady i nigdy bym nie odbiła chłopaka swojej BFF. Wnerwiła mnie tymi oskarżeniami na maksa. Mówiłam, żeby sobie dała z nim spokój, na co ona mnie tak potraktowała. Wiolka, sama powiedz, czy głupota lasek nie doprowadza cię czasem do szału? Jasne, pewnie, rozumiem, że zawsze miło wypić razem piwko na łonie natury o zachodzie słońca, ale nie za wszelką cenę! Okręcił ją wokół palca pięknymi słówkami, pudłami czekoladek kupionymi za grosze po terminie ważności.

— Paula, dlaczego wcześniej nic mi o tym nie powiedziałaś?

— Bo... bo się wstydziłam — wyrzuciła z siebie niechętnie. — Bałam się, że też pomyślisz, że odradzałam jej go z zazdrości, a to wcale nie tak. Zresztą wielka mi sprawa, po godzinie się dzwoniłyśmy i przeprosiłyśmy, a wieczorem opędzlowałyśmy na zgodę kebab pierwsza klasa. W złości człowiek gada różne głupie rzeczy. Tyle że stare baby, co nie mają lepszego zajęcia, szukają sensacji u innych. Słuchaj, Wiolka, jak zaraz nie wyjdę z chaty, zwieje mi pekaesior. Muszę się uwijać.

— Dobra, w takim razie nie zatrzymuję cię.

— Wiolka?

— No?

— Myślisz, że znajdą tego bydlaka, który poszatkował Pszczółkę?

— Na pewno. Nic się nie martw.

— Dobra. Zadzwońisz do mnie, jeśli się czegoś dowiesz?

— Obiecuję.

— OK, no to strzałka.

— Strzałka — odpowiedziała Koperek, nie bardzo rozumiejąc, co mówi, ale wydawało jej się, że takie pożegnanie będzie na miejscu.

ROZDZIAŁ 12

Od kilku dni Wioletce nie dopisywał humor, co zupełnie nie było podobne do tej pogodnej dziewczyny. Świat i gros żyjących na nim ludzi jakoś dziwnie działały jej na nerwy. Za taki stan rzeczy obwiniła deszczową, jesienną pogodę. Nie dostrzegała zależności pomiędzy swoim nastrojem a spożywaniem przez trzy doby jedynie kwaszonych ogórków, jajek na twardo, kawy i wody. Samo wspomnienie wymienionych produktów przyprawiało ją o mdłości. Na szczęście udręka niedługo miała się skończyć (przynajmniej na kilka cudownych minut), bo w to czwartkowe pochmurne popołudnie w zgodzie z rozpiską mogła skosztować ambrozji pod postacią dwustu pięćdziesięciu gramów odtłuszczonego twarożku.

Nieoczekiwanie, kiedy była pod blokiem, rozdzwonił się jej telefon. Przystanęła i w poszukiwaniu go zaczęła grzebać w torebce. Operacja przebiegła wyjątkowo sprawnie, dzięki czemu udało jej się namierzyć komórkę, zanim umilkł dźwięk melodyjki.

— Słucham — powiedziała do słuchawki, nie tracąc czasu na sprawdzanie, kto dzwoni.

— Cześć, Wioletka, z tej strony Antek Maczkowski.

— O, hej! Kogo jak kogo, ale ciebie bym się nie spodziewała.

— Dzwoniłaś do mnie jakiś czas temu, trochę mi zeszło, ale w końcu oddzwaniałam.

— Dzwoniłam? — próbowała sobie przypomnieć. — O matko, faktycznie, ale to było wieki temu!

— Ostatnio jestem trochę zajęty — wydukał w ramach przeprosin. — Wioletko, czy chciałaś coś konkretnego? — zapytał uprzejmie.

— W zasadzie nie, po prostu niepokoiłam się o ciebie.

— O mnie?

— Tak, pani Draceńska doniosła mi, że odszedłeś ze Słodziutkiej Babeczki. Coś się stało? Wszystko OK? Złapałeś jakąś

lepszą pracę? — szybko rzucała pytanie za pytaniem.

— Coś tam mam, ale pogadamy, kiedy się zobaczymy — powiedział, tak naprawdę niczego nie zdradzając.

— Uchyliłbyś choć rąbka tajemnicy — naciskała.

— Wioletka, przy okazji. Musisz się uzbroić w cierpliwość. Lepiej mów, co ty znowu narozrabiłaś. Spotkałem wczoraj twoją koleżankę Zuzię, martwi się o ciebie, podobno jesteś zamieszana w sprawę morderstwa tej dziewczyny, o której pisali w gazetach.

— Ech, ta Zuzia, straszna z niej papla. — Koperek była niezadowolona z długiego języka przyjaciółki. — Trochę się tym interesuję i tyle.

— Podobno wcale nie takie trochę, tylko prowadzisz kolejne dochodzenie, śledzisz podejrzanych, przepytujesz ludzi. Ładne rzeczy. Jestem ciekawy, czy udało ci się dowiedzieć czegoś więcej niż policji. Wiesz już, kto jest winien? — dopytywał zaciekawiony.

— To nie jest rozmowa na telefon — ucięła.

— Wioletko, tylko proszę cię, uważaj na siebie. Najlepiej daj sobie spokój. Tym razem nie masz do czynienia z drobnym złodziejaskiem — w słuchawce słychać było zdławione parsknięcie śmiechu — tylko z prawdziwym mordercą. Szkoda by było, żeby świat stracił taką barwną panią detektyw.

— Nic mi nie będzie, nie musisz się obawiać — powiedziała tylko nieznacznie urażonym tonem. Oj, ja sobie porozmawiam z Zuźką, pomyślała. — Mów, kiedy przyjdiesz do mnie na zaległą herbatkę. Możesz zabrać rodzinę, będę miała okazję poznać twoją córkę, bo żonę i syna już znam. W kupie zawsze weselej.

— Chętnie przyjdziemy, tyle że ja nie mam córki, a dwóch synów.

— Przecież mówiłeś, że masz, widziałam jej pokój — upierała się.

— Musiało ci się coś pomylić. Wioletko, odwiedzę cię niebawem. Obiecuję — zakończył.

Wiola doskonale pamiętała moment, kiedy Antek powiedział jej, że pokój z maszyną do szycia należy do jego córki. Skoro jednak twierdzi, że nie ma córki, zatem czyj on może być i

dłaczego mężczyzna skłamał? Coś tu śmierdziało. Czują, że Maczkowski próbował ją nastraszyć i zniechęcić do prowadzenia śledztwa. Ale by było, gdyby się okazało, że to on jest mordercą Dębskiej, pomyślała. Szybko jednak odgoniła od siebie tę niepokojącą myśl. Drugie niesłuszne oskarżenie kolegi z pewnością nie skończyłoby się tylko na śmiechu. Nie tracąc dłużej czasu, wrzuciła telefon niedbale na dno torby i weszła do wnętrza chłodnej klatki schodowej.

Była na ostatniej prostej. Dotarła na swoje piętro — od lodówki dzieliło ją jakieś sto metrów. Właśnie miała złapać za klamkę, gdy osłupiała. Wrota strzegące dostępu do jej lokum były uchylone. Z całą pewnością, kiedy wychodziła rano do pracy, zadbała o ich szczelne zamknięcie. Jak to zatem możliwe, że teraz stoją otworem? Przyjrzała się dokładniej. Okolice zamka były porysowane, ktoś musiał przy nim grzebać ostrym narzędziem. Matko Boska, miałam włamanie! Serce waliło jej jak młotem. Wyjęła z torebki nieodłącznego towarzysza — okazałych rozmiarów butlę lakieru do włosów — i wetknęła głowę do przedpokoju, na wszelki wypadek nogami pozostając na klatce schodowej.

— Halo, jest tam kto? — krzyknęła, wyciągając szyję. Cisza. W każdej chwili gotowa do odwrotu albo ataku, dziewczyna wsadziła do środka prawą stopę. — Jeśli tu ktoś jest, proszę się odezwać, ostrzegam, że jestem uzbrojona — powiedziała, zerkając do dużego pokoju.

Ponownie odpowiedziała jej jedynie cisza. Szurając plecami po ścianie, Wiola powoli przesuwiała się w głąb, a przed sobą trzymała oburącz w drżących dłoniach sprej. Sprawdziła każdy pokój oraz skrytkę, gdzie zmieściłby się człowiek od metra wzwyż, ale nigdzie nie było nieproszonych gości.

Uspokojona usiadła przy kuchennym stole, na blacie postawiła śmiertcionośną broń wyprodukowaną przez spółkę Trwały Kok. I co teraz? Zamyśliła się. Po co ktoś miałby się do mnie włamywać? Niedoszły złodziej nie pokusił się o żadne z cennych dóbr: domowej roboty kastet złożony z pierścieni ze sztucznymi kamykami kusząco połyskującymi na szafce w przedpokoju,

śmiechu warte oszczędności, zegar z kukułką, lodówkę, pralkę, mikser, blender, suszarkę do włosów ani fioletowe szpilki od la'Butą (najprawdziwsze, oryginalne i — jak zapewniała sprzedawczyni w lumpeksie — noszone tylko raz przez modną Niemkę z zachodniej części Berlina). Niespodziewanie jej łydki dotknęło coś mokrego.

— Aaaaaaaa! — wrzasnęła z przestachu.

Nieudolna próba chwycenia broni zakończyła się zrzuconiem na podłogę metalowego pojemnika, który następnie potoczył się pod lodówkę.

— Wioletko, spokojnie — powiedział łagodnie pan Wiesio stojący w drzwiach jej kuchni ze smyczą w dłoni. — Fufek, chodź tutaj — przywołał psa liżącego prawą kostkę z trudem łapiącej oddech dziewczyny.

— Panie Wiesiu, co pan tutaj robi?!

— Zostawiłaś otwarte na oścież drzwi wejściowe i Fufek od razu wyrwał do ciebie. Jeśli tak będziesz robiła, zobaczysz: kiedyś cię okradną. Musisz uważać, sama wiesz, że ostatnio kręcą się po osiedlu typki spod ciemnej gwiazdy.

— Panie Wiesiu, ja zostawiłam otwarte właśnie dlatego, że ktoś mnie okradł. To znaczy, nie wiem, czy okradł. Jak na razie nie zauważyłam, żeby coś zginęło, ale na pewno ktoś się do mnie włamał!

— Co ty mówisz, Wioletko? — zdziwił się sąsiad.

— Naprawdę, panie Wiesiu, wróciłam z pracy, a tutaj uchylone drzwi i porysowany zamek.

— Co się porobiło... Kiedy będzie policja? Poczekam z tobą — zaofiarował się.

— Właśnie, policja! Zawiadomię policję! Że też sama na to nie wpadłam...

Bezzwłocznie wyjęła z torebki komórkę, żeby zadzwonić pod sto dwanaście. Operator grzecznie wysłuchał nieskładnej opowieści, zadał kilka pytań rozjaśniających obraz sytuacji, a następnie nakazał czekać na stróżów prawa. Kiedy przyjadą? Tego nie potrafił powiedzieć, może zaraz, może za dwie godziny — trzeba cierpliwie czekać.

Telefon do władz otrzeźwił ją. Po rozmowie z kolegą prawie po fachu na powrót zaczęła myśleć jak śledcza, a nie jak cywil.

— Panie Wiesiu, my się tutaj kręcimy po mieszkaniu, przez co zacieramy ślady. Przyjadą policjanci i dadzą nam do wiwatu za utrudnianie im pracy. Lepiej wyjdźmy — poprosiła grzecznie, starając się nie urazić gościa. Miała jeszcze wspomnieć o roznoszonej wszędzie przez Fufka sierści i ślinie (według jej wiedzy znaczna część psów nadnaturalnie się ślini, pokrywając powierzchnie swoją wydzieliną niczym lukrem, na dokładkę okraszając go posypką z futerka), ale ugryzła się w język.

— Masz ty rację, Wioletko. Chodź, Fufek! — Mężczyzna gwizdnął na zwierzę i tym sposobem cała trójka usunęła się z miejsca zdarzenia.

Razem z pomocnym sąsiadem wycofali się na klatkę i usiedli na schodach koło drzwi Koperek. W milczeniu czekali na władze. Początkowo pudel umiłał im czas, pocieszenie podskakując i ocierając się o ich nogi. Nie trzeba było jednak długo czekać, żeby układ pokarmowy godnie karmionego pieska zaczął dawać mu się we znaki. Fufek niemiłosiernie ujadał i popiskiwał.

— Panie Wiesiu, niech pan idzie. Nie ma sensu, żeby Fufek się męczył.

— Sam nie wiem... a jak ty sobie poradzisz, Wioletko? Co będzie, jeśli złodziej wróci?

— Panie Wiesiu, myślę, że nie ma na to szans — zaśmiała się głośno. — Chyba już za pierwszym razem zorientował się, że nie mam niczego godnego uwagi.

Pocziwy Wiesław wahał się jeszcze przez chwilę, ale hałaśliwy pudelek pomógł mu podjąć decyzję. W ten sposób ofiara włamania została sama. Starając się nie myśleć o ssaniu w żołądku, patrzyła niewidzącym wzrokiem przez otwarte na oścież drzwi do przedpokoju.

Przedstawiciele władzy w liczbie dwóch przybyli zadziwiająco szybko: jeden nieznany Wioletce, a drugi znany całkiem dobrze i to z najgorszej strony — sierżant Ogiński we własnej osobie.

— Znowu się spotykamy — przemówił, nie zdradzając żadnych emocji.

— Dzień dobry — powiedziała, stając na równe nogi.

— Dobry, my jesteśmy z policji. Przyjechaliśmy na wezwanie — wyjaśnił ten nieznany, a następnie wylegitymował się. — Obywatelka Koperek, jak się domyślam? — zapytał.

— Tak, we własnej osobie.

— Wejdźmy do środka — zarządził około pięćdziesięciopięcioletni wąsacz w zaawansowanej ciąży spożywczej.

Wiola popatrzyła na niego z niezrozumieniem, po czym najuprzejmiej, jak tylko potrafiła, pouczyła funkcjonariuszy:

— Chyba najpierw powinniście panowie zrobić to, co należy, a dopiero potem wpuścić mnie do środka. Mam czas, nigdzie się nie spieszę, mogę sobie tutaj spokojnie poczekać. — Na powrót rozsiadła się u szczytu schodów.

— A co konkretnie mielibyśmy robić, gdyby raczyła nam pani odpowiedzieć? — dopytał starszy wiekiem policjant, zerkając z góry na siedzącą niewiastę.

Koperek zwątpiła w kompetencje przybyłych funkcjonariuszy, ale ponieważ rozsądek podpowiadał jej, że lepiej nie zadzierać z kimś, kto trzyma w kaburze pistolet, wyjaśniła:

— Wiecie panowie, posypać drzwi proszkiem, zebrać odciski palców z klamki i zamka, zrobić zdjęcia, sprawdzić, czy nie został odcisk buta, po którym można by dojść do przestępcy, takie tam.

Panowie dyskretnie wymienili się spojrzeniami.

— No patrz, Jasper, jaki pech, że też akurat dzisiaj zostawiłem szkło powiększające i magiczny proszek w samochodzie. Cóż, będziemy się musieli jakoś bez tego obejść.

— Proszę ze mnie nie żartować! — oburzyła się na bijący po uszach sarkazm Wiolka. — Jestem tutaj pokrzywdzoną i choćby z tego powodu należy mi się minimum szacunku!

— Pani Koperek, teraz bez żartów, możemy wejść czy mamy spisywać zeznania na klatce schodowej? — Mężczyzna na nowo przybrał profesjonalną pozę.

— Proszę — powiedziała z westchnieniem, wykonując zapraszający gest w kierunku mieszkania.

Cała trójka rozsiadła się przy kuchennym stole. Wąsacz

otworzył czarną aktówkę zapinaną na ekspres, z kieszeni dobył wieczne pióro i zaczął zadawać pytania:

- Nazwisko?
- Koperek.
- Imię?
- Wioletta.
- Drugie imię?
- Hiacynta.
- Imię matki?
- Maria.
- Miejsce urodzenia?
- Łódź.
- Stan cywilny?
- Tylko nie to! Znowu to samo — jęknęła.

Spisujący dane policjant oderwał wzrok od kartki, zawieszając go na twarzy dziewczyny.

— Zdzisiu, daj spokój. Ja znam tę panią. Niedawno ją przesłuchiwałem. Myślę, że ten jeden raz możemy przymknąć oko na pierwsze standardowe pytania z formularza. Coś się u pani zmieniło w kwestii danych osobowych, stanu cywilnego, wykształcenia, miejsca pracy i temu podobnych?

— Miejsce pracy — odpowiedziała lakonicznie, wypatrując jakiegoś podstępu.

— Więc proszę podać nowe, Zdzisiu, zanotuj.

— Zatrudniłam się we wspólnocie mieszkaniowej jako asystentka — powiedziała z dumą.

— Proszę bardzo, pierwszą część mamy za sobą. Resztę się przepisze z poprzednich zeznań i po krzyku. A teraz pani opowie, co się stało. — Jasper nie lubił marnować czasu.

— Więc to było tak: wróciłam po pracy do mieszkania, patrzę, a tu drzwi wejściowe otwarte.

— Może zapomniała pani zamknąć? — dopytał Zdzisław.

— Wykluczone, zawsze dla pewności naciskam klamkę. Zresztą tak samo sprawdzam okna, jeśli gdzieś wychodzę na dłużej. Kiedyś mi to umknęło i zostawiłam otwarty balkon, akurat jechałam na trzy dni do rodziców. Wracam, a za fotelem w dużym

pokoju gołąb zbudował gniazdo i zniósł jajko. Co miałam robić? Przecież nie mogłam wyrzucić na pewną śmierć ptaszka w potrzebie z niewyklutym maleństwem. Myślałam, żeby wynieść na balkon, ale bałam się, że jak zacznę w tym grzebać, to jeszcze coś popsuję albo stłukę jajeczko. Było takie śliczne, malusie, nakrapiane. Zamknęłam pokój, otwierałam tylko rano i wieczorem, żeby zanieść im małe co nieco i wymienić wodę.

— Czyli konkludując, jest pani pewna, że zamknęła drzwi wejściowe — przerwał jej wywód Ogiński.

— Tak, właśnie taka jest konkluzja — spieszyła się Wioletka.

— Co było dalej? — zapytał Zdzisio.

— Najpierw nie mogłam zrozumieć, jak to się stało, ale wtedy zauważyłam zarysowania koło zamka i domyśliłam się, że było włamanie. Weszłam do mieszkania, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma.

— Co pani zrobiła? — zapytał Jasper.

— Weszłam, żeby sprawdzić, czy nie ma włamywacza i...

— Nie, ja tego nie wytrzymam. Najpierw bawi się pani w jakieś dziwaczne podchody, które nazywa śledztwem w sprawie morderstwa, a teraz sama jedna własnymi rękoma postanawia złapać włamywacza? A jakby był w mieszkaniu, co by pani wtedy zrobiła? Kazała mu wyjść? Pogroziła paluszkami? — wybuchł.

Kolega popatrzył na zawsze spokojnego kompana ze zdziwieniem.

— Przecież byłam uzbrojona!

— Pani ma broń? Proszę nam ją pokazać razem z pozwoleniem — polecił nieznoszącym sprzeciwu głosem Jasper.

— Może nie do końca to jest taka broń, o jakiej pan myśli... — Dziewczyna splotnęła rumieńcem.

— Proszę ją pokazać. Teraz! — wysyczał coraz bardziej zirytowany policjant.

Wioletka wstała, podeszła do lodówki, klękła, żeby zanurkować pod nią ręką. Pan Zdzisław patrzył na kobietę z rosnącym zainteresowaniem, podczas gdy Ogiński zaczynał tracić cierpliwość. W końcu po omacku udało jej się wymacać pojemnik, wstała z ociąganiem i postawiła go na stole.

— Proszę — powiedziała, patrząc na podłogę w okolicy swoich stóp.

Zdzisio wziął przedmiot do ręki, dokładnie obejrzał i z wyrazem rozbawienia na twarzy podał partnerowi. Ta odważna dziewczyna coraz bardziej zaczynała mu się podobać. Sierżant Ogiński nie był jednak wcale zachwycony.

— Co pani chciała z tym zrobić? Utrwalić złodziejowi kok czy może usztywnić grzywkę? Przecież to mógł być rosty chłop, który nie patyczkowałby się z panią! Nie mogę zrozumieć, skąd taki brak wyobraźni u wykształconej kobiety.

— Sierżancie, czemu się mnie pan tak uczeplił? Co ja takiego panu zrobiłam? Chciałam dobrze... — powiedziała spokojnie zbesztana Wiola.

Jasper się zawstydził. Mówiąc uczciwie, sam nie wiedział, o co mu chodziło z tą całą Koperek. W normalnych warunkach zawsze był miły i wyrozumiały dla obywateli, ale poczynania siedzącej naprzeciwko dziewczyny jakoś dziwnie go irytowały.

Partner zerknął z ukosa na kolegę, którego zachowanie odbiegało od standardowego. Teraz dopiero zastanowiło go, dlaczego Ogiński nalegał, żeby wzięli tę sprawę, pomimo że zazwyczaj zajmowali się morderstwami i rozbojami, a nie pospolitymi włamaniami.

— Już dobrze — przerwał niezręczną ciszę. — Czyli upewniła się pani, że w mieszkaniu nie ma żadnego zbira, a później?

— Sprawdziłam, że nic nie zginęło, i dopiero wtedy usiadłam przy stole w kuchni. Nagle do mieszkania wbiegł pies sąsiada z naprzeciwka, a za nim właściciel, czyli pan Wiesław. To on mi podpowiedział, że powinnam zadzwonić na policję. Tak też zrobiłam, a potem wyszliśmy z mieszkania, żeby nie zacierać śladów, i to by było na tyle.

— Jest pani pewna, że nic nie zginęło? — dociekał starszy z policjantów z nosem w papierzykach.

— Nie na sto procent. Popatrzyłam pobieżnie i tak na pierwszy rzut oka wydawało mi się, że wszystko jest na swoim miejscu.

— Może ktoś go sproszył? — wysunął supozycję Zdzisław. — Dobrze, niech się pani rozejrzy i jeśli faktycznie niczego nie

brakuje, to w zasadzie my możemy się powoli odmeldowywać.

— Pójdę z panią — przemówił stanowczo Jasper.

Przemierzali M3, nie odzywając się do siebie ani słowem. Ona szła z przodu, on dwa kroki za nią. Wiola zaglądała w każdą dziurę, podczas gdy policjant obserwował każdy jej ruch. Odwrócił głowę tylko raz, kiedy z komody wysypała się na podłogę bielizna. W pierwszym odruchu rzucił się na pomoc kobiecie w potrzebie. Chwycił w dłoń garść materiałów, wśród których znajdowały się różowe satynowe majtki w malutkie wisienki. Widok ponętnych fig sprawił, że Ogiński w popłochu wrzucił na ślepo rzeczy do otwartej szuflady, odskakując na poprzednie miejsce, gdzie z wielkim zainteresowaniem monitorował stan popękanego sufitu. Koperek upchnęła wstydlive szmatki w czeluściach komody i szybkim krokiem przeszła przez przedpokój wprost do łazienki, z której zawróciło ją pytanie sierżanta:

— A CO TO MA BYĆ? — zapytał z palcem skierowanym na obwieszoną tablicę korkową.

— To? — odpowiedziała pytaniem na pytanie, próbując zyskać na czasie.

— TO! — podniósł głos, nadal wskazując w to samo miejsce. — Zresztą nie, proszę się lepiej nie pogrążyć. Wydawało mi się, że jasno się wyraziłem ostatnim razem, kiedy absolutnie zabraniałem pani kontynuować „śledztwo” w sprawie Dębskiej.

— Tylko że ja... Bo widzi pan... — Nie bardzo wiedziała, w jaki sposób wybrnąć z sytuacji.

— Dosyć tego! Konfiskujemy TO. Ile razy można panią pouczać? Jak pani mówiła? Detektyw wolontariusz? — fuknął z niesmakiem.

— Ale ja... — próbowała się sprzeciwić.

— Cisza, bo w końcu naprawdę oskarżę panią o utrudnianie śledztwa. Czy nie uprzedzałem?

Wioletka miała coś jeszcze dodać, ale nie zdążyła, ponieważ zupełnie niespodziewanie padła na podłogę jak długa. Kiedyś pod wpływem przeczytanej lektury myślała, jak by to było, gdyby na wzór delikatnych dam z „Dumy i uprzedzenia” zasłała z

przestrachu. Wydawało jej się to bardzo romantyczne. Niestety rzeczywistość nie miała wiele wspólnego z wyobrażeniami. Runięcie na wykładzinę PVC imitującą dębowy parkiet nie przypominało dostojnego omdlenia niewiast w długich, zwiewnych sukniach z wysokim stanem. Zamiast opaść niczym płatek nasturcji, który zostałby pochwycony na dwa centymetry przed posadzką przez przystojnego pana Darcy'ego, panna Koperek walnęła z hukiem, boleśnie uderzając prawym biodrem o szafkę na zupełnie nieromantyczne łącze². Na domiar złego pierwsze, co zobaczyła, kiedy się ocknęła, nie była smagana wiosenną bryzą grzywka miłości jej życia, tylko sumiasty wąs podstarzałego kawalera oraz ruda czupryna policjanta z rozdziawionymi ustami.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał z troską Ogiński.

Miał wyrzuty sumienia, że przez niego dziewczyna straciła przytomność. Czuł, że za ostro ją potraktował. Prawda była jednak zupełnie inna. Omdlenie nie miało nic wspólnego z jego osobą, Wioletta należała do silnych kobiet i byle pokrzykiwania nie robiły na niej żadnego wrażenia. Wina leżała gdzie indziej — konkretnie chodziło o żółtą karteczkę, na której Koperek wypisała przykazania dietetyczne i przestrzegała ich z niepodobną dla siebie stanowczością.

— Wszystko w porządku, nic mi nie jest — powiedziała, siadając z wyciągniętymi przed siebie nogami.

— Nic sobie pani nie zrobiła? Huk był taki, że mało bębenków w uszach nam nie rozsadziło. Może jednak na wszelki wypadek wezwiemy pogotowie? — upewniał się Zdzisław, pomagając jej wstać z podłogi i usiąść na krześle w przedpokoju.

— Nie ma potrzeby. Naprawdę nic mi nie jest — opowiedziała, dyskretnie masując obolałe biodro.

— Całe szczęście, bo tak się wystraszyliśmy! — przyznał mężczyzna.

— Zdzisiu, skoro pani jest cała, zatem możemy iść — mruknął pod nosem Jasper, zdejmując ze ściany tablicę pełną drogocennych notatek.

² kapie (gwara śląska)

— O, a to co? — zapytał zaciekawiony Zdzisio, po raz pierwszy zerkając na tablicę.

— Wytlumaczę ci w samochodzie. Wypisz pani pokwitowanie — odpowiedział Ogiński, niecierpliwiąc się.

— Naprawdę pan ją zabiera? Kiedy ją zwrócicie? — zapytała załośnie.

— Poinformujemy panią na piśmie — rzucił za siebie Jasper, nawet nie zerkając na Wioletkę. Było mu głupio, że tak źle potraktował dziewczynę.

— Proszę mi chociaż pozwolić zrobić zdjęcie. Na pamiątkę... — Kombinowała, jak nie stracić notatek.

Jasper nic nie odpowiedział. Spojrzał na nią jedynie przez ramię i zmroził wzrokiem.

Wiolka wpatrywała się w swoje dobro. Ktoś musiał dotykać tablicy, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, nie było na niej zdjęcia albo kartki. Dziewczyna zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć, czego brakuje.

— Chwileczkę, panowie. Coś zniknęło!

— Proszę nic nie mówić, dobrze pani radzę — powiedział Ogiński, stając w drzwiach z owiniętą płaszczem własnością panny Koperek.

— Ale to może być ważne — mówiła z dużym przejęciem.

— Ani słowa więcej. Dostyc tych bzdur. Do widzenia — warknął Jasper, po czym razem z kolegą po fachu wyszli z mieszkania.

Dziewczyna zamknęła za nimi drzwi i usiadła na krześle pod ścianą w swoim mikroprzedpokoju, ściskając w dłoni pokwitowanie.

O co chodzi? Usilnie próbowała wykoncypować. Dlaczego złodziej miałby zabrać coś z jej tablicy, przecież nie było tam niczego cennego. Chyba że... Chyba że był związany z zabójstwem Majki! Morderca był w mieszkaniu! Pewnie najrozsądniejszym posunięciem byłoby, gdyby Wiolka poinformowała o swoich podejrzeniach Ogińskiego, ale trudno się dziwić, że tak nie uczyniła. Zachowanie gburowatego policjanta skutecznie odwiodło ją od tego pomysłu. Druga rzecz, że jeśli winny śmierci Dębskiej we własnej osobie pofatygował

się do niej i zwinął którąś z notatek, dzielił ją tylko krok od odpowiedzi na pytanie, kim jest ten człowiek. Musi być już bardzo blisko, w innym przypadku po co by ryzykował, że zostanie nakryty na gorącym uczynku podczas włamania? — przyszło jej do głowy. Gdyby tylko wiedziała, co zabrał... Rozmyślenia przerwało donośne burczenie w brzuchu. Poczła, że teraz, natychmiast musi zjeść swój przydział sera, bo w przeciwnym wypadku umrze śmiercią głodową.

Po uporaniu się z przejmującym ssaniem w żołądku wróciła myślami do osoby mordercy, jednak organizm zubożony trzydniową pracą nad szczupłą sylwetką odmawiał posłuszeństwa.

— A jasna cholera z tym wszystkim. Dieta, co za idiotyczny pomysł. W życiu nie widziałam tak bezsensownych zaleceń — burknęła Koperek. Machnęła ręką, zakasała rękawy i w kilka chwil usmażyła stertę naleśników, które pochłonęła z wielkim apetytem.

W wyniku przejedzenia Wiolettę ogarnął stan błęgiego lenistwa, zachciało jej się spać, dlatego przebrała się we flanelową piżamę i wskoczyła pod kołdrę z książką w dłoni. Nie było sensu przemęczać umysłu, i tak już wyczerpanego dniem pełnym emocji.

Przełom w śledztwie nastąpił dopiero następnego dnia, tuż przed wyjściem do pracy. Ubrana w płaszcz, z torebką na ramieniu, Wiola od dobrych dziesięciu minut szukała kluczy do mieszkania. Przejęta włamaniem rzuciła je wczoraj i za chińskiego boga nie mogła sobie przypomnieć, gdzie są. W końcu dostrzegła je na podłodze w przedpokoju, leżące na kupce różowej włóczki, którą próbowała z marnym skutkiem wyznaczyć na tablicy powiązania między poszczególnymi osobami. Energicznie złapała pęk w dłoń, a wtedy poczuła mocne ukłucie.

— Au! — krzyknęła tak głośno, jakby co najmniej ukąsił ją wąż, i zaczęła ssać krwawiący palec.

Przykucnęła nad podłogą. Nie chciała ponownie narażać się na skaleczenie, kto wie, co załęgło się w nieruszanej od dawna kupce nici. Czyżby szerszeń? — zastanawiała się. Natychmiast jednak wykluczyła taką możliwość, ponieważ agresywny i uskrzydłony owad na pewno wyleciałby z kryjówki, zamiast siedzieć przyczajony. Nagle zbladła. A co, jeśli to skorpion albo egzotyczny pajak, którego wczoraj podrzucił morderca Dębskiej? Może to paskudztwo wpuściło mi jad i nawet nie czuję, że dzieje się ze mną coś niedobrego? Zerknęła na palec, na którym z trudem wypatrzyła czerwoną kropeczkę. Nie miała czasu do stracenia. Ponieważ niełatwo było ją nastraszyć, śmiało pobiegła do kuchni, skąd przyniosła długi nóż do krojenia chleba. W drugą rękę wzięła trep niedbale rzucony koło drzwi łazienki, który uniosła do góry, przygotowując się w ten sposób do zatłuczenia niebezpiecznego stwora. Delikatnie rozgarnęła nożem włóczkę. Między nitkami co prawda nie dostrzegła ani tropikalnych, ani lokalnych, ani w ogóle żadnych żyjatek, za to leżała tam śliczna różowiułka pinezka. Koperek rzuciła narzędzia samoobrony i ujęła w palce przyczynę bólu. Przyjrzała się jej uważnie. Takich pinezek używała do przypinania zdjęć Dębskiej, podejrzanych, świadków oraz osób do przepytania. Szybko oceniła sytuację: Jasper niczego nie zgubił, ona też nie, nikt z gości nie ośmieliłby się dotykać świętej tablicy korkowej, więc wniosek był prosty — morderca musiał zabrać zdjęcie. Tylko czyje i dlaczego?

Wioletka wyrzucała sobie, że nie zrobiła kopii fotografii, zostały jej dwie, może trzy w telefonie, ale znakomitą większość dawno skasowała. Na zabawę z pinezką zmarnowała dużo czasu, a ponieważ nie chciała się spóźnić do pracy, owinęła ją celofanem. Tak przygotowany pakiecik wrzuciła do torebki i bezzwłocznie wyszła z mieszkania.

Tego dnia przełożone miały dla niej nowe, nieangażujące intelektualnie zadanie, wynik proklienckiego podejścia młodego prezesa do zarządzania wspólnotą mieszkaniową. Wioletce zlecono wydrukowanie i włożenie do kopert anonimowych ankiet na temat zadowolenia mieszkańców z funkcjonowania wspólnoty. Na każdy lokal przypadał jeden formularz. Następnie

koperty należało zakleić i powrzucać do skrzynek pocztowych.

Praca szła jej sprawnie, w bonusie pozostawiając dużo czasu na rozmyślanie o śmierci Majki. Koperek wyjęła z szuflady notes, w którym zaczęła sporządzać listę. Tym razem był to spis osób, które widziały zdjęcia poprzyczepiane do tablicy. Instynkt podpowiadał jej, że wśród nich znajduje się winowajca. Któraś z fotografii musiała go na tyle zaniepokoić, że postanowił ją ukraść. Obgryzając skuwkę od długopisu, sukcesywnie wypisywała wszystkich, którzy odwiedzili jej przedpokój od czasu, kiedy powiesiła w nim korkową tablicę. Zestawienie okazało się krótkie, pomimo że nie pominęła nikogo, nawet własnej matki.

Lista osób, które widziały zdjęcia na tablicy:

Paula

mama

Zuzia

pan Wiesław — sąsiad

Darek Orzechowski

Helena Trzpień

pani Stefania

Leokadia Kawa

pani Lucyna — żona pana Wiesia

Jasper Ogiński

pan Zdzisław — policjant

Wśród „podejrzanych” nie było ojca ani syna Czaplńskich. Wioletki nie ucieszył taki stan rzeczy. Nie lubiła tych typków i miała nadzieję, że okażą się winni.

Mama, Zużka, Jasper, pan Zdzisław i pan Wiesio zostali przez nią wykluczeni z grona potencjalnych sprawców. Po prawdzie z radością przyjąłaby informację, że zabójcą jest Ogiński, chętnie zobaczyłaby go za kratkami, ale nie było sensu robić sobie złudnych nadziei. W takim razie zostało sześć osób. Koperek miała twardy orzech do zgryzienia. Darek miał alibi. Paula nie wydawała jej się właściwą osobą, żeby zaplanować i

przeprowadzić okrutną zbrodnię. Zresztą, dlaczego miałyby to zrobić? Przecież chyba nie z zazdrości? Wiola nie była również w stanie wymyślić żadnego sensownego motywu, którym kierowałyby się panie Kawa, Trzpień, Stefania oraz żona pana Wiesia. Bo czy sąsiedzkie utarczki stanowiły wystarczający powód tak strasznego działania? Którąś z osób należało jednak wybrać, tylko którą? I gdzie jest dowód?

Od ciągłego analizowania rozboleła ją głowa. Wstała, żeby zrobić sobie kawę.

— Napijecie się panie kawki? — zapytała.

— Chętnie, przyda nam się przerwa — powiedziała Kornelia.

— Dla pani z mleczkiem, a dla pani Celiny czarna bez cukru? — upewniła się Wiola.

— Ale ty masz pamięć! — pochwaliła ją współpracownica.

Dziewczyna uwinęła się raz-dwa z przygotowaniem napojów, poustawiała wszystko na tacy, po chwili zastanowienia dołożyła jeszcze talerzyk z ciastkami owsianymi. Krocząc powoli i ostrożnie, wracała do pokoju. Objuczona zatrzymała się przed drzwiami, gdzie bezskutecznie próbowała nacisnąć klamkę łokciem. Z pomocą przyszła jej Władysława Żukowska.

— Poczekaj, pomogę ci, moje dziecko — powiedziała, otwierając na oścież drzwi wydziału do spraw lokali wszelakich. Wioletka podziękowała, szeroko się uśmiechając.

Rozdała napoje, talerzyk z ciastkami postawiła na biurku obok Celiny, upewniając się, że jest w zasięgu ręki Kornelii, i wróciła do swoich zajęć.

— Dzień dobry paniom — przywitała się Żukowska.

— Dzień dobry — odpowiedziały chórem pracownice wspólnoty mieszkaniowej.

— Portier mnie skierował właśnie tutaj. Przyszłam zgłosić nowy meldunek. Przenoszę się do lokalu trzydzieści osiem. Dla ścisłości powiem, że mieszkania po Mai Dębskiej będę tylko doglądała.

— Zaraz, moment, my tu musimy wszystko zapisać. Pani usiądzie, a ja przygotuję papiery. — Celina, zajęta graniem na czas w pasjansa, nie miała najmniejszej ochoty na załatwianie

spraw marudnych petentów, niestety meldunki były jej działką. — Czyli obydwie lokale są pani własnością, tak? — zapytała, trzymając długopis nad stosownym formularzem.

— Nie zrozumieliśmy się — odrzekła dyplomatycznie pani Władka. — Ten na trzecim piętrze jest moją własnością, a trzydzieści osiem na czwartym należy do Marianny Czaplńskiej, ale tymczasowo będę w nim mieszkała.

Wiola od niechcienia jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie, zajęta ślinieniem kleju na kopertach.

— A kto tak zdecydował? — Celina groźnie zmarszczyła brwi, jednocześnie zezując na monitor.

— Ja oraz Marianka. — Władysława wykazywała się anielskim spokojem wobec urzędniczki.

— A pani się nie boi mieszkać w lokalu, gdzie doszło do zbrodni? — zapytała Kornelia, mocząc ciasteczko w kawie. — Kto wie, czy morderca znowu nie zaatakuje.

— Moja droga, a czego ja mam się bać? Jestem stara, swoje już przeżyłam, jeśli przyjdzie na mnie czas, to trudno. Opatrzność o tym zdecyduje. Marianka potrzebuje pomocy i nie mogę odmówić. Takie puste mieszkanie jest łakomym kąskiem dla jej synalka i mężusia. Nie dopuszczę do tego, żeby we dwóch zajęli gniazdko po Feli. Tak wiele pieniędzy i wysiłku poświęciła, żeby je wykupić, wyremontować. Ze mną w środku nie będą tacy odważni. Początkowo myślałyśmy, żebym tylko trzymała do niego klucze i od czasu do czasu chodziła zajrzeć, czy wszystko w porządku, ale potem uznałyśmy, że to za mało. Bezpieczniej będzie, jeśli się przynajmniej na jakiś czas przeniosę na górę.

— Chwali się, że pomaga pani córce pani Felicji. Starsza pani Dębska była wspaniałą kobietą. — Kornelia w przeciwieństwie do koleżanki najwidoczniej miała ochotę na pogaduszki. — Pamiętam tę Mariannę jeszcze z młodszych lat. Biedna, ostatnio, kiedy ją widziałam, była taka przygaszona...

— Ech, ta tragedia z Mają... — Żukowska pokiwała ze smutkiem głową.

— Lepiej o tym nie rozmawiajmy, bo mi ciarki przechodzą po plecach — powiedziała pracownica wspólnoty. — Jeśli dobrze

pamiętam, poza panią jeszcze taka druga kobietka z osiedla przyjaźniła się z Felicją Dębską.

— Tak, Lonia Kawa. Zawsze się trzymałyśmy we trzy, ale kiedy Fela odeszła, trochę się pozmieniało. Nagła śmierć naszej przyjaciółki bardzo wpłynęła na Lonię, dlatego nie winię jej, że odsunęła się od rodziny Felci. To był dla nas wszystkich szok... Fela zawsze była taka zdrowa i pełna wigoru, nie mam pojęcia, skąd u niej zawał. Człowiek jednego dnia spaceruje po parku, robi weki, aż tu nagle na następny dzień już go nie ma.

Wioletka skończyła zaklejać koperty, spakowała papierzyska do trzech reklamówek, włożyła płaszcz, grzecznie się pożegnała i wyszła w teren. Postanowiła, że najsprawniej będzie, jeśli zabierze się do wrzucania ankiet do skrzynek metodycznie. Zaczęła od lewej strony osiedla, czyli od numeru sto dziewięćdziesiąt, żeby skończyć przy dwieście trzy. Praca szła jej szybko. Uprzejmi sąsiedzi wpuszczali pracownicę wspólnoty na klatkę, gdzie w stałym rytmie wrzucała koperty jedna po drugiej do otworów. Praca listonosza wydała jej się zaskakująco przyjemna, monotonne ruchy rąk miały w sobie coś hipnotyzującego i relaksującego. Koperek poczuła się odprężona, gdy dłonie się męczyły, umysł odpoczywał.

Szła jak burza, kończyła pracę w bloku sto dziewięćdziesiąt osiem, została jej tylko klatka, w której mieszkała Maja. Domofon od dawna był zepsuty, więc dziewczyna bez problemu przekroczyła próg i podeszła do skrzynek zawieszonych koło drzwi do piwnicy. Wzięła w dłoń naręczę kopert i wprawnym ruchem zaczęła je wsuwać do poszczególnych otworów. Akurat ktoś wychodził z jednego z mieszkań na górze, bo Wioletka usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza, a następnie kroki zbliżającej się kobiety, co poznała po stukaniu obcasów. Odruchowo odwróciła głowę i zeszywniała na widok mijającej ją seniorki Ząbkowskiej. Kobieta przeszła bez słowa i otworzyła drzwi. Wioletka potrzebowała ułamka sekundy, żeby podjąć trudną decyzję: czy ośmielić się zagadnąć starszą panią, czy dać sobie z tym spokój? Wiedziała, co powinna zrobić, bo na liście osób do przepytania w ramach wywiadu środowiskowego w

temacie osoby młodej Dębskiej zostali jej tylko Ząbkowscy. Strach podpowiadał, żeby odpuściła, ta jedna dodatkowa opinia pewnie i tak niczego nie zmieni. Jako osobie odważnej, a do tego detektywowi, nie wypadało jej jednak po prostu stchórzyć. Wtedy pomyślała o mądrości przekazanej przez doświadczonego życiowo pana Wiesia, który mówił, że jeśli człowiek chce coś osiągnąć, to trzeba to zrobić krok po kroku, a nie na skrót. Raz kozie śmierć, pomyślała. Postanowiła zaryzykować i dzielnie przemówiła:

— Proszę pani, czy mogę zająć pani chwilę?

— Mnie? — Zdziwiona seniorka rodu zastygła z dłonią na kłamce i jedną nogą na zewnątrz.

— Pani. To bardzo ważne — nalegała.

— Dobrze, ale kim pani właściwie jest?

— Sąsiadką z naprzeciwka, nazywam się Wioletta Koperek.

— Józefa Ząbkowska. — Kobieta cofnęła się do środka i wyciągnęła przed siebie dłoń w geście przywitania.

— Miło poznać. Pewnie słyszała pani o śmierci Mai Dębskiej z czwartego piętra? — zapytała detektyw.

— Słyszałam — odpowiedziała zwięźle wiekowa sąsiadka, wpatrując się wielkimi oczyma w Wioletkę.

— Może mogłaby pani mi o niej coś opowiedzieć?

— A w jakim celu?

— Majka była moją dobrą koleżanką. Trudno się pogodzić z tym, co się stało, dlatego na własną rękę prowadzę małe prywatne dochodzenie. — W chwili gdy kończyła mówić, natychmiast pożałowała zarówno kłamstwa, jak i zwierzenia, jednak pod ostrzałem świdrującego wzroku Józefy nie potrafiła myśleć logicznie. Ze stresu plotła, co jej ślina przyniosła na język.

— Ryzykownie. Komuś, kto użył siekiery do pozbycia się ciała człowieka, może się nie spodobać wściubianie nosa w nie swoje sprawy. Lepiej niech pani zostawi śledztwo policji — poradziła przytomnie Ząbkowska. — Jeśli to wszystko...

— Nie. Ja tego tak nie zostawię. Minęło tyle czasu, a jakoś nie widzę, żeby policja zrobiła coś szczególnego w związku z jej śmiercią. Muszę działać, proszę mnie zrozumieć.

— Cóż, skoro pani musi, to musi. Mnie nic do tego, ale proszę uważać, bo tak naprawdę nie wie pani, z kim ma do czynienia, można się bardzo sparzyć.

— Zaryzykuję.

— Pani życie, pani sprawa, ja bym odpuściła.

— A ja nie. Czy w takim razie zechciałaby mi pani opowiedzieć coś o Majce?

— Ja nie plotkuję.

— Nie proszę o plotki, tylko o pani opinię o mojej koleżance jako wieloletniej sąsiadce. Każda dodatkowa informacja może pomóc, na coś mnie naprowadzić. Tyle chyba może pani zrobić dla tej biednej dziewczyny? — Koperek była zdeterminowana, żeby uzyskać jakieś nowe dane. No i oczywiście cieszyła się, że wreszcie będzie miała z głowy odkładaną na święte nigdy rozmowę z panią Ząbkowską.

— Tak, tyle mogę, ale nie robię tego dla pani, tylko dla niej. Tak naprawdę wydaje mi się to bezcelowe, ale niech będzie. Dębska była wspaniałą młodą kobietą, zresztą tak samo jej babcia. Bardzo szkoda mi tej małej. Nie rozumiem, czemu ktoś miałby skrzywdzić takie niewinne dobre dziecko. Komu ona przeszkadzała? Pewnie, że jak każda młoda osoba lubiła czasami głośniej puścić muzykę, pośmiała się, ale to wszystko. Według mnie należała do jednych z niewielu sensownych osób w tym gnieździe źmij — wyrzuciła z siebie Józefa.

— O kim pani mówi? O sąsiadach? — zdziwiła się Koperek.

— A niby o kim innym? Zajmują się tylko donosicielstwem, piszą paskudne pisma do wspólnoty, dzwonią na policję, straż miejską i gdzie jeszcze się da oraz gdzie ktoś zechce ich wysłuchać. To jest takie niesmaczne! — Kobieta skrzywiła się. — Sąsiadka z góry specjalizuje się w krytykowaniu innych. Ciągłe patrzy w to pudło, więc pewnie promienie z telewizora jej zaszkodziły. Dzikowska na mój gust wcale nie jest lepsza, na szczęście jej mąż i dzieciaki wydają się sensowniejsi. Tak sobie myślę, że akurat tutaj winne mogą być pieniądze. Kiedy jedynie myśli się o tym, żeby mieć, wtedy trudno, żeby starczyło czasu i energii na to, żeby być. Budyniowie szukają zwady. Roczniowska

udaje damę, a wystaje jej słoma z butów — wyliczała jednym tchem. — Na koniec dochodzimy do Żukowskiej. O, tu dopiero mamy okaz! Zwołuje jakieś dziwaczne spotkania rodem z PRL, a to w sprawie mycia klatki, a to porządku w bloku. Pewnie najchętniej widziałyby się w roli prezydenta miasta, a może nawet kraju. Pilnuje porządku niczym cerber. Nic nie umknie jej uwadze, monitoruje wszystkich przez judasza albo z ławeczki. A niech tylko ktoś popełni wykroczenie! Nie lubię takich. Czuję, że ona jest z tych, które udają przyjaciółkę, ale kiedy się odwrócisz, wbijają ci nóż w plecy. W pięć, razem z Teresą Roczniowską, Leokadią Kawą, osiedlową fryzjerką i taką jedną Stefą, uczepiły się Majki. Wszystko im przeszkadzało, czego by tylko dziewczyna nie zrobiła. Mierziły mnie, dlatego wiele razy chodziłam do niej powiedzieć jakieś dobre słowo, żeby się nie przejmowała tą bandą. Wiesz, ona była bardzo mądra, nic sobie nie robiła z oszczerstw, które inni wypisywali. Tak się składa, że skończyłam prawo. Całe lata pracowałam jako sędzia, co prawda nie tu, tylko na drugim końcu świata, ale z czystym sumieniem mogłam uspokoić Maję, że nic jej nie grozi. Musiałyśmy jedynie zbadać temat szycia za pieniądze bez działalności, ale szybko znalazłyśmy rozwiązanie zgodne z prawem: rękodzieło.

— Zaskoczyła mnie pani. Myślałam, że panie Kawa i Roczniowska miały niewielkie pretensje do Mai, czasem w złości coś na nią skrobnęły, ale nic poza tym. No, ale najbardziej dziwiła mnie pani słowa o Władysławie Żukowskiej. Na własne uszy słyszałam, kiedy mówiła, że na swój sposób opiekowała się Majką, a teraz pomaga jej matce z mieszkaniem.

— Dobrze ci radzę, nie ufaj żadnej z nich. Zgorzkniały na stare lata, a może zawsze takie były, kto tam je wie. Sądzę, że każdy, kto od nich odstaje, natychmiast zostaje wpisany na listę wrogów, a wrogów trzeba zwalczać, więc zwalczają.

— A wie pani coś o rodzinie Mai?

— Z tego, co mi mówiła, poza matką, która przyjeżdżała rzadko, raczej nikt z rodziny jej nie odwiedzał. Widzi pani, ja niewiele wiem. Nie jest w mojej naturze tarzanie się w szlamie plotek. Wszystko, co pani powiedziałam, nie stanowi żadnej tajemnicy.

Jeśli ktoś mieszka w bloku, czy mu się to podoba, czy nie, słyszy i widzi różne rzeczy. Ale czy to jest powód, żeby od razu lecieć z newsami do wspólnoty? Sama niech sobie pani odpowie. Powtarzam raz jeszcze, rozmawiam z panią o sąsiadach przez wzgląd na Majkę. Jeśli to może pomóc, a nie sędzę, to niech ja przynajmniej mam czyste sumienie, że zrobiłam, co w mojej mocy.

— A chłopak Majki? Widziała go pani? Mnie się wydaje mocno podejrzany. Niedawno nachodził mnie w domu i chciał siłą wtargnąć do mieszkania.

— Taki wielki typek w czapeczce bejsbolowej? — upewniła się kobieta.

— Nie, pani chyba mówi o jej bracie.

— Sama nie wiem...

— A gdzie pani widziała tego w czapeczce bejsbolowej?

— Jakoś niedawno, wracałam wtedy z zakupów i usłyszałam na klatce krzyki Majki, żeby się odczepił. Od razu domyśliłam się, że dzieje się coś niedobrego. Pobiegłam na czwarte, a kiedy dotarłam, stali w przedpokoju. Nie wdając się w szczegóły, powiem, że nie wydawało mi się, żeby Maja miała ochotę na jego wizytę. Ponieważ kurs samoobrony mam zaliczony w teorii oraz praktyce, strzeliłam mu kopniaka między nogi i poprawiłam torbę z marchwią w brzuch. Zwiewał, aż się za nim kurzyło. Pytałam Maję, o co chodziło, ale się zawzięła i nic nie chciała powiedzieć. Podziękowała za pomoc i schowała się w mieszkaniu. Nie lubię się mieszać w cudze sprawy, więc nie wnikałam.

— Kiedy to miało miejsce? Proszę sobie spróbować przypomnieć.

— Naprawdę nie wiem, jakoś we wrześniu, bliżej początku miesiąca.

— Widziała go pani również wcześniej albo później?

— Nie, nigdy.

— A widziała pani takiego bruneta w zielonym mercedesie?

— Może kilka razy, ale nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi. Chłopak, jakich wielu — powiedziała zmęczonym głosem.

— Jeszcze jedno, obiecuję, że już ostatnie. Czy w noc morderstwa Dębskiej rzuciło się pani w oczy albo uszy coś niepokojącego, dziwnego czy chociaż zastanawiającego?

— Droga pani, przecież ja nawet nie wiem, kiedy to dokładnie było. Dla mnie każda noc jest taka sama. Na emeryturze daty tracą na znaczeniu. — Uśmiechnęła się serdecznie.

Koperek wydawało się, że rozmowa o Mai wyczerpała emocjonalnie panią Ząbkowską. Starła się tego po sobie nie pokazać, ale Wiola wyczytała wszystko z jej oczu i postawy ciała. Kobieta wyraźnie przygasła. Musiała bardzo lubić młodą Dębską, pomyślała Wioletka.

— Dziękuję za pomoc — powiedziała łagodnym głosem.

— Nie wydaje mi się, żebym pomogła, ale proszę bardzo — odpowiedziała Józefa, wychodząc.

Dziewczyna postąpiła chwilę, popatrzyła przez malutkie okienko w metalowych drzwiach klatki za oddalającymi się plecami sąsiadki, która ją dotychczas przerażała. Nie taki diabeł straszny, jak go malują, stwierdziła, wracając do upychania kopert w skrzynkach pocztowych.

ROZDZIAŁ 13

Wbrew temu, co sądziła Wioletka, policjanci nie siedzieli z założonymi rękoma, o czym można było przeczytać w czwartkowej gazecie. Zwięzła informacja w prawym dolnym rogu na przedostatniej stronie głosiła:

Aresztowanie podejrzanych w sprawie morderstwa

Jak dowiedzieliśmy się od rzecznika prasowego policji, dwa dni temu zostali aresztowani podejrzani w sprawie zabicia dwudziestoletniej Mai D. Do zbrodni doszło w jej własnym mieszkaniu pod osłoną nocy. Nieoficjalne źródło informacji donosi, że prawdopodobnie winni są dwaj mężczyźni, ojciec i brat zamordowanej. Oby to zatrzymanie było końcem owej strasznej historii i mieszkańcy na nowo poczuli się bezpiecznie w swoich domach.

— Wiedziałam! Nareszcie sprawiedliwości stanie się zadość — powiedziała sama do siebie panna Koperek z uczuciem najwyższej satysfakcji.

Dziwne było, że Szymon z szacownym tatusiem nie znajdowali się na liście osób, które widziały tablicę z notatkami dotyczącymi śledztwa. Zatem skoro jej nie widzieli, nie mogli wiedzieć, że należy ukraść jedno ze zdjęć, dedukowała Wioletta. Tymczasem gdyby w jej mieszkaniu buszował przypadkowy złodziejasek, to raczej rąbnąłby mikrofalówkę niż jakąś tam fotografię. Umysł Wioli przez dobre pół godziny pracował na najwyższych obrotach, ale w końcu dzięki wysokiemu IQ i nietuzinkowemu sposobowi wnioskowania wymyśliła, co zaszło. Motywem włamania mordercy, a dokładniej dwóch morderców, wcale nie była kradzież, oni planowali ją zabić! Pewnie wcześniej długo

obserwowali Wioletkę i poczuli się zagrożeni sprawnie postępującym dochodzeniem. Żeby się pozbyć problemu, postanowili usunąć niewygodną panią detektyw. Rysy przy zamku przypominały zadrapania na drzwiach Majki, co z kolei pokazuje, że to robota tych samych osób. Mężczyźni zapewne źle rozplanowali czas, nie zastali dziewczyny w domu, trochę poczekali, ale w końcu się zmyli. Wychodząc, zgarnęli zdjęcie, które pozwoliłoby ich zdemaskować. Dużo ryzykowali, bo przecież Wiola mogła mieć kopię fotografii. Fortuna im jednak sprzyjała, ponieważ Koperek nie posiadała kopii.

Kiedy historia połączyła się w spójną całość, Wioletta poczuła nieodpartą chęć, żeby zadzwonić do Marianny Czaplińskiej. Informacja, że jej mąż wraz z synem najprawdopodobniej pozbawili życia ukochaną córkę, z pewnością była dla niej strasznym ciosem. Numer do matki Dębskiej Wioletka miała przyczepiony do skonfiskowanej tablicy, ale na szczęście zapisała go również w telefonie. Wyszukała kontakt i przycisnęła guzik z symbolem zielonej słuchawki. Po trzech sygnałach odezwała się pani Marianna:

— Halo?

— Pani Czaplińska, z tej strony Wioletka Koperek.

— Dzień dobry, Wioletko — przywitała ją kobieta.

— Czytałam w gazecie o aresztowaniu pani męża i syna. Tak mi przykro. To musiał być dla pani szok.

— Wioletko, oni są już na wolności.

— Ale jak to? Kto ich wypuścił? Przecież są winni! — Koperek nie wierzyła własnym uszom.

— Nie wiem, Wioletko, naprawdę ja nic nie wiem — odrzekła Czaplińska. — Przyszli z policji wściekli jak osy. Mąż miotał się po domu, mruczał pod nosem, że mu za wszystko jeszcze zapłacą. Szymek marudził, żebym sprzedała mieszkanie po mamie. Może i bym je spieniężyła dla świętego spokoju, ale ta miła pani Żukowska zdecydowanie mi odradziła. Mama bardzo ją ceniła, przyjaźniły się od szkoły, później razem wyjechały z Kozowic do Łodzi. Kiedy się dowiedziałam, że Pszczółka nie żyje, zadzwoniłam do pani Władzi, żeby mi poradziła, co robić. Razem

wymyśliłyśmy, że ona się wprowadzi na czwarte piętro i przypilnuje, żeby Szymusiowi i mojemu małżonkowi czasami nie przyszedł do głowy jakiś niemądry pomysł. Pani Władka jest bardzo odważną kobietą.

— A gdzie oni teraz są? — zapytała dziewczyna.

— Pojechali do Łodzi. Powiem ci, Wioletko, że nie mam pojęcia, co oni kombinują. Boję się, żeby nie wymyślili jakiejś głupoty. Kiedy wrócili do domu, odgrzałam im obiad. Zniosłam talerze do jadalni, gdzie się zamknęli i o czymś debatowali w tajemnicy przede mną. Później spakowali torbę i powiedzieli, że jadą do Łodzi do pracy.

— Kiedy to było?

— Z pięć godzin temu. Mówili, że gdy wrócą, wtedy mnie przekonają do sprzedaży mieszkania. Byli tacy pewni swego... — Czaplínska była zdenerwowana.

— Pani Marianno, teraz musi pani być bardzo dzielna. Słyszysz mnie pani?

— Słyszę — odpowiedziała cicho.

— Kiedy się rozłączymy, proszę natychmiast zadzwonić na komendę do Łodzi i poprosić o połączenie z sierżantem Jasperem Ogińskim. Ma pani numer?

— Mam. Ten uprzejmy policjant dał mi swoją wizytówkę z numerem komórkowym do siebie.

— Dobrze. W takim razie proszę do niego zadzwonić i powtórzyć słowo w słowo, co mi pani powiedziała przed chwilą. On pomoże. Proszę być dobrej myśli, wszystko się ułoży.

— Wioletko, donosić na własną rodzinę? A jeśli oni wcale nie mają złych zamiarów i tylko narobię niepotrzebnego zamieszania?

— Jeśli nie mają nic złego na sumieniu, wtedy policja nie będzie się ich czepiała. Ale kto wie, czy to nie jest dla ich dobra? Może uchroni ich pani przez popełnieniem życiowego błędu? — Dziewczyna wspięła się na szczyt swoich umiejętności perswazji. Praktykę w trudnej sztuce przekonywania zdobyła, pracując przez miesiąc jako akwizytorka, kiedy pełne dwadzieścia jeden dni roboczych sprzedawała bezprzewodowe odkurzacze firmy

Paproszek. — Proszę mi obiecać, że pani tak zrobi.

— Obiecuję — zapewniła Czaplińska bardziej pewnym głosem.

— W takim razie ja się teraz rozłączam, a pani dzwoni do sierżanta Ogińskiego. Niech on jako profesjonalista rozsądzi, co zrobić.

— Dobrze. W takim razie do widzenia.

— Do widzenia.

Wioletka poważnie zmartwiła się o Żukowską. Po rozmowie z Ząbkowską oraz lekturze donosów nie bardzo wiedziała, co myśleć o paniach z osiedla, z całą pewnością jednak ta kobieta nie zasługiwała na śmierć. Koperek nie mogła spokojnie patrzeć, jak emerytka naraża się na niebezpieczeństwo. Dziewczyna obawiała się, że Szymek z ojcem pojechali do Łodzi, żeby usunąć przeszkodę w postaci starszej pani stojącej na drodze do ich bogactwa.

Ruszyła na ratunek. Sumienie kazało jej ostrzec Władysławę. Najpierw szukała jej w mieszkaniu na trzecim piętrze, lecz pomimo pukania nikt nie otwierał. Dziewczyna pomyślała, że trzeba sprawdzić, czy Żukowskiej nie ma na czwartym. Pobiegła wprost pod drzwi mieszkania nieżyjącej Mai i ujrzała całe piętro i półpiętro zavalone pootwieranymi pudłami z przedmiotami różnej maści, od lampy z koronkowym abażurem, przez książki, kończąc na szczotce do czyszczenia sedesu. Z kartonu, który Wioletta musiała przepchnąć, żeby dostać się do dzwonka, osunął się koc, spod którego wyjrzała włożona do góry kółkami torba na zakupy w szkocką kratę. Najwidoczniej Żukowska musiała ją wyciągnąć ze śmietnika i naprawić, oba kółka bowiem znajdowały się na swoim miejscu, ale za to materiał był nieestetycznie poplamiony czekoladą.

Ledwie Wioletka zdążyła zadzwonić, a drzwi praktycznie natychmiast stanęły otworem.

— O, to ty! Nie spodziewałam się ciebie, moje dziecko. Co cię sprowadza? — zapytała uprzejmie Żukowska.

— Pani Żukowska! Muszę panią przestrzec! Oni na pewno jadą teraz, żeby panią zabić, tak jak zabili Majkę! — emocjonowała się dziewczyna.

— Dziecko, spokojnie. Wejdz, zapraszam. Dobrze ci zrobi kubek melisy. Akurat mam przerwę w rozpakowywaniu rzeczy. Napijemy się razem. — Władka zaprosiła do środka młodą sąsiadkę.

Wioletka usiadła na wskazanym jej miejscu na kanapie.

— Pójdę tylko wstawić wodę, za sekundkę jestem — powiedziała gospodyni.

Koperek rozejrzała się po pokoju. Wszędzie było czyściutko. Chyba nikt by nie uwierzył, że niedawno mieszkała tu osoba, która nie zaprzętała sobie głowy tak prozaicznymi sprawami jak porządki.

— Dobrze, czajnik nastawiony, a teraz powiedz mi, co cię trapi. Zupełnie nie zrozumiałam tego, co mówiłaś na progu — powiedziała starsza kobieta, rozsiadając się w fotelu naprzeciwko gościa. Panie dzielił jedynie niski stolik kawowy ze szklanym blatem.

— Przed momentem rozmawiałam przez telefon z panią Czaplińską, od której dowiedziałam się, że jej mąż z synem zostali zwolnieni z aresztu i wyruszyli do Łodzi. Widzi pani, ja myślę, że to oni we dwóch z zimną krwią pozbawili życia Majkę, chodziło im o mieszkanie. Kiedy sądzili, że teraz na pewno będą swobodnie dysponować lokalem, jak na złość pani z panią Marianną im przeszkodziłyście. Skoro ktoś posunął się do jednej zbrodni, nie zawaha się przed drugą. Musi pani stąd uciekać, i to szybko! Kto wie, czy właśnie nie stoją pod klatką, czekając, kiedy stąd wyjdę, żeby zaatakować.

— Dziecko, spokojnie — zaśmiała się Władka. — Ja naprawdę się nie boję i na pewno nie pozwolę się zastraszyć. Wydajesz się w stu procentach pewna ich winy. Powiem ci, że bardzo mnie zaskoczyłaś. Prawdą jest, że nigdy nie miałam najlepszego zdania o moralności Andrzeja i Szymka, ale żeby odebrać życie członkowi własnej rodziny? Tego bym się po nich nigdy nie spodziewała.

— A mnie to tak bardzo nie dziwi, chciwość może zgubić. Żądza posiadania zaślepia — filozofowała Wioletka. — Ale nie w tym rzecz, pani Żukowska, proszę nie zgrywać bohaterki, życie nie

jest warte żadnych pieniędzy. Od razu mogę pani pomóc przenieść rzeczy.

Z kuchni rozległ się dźwięk gwizdka.

— O! Woda się zagotowała — zauważyła gospodyni. — Szybko zrobię napar i do ciebie wracam — powiedziała i zniknęła w kuchni.

Po chwili weszła z tacą, na której stały dwie szklanki oraz cukiernica. Kiedy schylała się, żeby postawić napoje na stoliku kawowym, na wysokości oczu dziewczyny błysnął w świetle wisiorek pani Władysławy. Nagle serce Wiolki przyspieszyło, detektyw poczuła, jak krew buzuje jej w żyłach, w ułamku sekundy elementy układanki złożyły się w całość.

Wiekowa kobieta usiadła na powrót w fotelu.

— Dziecko, czy ty się dobrze czujesz? Jesteś cała czerwona na twarzy. Żeby to tylko był wylew. Teraz tylu młodych choruje. Mamy coraz słabsze społeczeństwo.

— Proszę się nie martwić, nic mi nie jest, po prostu zrobiło mi się gorąco.

— Wcześniej jak na menopauzę.

— Za wcześniej — warknęła Wioletka, ucinając rozmowę. — Szybko się pani urządziła. Od dawna ma pani klucze do mieszkania?

— Będzie dwa dni. Akurat Marianka Czaplińska przyjechała do Łodzi, żeby wziąć z mieszkania Mai kilka rzeczy, więc przy okazji zajrzała do mnie i dała mi klucze.

— I w dwa dni ogarnęła pani ten straszny bałagan, który miała Majka, wciągnęła na górę meble, rzeczy, wysprzątała na błysk? Naprawdę podziwiam. — Koperek bacznie obserwowała rozmówczynię.

— Nie było tutaj znowu tak źle. Zresztą koleżanki z osiedla pomogły mi pakować rzeczy Mai do pudeł, a bratanek z kolegą zajęli się ciężarami. Mnie zostało tylko wyczyścić mieszkanie i się rozpakować. Trzeba było szybko działać. Pomyślałam, że Jędrak z Szymonem pewnie już zacierają ręce, planując, jak dostaną się do środka i zajmą to gniazdko. Niedoczekanie! Ze mną w lokalu to im się nie uda. Przezornie na wszelki wypadek zmieniłam

zamki i założyłam łańcuch w drzwiach. Dopóki żyję, nie dam się stąd wykurzyć. Po moim trupie!

— Pani Żukowska, trochę wstyd mi pytać, ale po prostu nie mogłam nie zauważyć tej pięknej przywieszki. Gdzie ją pani kupiła?

— O tę chodzi? — Władka wskazała na wisiołek z pszczołką z oczkiem z bursztynu.

— Tak.

— Niech pomyślę. O, pamiętam. To było ze trzy lata temu w takim jednym sklepie jubilerskim na Zielonej, niedługo później go zamknęli. Kiedy tylko ją zobaczyłam na wystawie, nie mogłam się oprzeć, żeby nie kupić. Podoba ci się? — zapytała, wyciągając zawieszkę możliwie najbliżej gościa.

Dziewczyna pochyliła się nad stolikiem z filiżankami pełnymi wrzącej cieczy i przyjrzała się z uwagą błyskotce.

— Bardzo mi się podoba, ale szczerze mówiąc, jeszcze bardziej podobała mi się na szyi Majki. Pani Żukowska... Dosyć tej farsy. To pani ją zabiła! — rzuciła Wioletka, zakładając ręce na piersi, żeby ukryć ich drzenie.

— Chyba miesza ci się w głowie, moje dziecko — powiedziała łagodnie gospodyni, chowając wisior pod bawełnianą bluzkę. — Najpierw przychodzisz ostrzec mnie przez niechybną śmiercią ze strony Jędrka i Szymka Czaplińskich, a teraz dla odmiany ze mnie robisz morderczynię. Naprawdę myślisz, że na całym świecie jest tylko jeden taki wisiołek?

— Myślę, że na świecie mogą być setki podobnych, ale musi pani przyznać, że mało prawdopodobne, żeby niezależnie od siebie taki sam miały dwie mieszkanki jednego bloku. Pewnie zupełnym przypadkiem również pszczołka Mai miała ułamane skrzydełko dokładnie w tym samym miejscu?

W pokoju zapadła absolutna cisza. Słyszać było jedynie miarowe tykanie zegarka zawieszzonego na ścianie.

— Dobrze, niech ci będzie — przyznała z ociąganiem Żukowska. — To faktycznie jest przywieszka małej Dębskiej, ale ja jej nie zabiłam! Znalazłam go pod kanapą, kiedy porządkowałam mieszkanie. Może i nie było to z mojej strony najelegantsze

zachowanie, ale trudno, stało się. Z tego, co się orientuję, nie wsadzają za takie rzeczy do więzienia. Oddam Mariannie wisior, kiedy będę u siostry w Kozowicach. Zadowolona? A teraz myślę, że na ciebie już czas — powiedziała, wstając. Na jej twarzy malowała się złość.

— Pani ma siostrę w Kozowicach?

— Mam, ale to nie twoja sprawa.

Wioletka nadal siedziała uśmiechając się przebiegle.

— Proszę się nie ośmieszać. Dobrze wiem, kto stoi za włamaniem do mojego mieszkania. Bała się pani, że jestem o krok od rozwiązania zagadki, więc chciała mnie uciszyć. Nie mam pojęcia, dlaczego ostatecznie zrezygnowała pani z kolejnego morderstwa, ale wiem na pewno, że wychodząc, ukradła pani zdjęcie, na którym Maja miała na szyi wisior. Pycha niejednego zgubiła. Trzeba było zakopać przywieszkę, zamiast zabierać fotografię. Przecież ja mam kopię. — Wioletka postanowiła zagrać va banque. Ze sprawy pszczołki na łańcuszku i włamania Władysława mogła się bez większego trudu wywinąć. Koperek wiedziała, że trzeba ją mocno przyszpilić, żeby pękła. — Zresztą, co ja będę mówiła. Zadzwonimy na policję, zaprosimy ich, niech sami ocenią sytuację, w końcu od tego są. Myślę też, że zainteresuje ich wózek w kratkę z zaschniętymi plamami krwi, który stoi przed drzwiami. Kiedy go zobaczyłam, pomyślałam, że to czekolada, ale teraz już wiem, że plamy nie są czekoladą, a krwią! Policjanci pobiorą próbki, w laboratorium zrobią badanie DNA plam z wózka i się wyjaśni, czy mam rację.

— Szczerze się o ciebie martwię, moje dziecko — powiedziała z troską w głosie Żukowska. — Chyba faktycznie masz wylew. Poczekaj, przyniosę ci zimny okład. Połóż się na kanapie i unieś nogi do góry.

Wioletka nie myliła się. Pycha wielu już zgubiła. Mądrość dotyczyła nie tylko Władysławy, ale również jej samej. Zamiast wiać gdzie raki zimują z zakupowym wózkiem pod pachą, Koperek wyciągnęła z torebki telefon, żeby włączyć dyktafon. Szybko wsadziła sobie ustrojstwo do kieszeni obcisłych dżinsów z dodatkiem lycry. Zdążyła jeszcze upewnić się, że mikrofon jest

ustawiony we właściwym kierunku, kiedy w pokoju pojawiła się gospodyni, dzierżąc w dłoni siekiere. Uniosła ją ostrzem do góry na wysokość swojej głowy i słodkim głosem zapytała:

— Jakie jest twoje ostatnie życzenie, moje dziecko?

— O Matko Boska! — Wiołę tak sparaliżowało ze zgrozy, że nie mogła się ruszyć.

— Jeśli nie masz żadnego, zatem przejdźmy od razu do rzeczy.

— Kobieta uniosła siekiere jeszcze wyżej i zrobiła krok w kierunku dziewczyny. — Tak czułam, że jeszcze przyda mi się mój stary, dobry wózek.

— Nie, zaraz... Mam jedno! — Wiolka grała na czas. Pomimo śmiertelnego przerażenia próbowała sprawiać wrażenie spokojnej i pewnej siebie.

— Słucham. — Władka wydawała się niecierpliwic, ale opuściła o kilka centymetrów narzędzie zbrodni.

— Skoro muszę umrzeć... Bo rozumiem, że nie ma innej możliwości? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Nie ma. — Żukowska była stanowcza.

— No tak, trudno o odwrót, kiedy trzyma się w dłoni siekiere. Ale wie pani, ostatnio słyzałam, jak mówili w audycji, że nie ma czegoś takiego jak sytuacje bez wyjścia. Zawsze jest jakieś rozwiązanie, tyle że wymaga elastyczności. Na ten przykład mogłybyśmy o wszystkim zapomnieć i rozejść się w zgodzie. — Wioletka płynęła, starając się coś wymyślić na poczekaniu. Niestety akurat presja czasu nie działała pozytywnie na jej zdolności intelektualne.

— Jesteś dziwniejsza, niż sądziłam. Nie kombinuj. Jeśli to tyle...

— warknęła sąsiadka, unosząc trzonek.

— Nie, zaraz, ostatnie życzenie! Mam jedno: proszę mi opowiedzieć, jak to było z Majką. Skoro muszę umrzeć, chociaż niech wiem, co się stało. Zzera mnie ciekawość.

— Lepiej, byś się pomodliła o zbawienie. — Władysławie najwyraźniej nie spodobało się pytanie.

— Może i byłoby lepiej, ale ja chcę się dowiedzieć o morderstwie Dębskiej — powiedziała butnie dziewczyna.

— Dobrze, niech ci będzie. W sumie niczego nie planowałam na

dzisiaj, czemu nie miałabym z tobą porozmawiać dla zabicia czasu. — Żukowska rozsiała się w fotelu, a w zasięgu ręki na stoliku przed sobą położyła ostrą niczym brzytwa siekierę. — Co konkretnie chcesz wiedzieć?

— Dlaczego ją pani zabiła?

— Dlaczego? Ty się jeszcze pytasz dlaczego?! Zasłużyła sobie. Nie mogłam dłużej znosić ciągłego tupania nad głową, kąpieli o drugiej nad ranem, śpiewów pod prysznicem, koleżaneczki, która przesiadywała tutaj dzień i noc niczym bezdomna. A ta maszyna do szycia! Wieczny szum. Można było oszaleć. Próbowałam zatyczek do uszu, ale one też doprowadzały mnie do pasji. Zresztą, dlaczego po trzydziestu pięciu uczciwie przepracowanych latach na trzy zmiany w fabryce we własnym domu nie mogłam zaznać spokoju? Mieszkanie na górze od początku miało być moje! Mnie się ono należało. To było w osiemdziesiątym siódmym. Wtedy pracowałam w fabryce w Kozowicach. Mój majster przenosił się do Łodzi do filii zakładu i chciał, żebym i ja pojechała. Zamarzył mi się wielki świat, ale samej jakoś tak dziwnie. Namówiłam Felę, żebyśmy się razem przeniosły. Najpierw udałyśmy się na mały rekonesans i od razu nam się poszczęściło, Felka w pierwszej szkole otrzymała zatrudnienie. Mój majster nam pomógł i bez czekania dostałyśmy przydział na mieszkania w tym bloku, ona na parterze, ja na czwartym piętrze. Zawsze byłam naiwna i wierzyłam ludziom. Felka zakręciła, zamotała, poleciała do wspólnoty mieszkaniowej i tak długo truła urzędniczkom, aż jej zmienili przydział. Marudziła, że nie może mieszkać na dole, bo jej będzie wiało przez drzwi do klatki, a ona ma reumatyzm. Wielki mi reumatyzm! Ledwie jedna dłoń trochę pokrzywiona. Nim się obejrzałam, urzędniczki wypisały meldunki i już się niczego nie dało odkręcić. Mnie przypadło w udziale trzecie piętro, a jej czwarte. Niby mówiła, że się ze mną zamieni, ale nie chciałam łaski. Dostała sto razy lepsze lokum od mojego. Gdzie sprawiedliwość?!

— Przecież mieszkania w pionie są identyczne — zdziwiła się Wioletka.

— Co ty możesz wiedzieć, skoro sama mieszkasz na najwyższym piętrze! Niech by ci ktoś przez lata chodził nad głową, wtedy byś zobaczyła, jak to jest.

— O mój Boże, pani zabiła też starszą panią Dębską...

— Nie bądź głupia, po co miałabym ją zabijać? Zawsze miała ode mnie słabsze zdrowie. Wiedziałam, że się przekreśli pierwsza, to była tylko kwestia czasu, a ja jestem bardzo cierpliwa. Przymilała się do ludzi, była taka pomocna i życzliwa. Każdy ją chwalił, jakby mogli, postawiliby jej chyba pod blokiem pomnik, a tak naprawdę gdyby nie ja, to siedziałaby w tych zapyziałych Kozowicach. Ale nie o to chodzi. W końcu jednego dnia zmarła na zawał. Powoli nawet zaczęłam pakować rzeczy, żeby się przenieść na górę, swoje mieszkanie planowałam wynajmować. Nagle spadła na mnie niczym grom z jasnego nieba wieść, że Majka przyjechała z betami. Poszłam do niej pytać, jakim prawem się wprowadza do mieszkania po Felce, a ona mi bezczelnie, że babcia jej przepisała wszystko, co miała.

— Zaraz, zaraz, nie bardzo rozumiem. Starsza pani Dębska obiecała przekazać pani swoje mieszkanie? — dopytała Koperek.

— Nigdy mi tego nie powiedziała wprost, ale to się rozumiało samo przez się. Doskonale wiedziała, że je chcę, a ona dostała je niesprawiedliwie. Zawsze stałam przy jej boku. Kiedy miała ospę, przynosiłam leki i zakupy; kiedy była promocja dżemów na Wioślarskiej, przytaszczyłam dla niej pięć słoików, tych dużych! Jeśli wyszedł Felce papier toaletowy, nigdy nie wahała się pożyczyć ode mnie. Przychodziła zwierzać się z każdej bolączki, prosiła o radę, płakała w mój rękaw. To mnie się należało jej mieszkanie! W życiu bym się tego po niej nie spodziewała! Udawała wielką przyjaciółkę, a potem wszystko dała najpierw tej małej, a następnie córce.

Dopiero w tym momencie Wioletka uświadomiła sobie, w jak wielkich znalazła się opałach. Łakomym wzrokiem popatrzyła na siekiere, niestety, miała marne szanse, żeby jej dosięgnąć.

Władka podążyła za wzrokiem gościa i od razu domyśliła się, co knuje dziewczyna.

— Nawet nie próbuj. Starczy tego dobrego. — Chwyciła

drewniany trzonek. — Zmęczyło mnie gadanie. Czas kończyć.

— Zaraz, momencik. Proszę mnie przez chwilę posłuchać. —
Wiola walczyła o każdą minutę zwłoki.

Żukowskiej najwidoczniej faktycznie się nie spieszyło, bo rozparła się w fotelu z rękoma założonymi na brzuchu i z zaciekawieniem popatrzyła na rozmówczynię.

— Opowiem po kolei, jak to było. W noc morderstwa, mimo późnej godziny, Majka szyła na maszynie. Musiała się sprężyć, żeby zdążyć z sukienką dla Pauli. Miała pani tego dosyć, dlatego włamała się do niej. Te rysy na drzwiach u niej i u mnie wcale nie są sprawką Szymka Czaplńskiego, tylko pani. Biedna dziewczyna niczego nie usłyszała, bo hałas maszyny zagłuszył grzebanie w zamku. Skąd prawa obywatelka wiedziała, w jaki sposób otworzyć zamek bez klucza? Przyznam, że to mnie intryguje.

— Znaj moje dobre serce, zaspokoję twoją ciekawość. Lata temu daleki krewny pokazał mi, jak to się robi. Nawet mała poradziłaby sobie z takim kompletem wytrychów, które mi sprezentował na Gwiazdkę.

Wioletka kiwnęła głową i wróciła do opowiadania:

— Kiedy Maja zorientowała się, że coś się dzieje, wyjrzała do przedpokoj, ale było już za późno. Zaczaiła się pani na nią w korytarzu i przyłożyła jej siekierą w głowę. Skąd wiem? Tak się składa, że moje okna są po przeciwnej stronie i wszystko widziałam. Gdyby nie to, kto wie, czy zabójstwo nie uszłoby pani na sucho. Ale wracając do tematu, musiało się nieźle nabrudzić. Jednak to nie problem dla takiej perfekcyjnej gospodyni. Z pewnością wiedziała pani, że nic tak dobrze nie czyści i nie zacierá śladów jak chlor. Zabrała się pani za robotę, stąd te huki i stuki, o których mówiła mi sąsiadka mieszkająca naprzeciwko. To wcale nie był remont u Dzikowskich, tylko pani sprawka. Zresztą policja w tej kwestii też się myli. Oni myślą, że morderca wyniósł ciało z mieszkania w jednym kawałku. Jedynie ja się domyśliłam prawdy. Potem wystarczyło tylko zakasać rękawy i wyszorować mieszkanie. Doskonale się złożyło, a może nawet nie bez powodu śmierć nastąpiła tej, a nie innej nocy, ponieważ nazajutrz była pani kolej na mycie klatki. Smród chloru ze

schodów zamaskował odór z mieszkania Dębskiej, gdzie przezornie zostawiła pani otwarte okno. Zanim dzień dobrze się zaczął, robota była skończona, wystarczyło jeszcze rozwieźć worki po śmietnikach i voilà. I tutaj mamy dwa pierwsze błędy. Po pierwsze trzeba było pomyśleć o naoliwieniu kółek. Słyszałam, zresztą pewnie podobnie jak połowa mieszkańców osiedla, pisk kółek zakupowego wózka. Wracając pani od strony ryneczku do domu, akurat spojrzałam na zegarek, było przed siódmą. Nie wpadłabym na to, gdyby nie moja mama, która mi powiedziała, że stragany otwierają od siódmej. W takim razie po co ciągnąć tak wcześnie rano z rynku to ustrojstwo? Wytłumaczenie jest jedno: nie poszła pani po zakupy, tylko po to, żeby wyrzucić przygotowane paczki. Nie mieści mi się w głowie, jak można tak się obejść z ludzkim ciałem. Coś strasznego...

— Nie planowałam nikogo zabijać. Żadna mi to przyjemność, ale skoro stało się, co innego miałam zrobić? Zostawić ją martwą na środku przedpokoju? Zresztą dusza i tak już poszła, gdzie miała pójść. Druga rzecz, że wy, miastowe dziewczyny, wszystkim się brzydzicie. Może nawet myślicie, że mięso rośnie na drzewach obdarte ze skóry, pierza, czyściutkie. Wystarczy opanierować i usmażyć. Za chwilę podzielisz jej los, nie pozostawiasz mi wyboru. Powiem ci na pocieszenie, że naprawdę nie mam na to ochoty. Gdybyś tylko nie wściubiła nosa w nie swoje sprawy...

Wioletka poczuła, że zaraz zemdleje. Nie było jednak czasu na rozczulanie się nad sobą, należało nagrać zeznania morderczynie i uciec stąd w jednym kawałku. Dlatego przemogła się i kontynuowała:

— Drugi błąd był zapewne wynikiem zmęczenia, a może nadmiernej pewności siebie... Worki nie były tak szczelne, jak pani sądziła. Wózek się upaprał. Zamiast od razu sprać plamy, zostawiła to pani na później. Nie tak łatwo usunąć zaschniętą krew, a przecież trzeba robić zakupy, więc nabyła pani nowy wózek. Jednak przez sentyment trudno się było pani pozbyć starego. Pewnie żywiła pani nadzieję, że jeszcze uda się go doprowadzić do porządku. Z tym urwanym kółkiem to była

zwykła bujda. Po kilku dniach zaczęłam wypytywać o Majkę. Zaniepokoiła się pani. Misterny plan z pozbyciem się ciała — a jak wiadomo, brak zwłok oznacza brak podstaw do wszczęcia przez policję śledztwa — mógł lec w gruzach. Trzeba było odsunąć podejrzenia, że coś się stało Dębskiej. W ten sposób zmierzamy do błędu numer trzy. Muszę przyznać, że bardzo sprytnie wymyśliła pani ten fortel z pocztówką wysłaną do Pauli. Domyślałam się, że adres był w mieszkaniu Mai, do którego mogła pani wejść w każdej chwili. Zdecydowanie sprytniej byłoby pokusić się o podrobienie treści widokówki oraz rysunków, które zawsze robiła Dębska. No i oczywiście wysłać ją z Krakowa, mistyfikację zdradził też stempel. Takie głupie zaniebdanie. Pocztówkę z kościołem Mariackim pewnie kupiła pani na poczcie, teraz wszędzie sprzedają dosłownie wszystko.

— I tu się mylisz. Lonia Kawa przywiozła mi ją kilka lat temu jako pamiątkę z pielgrzymki do krakowskich Łagiewnik. Po co miałam wydawać pieniądze na zbytki, skoro kartka tylko leżała i się kurzyła? — powiedziała od niechcena Żukowska, żywo zainteresowania wypowiedzią Wioletki. — Ale muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Jak na matołkę, za którego cię miałam, zaskakująco dużo udało ci się wymyślić.

— Potraktuję to jako komplement — rzekła panna Koperek. — Zorientowałam się, że pani kłamie, dzięki mamie Mai, która powiedziała mi, że przyjaźniłyście się z Felicją Dębską od czasów szkoły. Przez wiele lat mieszkała pani w Kozowicach, więc doskonale znała adres Czaplinskiich. I na koniec wszystko wyjaśnia siostra mieszkająca w Kozowicach, pewnie ją pani odwiedzała i przy okazji wrzuciła do skrzynki kartkę. Naprawdę perfekcyjnie pani udawała, kiedy pytałam przy ławeczce o adres rodziców Majki. W życiu bym się nie domyśliła, że miła starsza pani może tak łżeć w żywe oczy. Niby nawet nie mogła pani sobie przypomnieć nazwy miejscowości. Pięknie zagrane, brawo. W sumie powinnam podziękować, bo gdyby nie ta pocztówka, nie byłoby mi tak łatwo trafić do domu rodzinnego Dębskiej. Jeśli wrzuciłaby ją pani do skrzynki w Łodzi, niewiele by mi to dało. Głupi przypadek okazał się dla mnie bardzo pomocny w

prowadzeniu śledztwa. Niestety, trafił się pani zbyt mocny przeciwnik — zakończyła wypowiedź z poczuciem dumy.

— Znaczy się kto? — zdziwiła się kobieta. — Majka?

— Nie, ja!

Władysława zaśmiała się głośno.

— Dobrze! Ty miałabyś być godnym mnie przeciwnikiem? Nie pochlebiaj sobie.

— Właśnie ze szczegółami opowiedziałam pani cały przebieg zabójstwa. Sama do tego doszłam, podczas gdy policja nadal błądzi. Zresztą proszę nie zgrywać głupiej, gdyby się pani mnie nie obawiała, to nie planowałaby mnie zabić.

— Trafiło się ślepej kurze ziarno. — Żukowska pokręciła głową z dezaprobatą. — Jakimś niebywałym przypadkiem udało ci się wymyślić, jak zabiłam Majkę i co z nią później zrobiłam. Jeśli mowa o wyliczaniu błędów, powiem ci tak: przyznaję, popełniłam jeden czy dwa, ale to ty siedzisz u mnie na kanapie i czekasz na śmierć. Kto teraz wydaje ci się głupi: ja czy ty? I wcale nie chciałam cię zabić. Nic mnie nie obchodziłaś, po prostu kolejna wścibska sąsiadka i tyle.

— W takim razie po co pani ukradła ode mnie z mieszkania zdjęcie i skąd w ogóle wiedziała, że je mam?

— Skąd? U nas na osiedlu nic się nie ukryje. Lonia mi powiedziała, że wisi u ciebie na ścianie w przedpokoju jakaś dziwaczna tablica obwieszona papierami i zdjęciami ludzi mieszkających w okolicy, w tym też jej, moim i Dębskiej. Jaki z ciebie detektyw, że trzymasz te żałosne notatki na widoku? Kiedy wyszłaś do pracy, poszłam ją sobie obejrzeć z czystej ciekawości. Gdy zobaczyłam uśmiech na jej twarzy, od razu zerwałam fotografię. Nawet nie widziałam, że miała na szyi to cudeńko. — Dotknęła ręką bluzki w miejscu, gdzie znajdował się wisior. — Byłoby prawdziwym marnotrawstwem, gdybym wyrzuciła taki klejnot. Majce i tak już nie był potrzebny.

Podczas gdy Władysława mówiła, z łazienki do pokoju wszedł dostojnym krokiem rudy dachowiec. Otarł się o nogę stolika i wskoczył na kanapę, po czym rozsiadł się wygodnie obok Wioletki. Dziewczyna potrafiła wykorzystać nadarżającą się

okazję. Chwyciła futrzaka za kark i mocno docisnęła do poduszki kanapy.

— Więc mamy impas — powiedziała z napięciem wyczuwalnym w głosie. — Albo mnie pani wypuści wolno, albo skręcę kark pani maleństwu. Proszę wybierać.

Władka zrobiła wielkie oczy.

— O nie! Tylko nie to! Błagam cię, zaklinam na wszystkie świętości, nic nie rób Pusiowi! On jest moim najlepszym przyjacielem — prosiła, składając dłonie jak do modlitwy.

Panna Koperek z ulgą wypuściła wstrzymywane powietrze.

— Naprawdę mi uwierzyłaś? — zapytała po chwili kobieta, zanim Wioli udało się cokolwiek powiedzieć. Kot wił się, prychał i fukał. Dziewczyna musiała przytrzymać go za ogon drugą ręką. — Od dawna miałam się pozbyć tego włóczęgi. Mija drugi rok od czasu, kiedy nie mogę go nauczyć, że siku robi się do kuwety, a nie na podłogę tuż obok.

Kolejne wydarzenia potoczyły się tak szybko, że trudno było za nimi nadążyć nawet Wiolce. Żukowska chwyciła siekiere i rąbnęła nią w miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się kot. Wioletce w ostatnim momencie udało się usunąć w najdalszy kąt kanapy, mocno przyciskając do piersi Pusia. W kolejnej sekundzie Koperek wypuściła zwierzaka, który wbił jej w rękę zęby oraz osiemnaście posiadanych pazurów. Nie namyślając się, Wiola chwyciła szklanekę z melisą i chlusnęła zawartość w twarz morderczyni. Niestety, skutek nie był taki, jak planowała. W jej wyobraźni wrząca ciecz miała ogłuszyć Władkę i dać sposobność do obezwładnienia jej. Niestety, napój przestygł, więc działanie przyniosło marny skutek. Co prawda Żukowska na krótki moment była oszołomiona atakiem, ale po chwili na powrót odzyskała zimną krew i ruszyła z dzierzoną oburącz siekiarą. Koperek wpadła w amok. Nie zważając na niebezpieczeństwo, całym ciężarem ciała naparła na Władysławę. Starsza kobieta nie należała do malutkich, ale atak prawie osiemdziesięciokilogramowej dziewczyny nie mógł obejść się bez strat dla jej osoby. Gospodyni zachwiała się i runęła na podłogę, nie wypuszczając bronii. Tyle jednak wystarczyło Wioli,

żeby przeskoczyć przez ciało, wybiec do przedpokoju, przekręcić klucz w zamku i wypaść na klatkę schodową. Niczym gazela minęła pudła i pokonała pierwszych jedenaście schodów, kiedy w drzwiach mieszkania świętej pamięci Dębskiej pojawiła się wrzeszcząca Żukowska:

— Niech cię tylko złapię w swoje ręce! Stój!

Drzwi amatorów TV nieoczekiwanie stanęły otworem. Oczom pani domu, która planowała udać się do pobliskiego sklepiku wielobranżowego po kostkę masła, niezbędnego do przygotowania kolacji dla wygłodniałej rodziny, ukazał się obraz pani Władysławy z siekierą w dłoni goniącej zbiegającą po schodach Wioletkę, na której twarzy malował się prawdziwy przestrah. Doświadczona życiowo kobieta, która niejedno widziała w grającym non stop telewizorze, szybko zatrzasnęła drzwi i przekręciła zamek. Gdy Władka slalomem przebiegła obok rozstawionych gratów, sąsiadka była w trakcie informowania odpowiednich władz o podpatrzonej scenie.

Wiola minęła drugie piętro i już w wyobraźni widziała drzwi prowadzące na wolność. Wtedy za jej plecami rozegrało się coś, czego nie sposób było przewidzieć. W tym właśnie momencie emerytka Ząbkowska wyszła z wnuczkiem z mieszkania syna, a następnie miała go zaprowadzić do siebie na górę, na wieczorynkę i pierogi z serem. Widok nielubianej sąsiadki pędzącej z siekierą w dłoni, która na dokładkę wykrzykiwała groźby karalne, okropnie ją zbulwersował. Jednym ruchem dłoni wepchnęła dziecko do środka mieszkania, sama schowała się w uchylonych drzwiach, wyczekując na właściwy moment. Gdy Żukowska była na odpowiedniej wysokości, Józefa wystawiła nogę. Władysława zupełnie się tego nie spodziewała. Przed upadkiem zamachała rękoma, wypuściła siekierę, która obijając się o schody, spadła pół piętra niżej. Tuż za narzędziem zbrodni poleciała jego właścicielka, skręcając sobie kark. Ząbkowska zeszła do kobiety, pochyliła się nad ciałem. Dla porządku sprawdziła puls.

Huk, ogólne poruszenie i brak podążającej za nią Władki zwały ciekawską, choć śmiertelnie przerażoną Wioletkę

ponownie na górę. Nieśmiało, w każdej chwili gotowa do odwrotu, na paluszkach wchodziła wyżej i wyżej. Nad niezwywą zaczął się zbierać tłumek rozemocjonowanych mieszkańców. Zanim dziewczynie udało się choć trochę otrząsnąć z szoku i zrozumieć, co zaszło w lokalu numer trzydzieści osiem oraz na schodach, na miejsce zdarzenia przyjechały dwa radiowozy. Przepytywaniu przez stróżów prawa nie było końca. Zanim niedosłej ofierze odebrano telefon z nagraniem przyznania się do winy, pan Zdzisio litościwie pozwolił jej go wysłuchać razem z policjantami. Prawie nieprzytomną z wyczerpania Wiołę Ogiński osobiście odwiózł do domu. Kiedy wysiadała z radiowozu, przypomniała sobie o kotku.

— Panie sierżancie, Żukowska miała kota! On został tam w mieszkaniu. Trzeba pomóc zwierzęciu — powiedziała przejęta losem niewinnego Pusia.

Policjant, który nie odezwał się ani słowem od czasu, kiedy wsiedli do samochodu, kazał jej poczekać pod klatką, podczas gdy sam gdzieś zadzwonił. Koperek nie słyszała ani słowa z rozmowy, bo mężczyzna przezornie odszedł kilka kroków dalej. W końcu wrócił i służbowym tonem poinformował:

— W mieszkaniu nie było żadnego zwierzęcia, koledzy dokładnie przeszukali pomieszczenia.

— Zapewniam pana, że było! Mały, bezbronny, rudy kotek.

— Pani Koperek, nawet jeśli był, to pewnie uciekł. Najpierw drzwi były otwarte, później kręciło się wielu ludzi. Koty należą do zwierząt wolnych, poszedł sobie i tyle go widzieli. Pani też niech wraca do domu, musi pani być wykończona.

— Czyli — powiedziała, splatając ręce na piersi — skazuje pan biedne zwierzę na śmierć głodową. Proszę bardzo. Niech to idzie na konto pana sumienia, ale ja na pańskim miejscu nie potrafiłabym spać spokojnie, wiedząc, że niewinne maleństwo czeka przeze mnie okrutny los.

Tego dnia Ogiński był bardzo zmęczony, jednak wizja umierającego kota i miękkie serce sprawiły, że kazał dziewczynie pójść za sobą. Wiola wykonała polecenie. Po chwili znaleźli się w mieszkaniu Dębskiej, gdzie urzędowało dwóch policjantów.

Sierżant przywitał się z nimi, szybko wprowadził w sprawę i całą czwórka zaczęli nawoływać Pusia. W końcu po półgodzinie poszukiwań znaleźli kotka śpiącego sobie w najlepsze na balkonie obok skrzynek z wrzosami.

— Zawiozę go do schroniska, a pani już dziękujemy, proszę wracać do siebie — ostro nakazał Jasper.

— Jakiego schroniska? Czy pan nie ma serca?! Nie wie pan, jak czują się zwierzęta w takich miejscach?

Ogiński nie wiedział i wolał nie pytać. Po piętnastu godzinach służby marzył tylko o ciepłym łóżku i nie miał najmniejszej ochoty słuchać dziwnych opowieści, dlatego zapytał zrezygnowanym głosem:

— Więc co chce pani zrobić?

— Zabieram go ze sobą — powiedziała zdecydowanym tonem Wioletka, wyjmując Pusia z rąk policjanta.

— Przecież my mamy swoje przepisy — poinformował ją coraz bardziej znużony.

— Przepisy, które skazują stworzonka boże na zmarnowanie w nieogrzanych schroniskach?

— Jest październik, jedenaście stopni Celsjusza, a nie minus dziesięć w styczniu — w ten nieudolny sposób Jasper próbował protestować. Wiedział jednak, że z tą obywatelką nie wygra, dlatego w końcu machnął ręką. — A niech pani bierze kota. Tylko proszę go nie zgubić ani nikomu nie dawać, może być jeszcze potrzebny w śledztwie albo jeśli ktoś się po niego zgłosi.

Wioletka przysięgła uroczyście, że będzie dbała o Pusia, a w razie czego wiedzą, gdzie ją znaleźć, i zabrała zwierząka ze sobą. Decyzję o przygarnięciu go z całą pewnością należało zrzucić na karb przeżytego tego dnia szoku. Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi od mieszkania i wypuściła na podłogę gryzącego ją i wyrrywającego się kotka, uświadomiła sobie, że w zasadzie to ona lubi zwierzęta, ale u kogoś, nie u siebie. Nigdy nie chciała mieć niczego żywego z zakresu flory czy fauny (no, może poza dosłownie kilkoma roślinami), bo to zawsze kłopot. Co innego pogłaskać pieska sąsiadki, a co innego codziennie karmić i zmieniać kuwetkę własnemu sierściuchowi. I te dowcipy o

starych pannach i ich kotach... Mimowolnie jęknęła. Trudno, klamka zapadła... — pomyślała, patrząc na nowego przyjaciela sikającego do doniczki z fikusem.

EPILOG

Miesiąc później Wiolka Koperek odwiedziła Mariannę Czaplińską w odziedziczonym mieszkaniu. Wdzięczna kobieta zaprosiła dziewczynę na podwieczerek. Mama Majki spakowała do dwóch toreb typu jamnik oraz jednej walizki potrzebne rzeczy i wyniosła się z Kozowic do Łodzi.

Wioletka właśnie schodziła z czwartego objedzona rogalikami z nadzieniem różanym, które upiekła specjalnie na tę okazję (w końcu nie wypadało przyjść na spotkanie z pustymi rękoma), kiedy koło skrzynek pocztowych natknęła się na seniorkę Ząbkowską.

— Dzień dobry — przywitała się.

— Dzień dobry — odpowiedziała z uśmiechem Józefa.

— Czyżby wczasy? — zapytała dziewczyna na widok trzymanej przez emerytkę walizy.

— Nie, wyprowadzamy się. Wreszcie będziemy mieli święty spokój od wścibskich sąsiadów, którzy śledzą każdy ruch współmieszkańców, a później omawiają go, jakby to był film w telewizji. Po dwóch latach skończyliśmy budowę domu w Konstanczowie Praszczymimskim. Przenosimy się tam z mężem, synem i jego rodziną. Dom jest na pięknej, zalesionej działce, ponad sześć tysięcy metrów kwadratowych swobody. To będzie miła odmiana od tej klaustrofobicznej klatki w bloku rotacyjnym, gdzie każdy każdego słyszy. Syn wreszcie będzie mógł spokojnie grać na dudach, to jego wielka pasja. Uwielbiam szkockie nuty, przypominają mi o dwóch wspañałych latach, które spędziliśmy w Glasgow. Dudy są magicznym instrumentem. Wie pani, my jesteśmy bardzo muzykalną rodziną — powiedziała z dumą. — Ja gram na skrzypcach, synowa na pianinie, a wnuki na dzwonku i flecie. Tylko małżonkowi słoń nadepnął na ucho. Zdaję sobie sprawę, że przy cienkich ścianach nasze muzykowanie mogło przeszkadzać sąsiadom, dlatego żeby było możliwie jak najmniej

uciążliwie, pozakładaliśmy panele wyciszające.

Tym sposobem krótka rozmowa z Ząbkowską pomogła rozwiązać tajemnicę wydobywających się z ich mieszkania dziwnych stuków, jęków i zawodzenia, o których swego czasu uprzejmie donosiła singielka z parteru.

Koperek pożegnała się z panią Józefą, bez jej pomocy pewnie wachałaby teraz kwiatki od spodu. W doskonałym nastroju wróciła do siebie, gdzie pod drzwiami czekała na nią niespodzianka. O skrzynkę z licznikiem gazowym opierał się Jasper Ogiński ubrany w przetarte na kolanie džinsy i sztruksową kurtkę w kolorze czerwieni z Falun. Mężczyzna trzymał w dłoni opuszczony do dołu niewielki bukiet podwiędłych herbacianych róż, które kupił w osiedlowej kwiaciarni.

— Czekałem na panią — poinformował rzeczowo.

— Pan pewnie po kotka. — Ucieszyła się na myśl, że pozbędzie się zwierzaka, który nie tylko nie posiadał umiejętności załatwiania potrzeb fizjologicznych do kuwety, ale również lubował się w wygrzebywaniu resztek jedzenia ze śmietnika, a następnie ukrywaniu ich w znanych tylko sobie miejscach. Po tygodniu od sprowadzenia się Pusia Wioletka zaczęła czuć dobiegającą z dużego pokoju woń, która nasilała się z każdym dniem. Od niechcienia zerknęła w kąty, ale nie udało jej się odkryć niczego, co mogłoby powodować nieprzyjemne doznania węchowe. Wybrała najprostsze wyjście z tej śmierdzącej sytuacji: otworzyła na oścież okno (pomimo że był listopad, a temperatury raczej niżkowały, niż zwykowały), zamknęła drzwi do pokoju i na wzór sąsiadki mieszkającej naprzeciwko Dębskiej obłożyła szparę przy podłodze ręcznikiem. Źródło problemu odkryła dopiero Zużka, która wpadła do przyjaciółki na niezapowiedzianą kawkę. Już z przedpokoju wyczuła, że w mieszkaniu zdechło jakieś zwierzę, zaczęło gnić i teraz rozkłada się w najlepsze. Metodyczne przeszukanie pokoju z szalikami na ustach i nosach w roli masek przeciwgazowych przyniosło efekty. Powodem odoru były zachomikowane przez kotka pod tapczanem trzy kostki kurczaka z niedokładnie obgryzionym mięsem oraz dwie pokaźnych rozmiarów skórki,

prawdopodobnie należące do tego samego ptaka.

— Nie, nie przyszedłem po kota. Raczej nie musi się pani obawiać, że ktoś go zabierze. Skoro do tego czasu nikt nie rościł sobie do niego praw, raczej można przyjąć, że Pusio należy do pani.

— Aha, to dobrze — powiedziała, starając się ukryć rozczarowanie. — W takim razie co pana do mnie sprowadza?

— Chciałem przeprosić.

— Przeprosić? Za co?

— Za całokształt... Od samego początku nie byłem dla pani szczególnie sympatyczny.

— Nie zaprzeczę — mruknęła.

— W ramach przeprosin przyniosłem kwiaty. — Wyciągnął przed siebie nie pierwszej świeżości wiecheć.

— Dla mnie? Ojej, dziękuję — wydukała dziewczyna, płonąca rumieńcem.

Bukiet nie prezentował się szczególnie okazale, ale to i tak było o wiele więcej, niż kiedykolwiek spodziewała się po sierżancie Ogińskim.

— Proszę wejść, zapraszam na herbatę — powiedziała zawstydzona.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Przepuścił kobietę przodem, a następnie wkroczył do przedpokoju. Zdjęli okrycia wierzchnie, zawiesili je na wieszaku i pozbyli się ubłoconych buciorów.

Towarzyskie spotkanie przy herbatce umilali sobie nieobowiązującą wymianą poglądów, a dominującym tematem, jak nietrudno odgadnąć, była pogoda. Niestety rozmowa zupełnie się nie kleiła, raz po raz zapadała w kuchni grobowa cisza przerywana jedynie siorbaniem gorącego earl greya. Dopiero pojawienie się przy misce koło lodówki Pusia ożywiło atmosferę.

— Widzę, że jedzenia mu u pani nie brakuje. Strasznie się spaść — zauważył policjant.

— Proszę mi mówić po imieniu, jestem Wioletka.

— OK, w takim razie ja jestem Jasper. — Chłopak wyciągnął przed siebie dłoń, którą dziewczyna mocno uścisnęła.

— Ja też na początku myślałam, że kot się roztył, zresztą nie ma w tym nic dziwnego, jeśli się żre za trzech. Okazuje się jednak, że uroczy Pusio wcale nie jest żadnym Pusiem, tylko Pusią! Byłam wczoraj u weterynarza, żeby ją odpchlić, i dowiedziałam się, że na dniach mam się spodziewać powiększenia kociej rodziny o minimum trzy maluchy! Tylko tego mi brakowało... Chyba już bym wolała, żeby Orzechowski mnie zaciukał, kiedy miał ku temu okazję. Po co pan Wiesio przyszedł mi wtedy z pomocą? Może jeszcze uda mi się namówić Darka, żeby skrócił mój żywot — żartowała. — Co ja zrobię z czwórką dachowców? Przecież nie możemy tu wszyscy razem mieszkać...

— Oj, Wioletko. — Zaśmiał się. — Powinnaś występować w stand-upach. Nie martw się, ludzie kochają małe zwierzątka, na pewno szybko znajdziesz dla nich domy. Podpytam na komendzie, czy ktoś nie chciałby jednego. A co się tyczy Orzechowskiego, niestety, ale muszę cię rozczarować. Masz marne szanse, żeby zgodził się ulżyć ci w cierpieniu, no chyba że przygarniając kociaka. Darek nie jest żadnym bandytą, prześwieiliłem gościa na wszystkie strony.

— Więc niby czemu nachodził mnie w mieszkaniu? A kiedy pan Wiesio go przegonił, odgrażał się, że pomści zniewagę.

— Nie mówię, że nie jest temperamentny, ale mogę cię zapewnić, że nie chciał ci zrobić niczego złego. Z kim bym nie rozmawiał, chwalił go. To bardzo porządny chłopak.

— A skąd niby możesz to wiedzieć? — rozgniewała się.

— Tu i ówdzie popytałem o Orzechowskiego, a potem jeszcze przesłuchałem samego Darka. Na widok odznaki od razu zaczął śpiewać. Jacyś okoliczni menele z Kostkoczyńskiej donieśli mu, że żywo się nim interesujesz. Podobno zakochałaś się na zabój — powiedział, przyglądając jej się uważnie. — Swoją drogą, nie pomyślałbym, że gustujesz w szerokich karkach i napompowanych bicepsach.

— Ależ nie — zawstydziła się — to była przykrywka. Wcale mi się nie podobają tacy dopakowani...

Przez chwilę Wioli wydawało się, że Ogińskiemu jakby ulżyło, jednak szybko odrzuciła ten pomysł, bo niby czemu miałyby mu

ulżyć? Jasper wrócił do przerwanej wątku:

— W każdym razie Orzechowski był pewien, że za nim szalejesz. Z Dębską mu nie wyszło. Później uderzał do Pauli, ale ta dała mu kosza, podobno lojalność wobec koleżanki zakazuje wiązać się z jej eks. Wtedy postanowił spróbować z tobą, tyle że do podrywu zabrał się niezbyt zgrabnie. — Mężczyzna natrząsał się.

— Aaaa, teraz rozumiem, o co chodziło z tą herbatą... On proponował romantyczne tête-à-tête, a ja sądziłam, że bełkocze w szaleńczym widzie. Jaka jestem niedomyślna! — Wioletka zachichotała, dołączając do rżącego Jaspera.

— Teraz, gdy sprawa śmierci Dębskiej jest wyjaśniona, możesz odebrać swoją tablicę. Tylko proszę cię, nie baw się nigdy więcej w detektywa. Jakimś cudem, w przeciwieństwie do Żukowskiej, uszłaś z życiem, ale drugim razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

— Nie mam na oku żadnej nowej sprawy. — Zamrugała zalotnie rzęsami. — Nurtuje mnie jedno...

— Co takiego? — zapytał.

— Chwilę przed tym, nim poszłam do Żukowskiej, rozmawiałam przez telefon z matką Majki. Powiedziała mi, że jej mąż i syn wyjechali do Łodzi do pracy. Czy to była prawda, czy jechali odbić mieszkanie z rąk pani Władysławy?

— Oni faktycznie złapali fuchę w Łodzi, polecił ich jakiś znajomy. Stawka była bardzo wysoka, a poza wypłatą należał się pełen zwrot poniesionych kosztów. Jednak nic z tego nie wyszło, bo zgodnie z umową mieli zacząć dwa dni wcześniej, co nie było możliwe ze względu na aresztowanie. Nie stawili się w miejscu pracy na czas, więc robota przeszła im koło nosa. Za benzynę też nikt im nie oddał, więc byli dodatkowo stratni. Zgodnie z twoją radą pani Czaplińska zadzwoniła wtedy do mnie. Zanim udało mi się wszystko załatwić i wysłać do nich kogoś, mężuś z synalkiem chwilę wcześniej zdążyli wrócić do domu. Byli niezłe rozżłoszczeni, że z wielkiej kasy nici. Tyle dobrego, że pani Marianna w całej tej sytuacji zaginięcia i śmierci córki nabrała pewności, że chce coś zmienić w swoim życiu. Pewnie zastanawia cię też, co Szymek Czapliński robił tego dnia, kiedy wpadł na

ciebie na schodach w bloku Majki? — zapytał domyślny policjant.

— Trochę... — przyznała niechętnie.

— Podczas przesłuchania najpierw zarzekał się, że wcale go tam nie było, później jednak przyznał, że faktycznie był. Chciał złożyć towarzyską wizytę ukochanej siostrze. Ja mu nie wierzę. Według mnie Czaplinski planował włamać się do mieszkania Dębskiej, ale spłoszyła go twoja rozmowa z Paulą. Musiał się domyślić, że wejdiesz na górę. No, ale same otarcia na drzwiach przy zamku na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent są wynikiem działań Żukowskiej, a nie jego — wyczerpująco wyjaśnił Jasper. — Wioletko, teraz ja mam pytanie. Czy zatrudnienie pani Czaplinskiej jako asystentki we wspólnocie mieszkaniowej jest przypadkiem, czy raczej twoją sprawką?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedziała, nie patrząc Ogińskiemu w oczy.

Oczywiście nie uwierzył.

— Trzeba przyznać, że masz dobre serce. Ale co teraz będzie z tobą? Zostałaś bez pracy.

— Praca nie jest żadnym problemem, zawsze się coś znajdzie. Dla chcącego nic trudnego. — Uśmiechnęła się na myśl o propozycji, którą tego ranka złożył jej podczas popołudniowej herbatki Maczkowski.

Antek zdradził, że zaryzykował i rzucił pracę, żeby wraz z żoną założyć firmę zajmującą się projektowaniem i szyciem ubrań. Małżonkowie marzyli o tym od lat, w końcu się udało. Pierwszy raz w życiu pracowali na swoim. Wyjaśniło się również, że pokój z maszyną do szycia, wypełniony tkaninami oraz szkicami, który Wiola widziała podczas przyjęcia, wcale nie należał do nieistniejącej córki, ale był pracownią pani Maczkowskiej. Mężczyzna nie chciał nikomu mówić o planach i przeznaczeniu wspomnianego pomieszczenia, dopóki całość przedsięwzięcia nie będzie dopięta na ostatni guzik. Teraz, kiedy pomysł z firmą wypalił, przyszedł zaproponować dziewczynie pracę u siebie. Wiolka obiecała, że się poważnie nad tym zastanowi, a odpowiedź da w ciągu kilku najbliższych dni. Wyszło też na jaw, że Antoni ostatnio zatelefonował do niej za namową Zużki, która

prosiła go, żeby nastraszył jej przyjaciółkę, ponieważ obawiała się, że Koperek napyta sobie biedy amatorskim śledztwem.

— Zrobić ci jeszcze jedną herbatę? — zapytała Wioletka, zerkając na piegowatego rudzielca.

— Chętnie — odpowiedział Jasper.

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę. Panna Koperek odniosła wrażenie, że sierżant patrzył na nią z czułością. A może tak jej się tylko wydawało? Czas pokaże.

Drodzy Czytelnicy,

spieszę donieść, gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, że wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe. Całość, łącznie z postacią rozkosznego Fufka, jest wytworem mojej wyobraźni. Mam nadzieję, że książka się Państwu spodobała i po przeczytaniu jej macie ochotę poznać więcej przygód Wioletki. Ale o tym na razie cicho sza...

Autorka

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Dobroduszna pani Henia wciela się w rolę prywatnego detektywa, który nieustrudzenie poszukuje mordercy pokojówki... To ciepła, pełna humoru opowieść z główną bohaterką przywodzącą na myśl polską pannę Marple!

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Ewa wyjeżdża do Londynu, aby podjąć pracę i nawiązać nowe znajomości, gdzie z zadziwiającą łatwością – ale i wdziękiem – wpada w kolejne tarapaty. Jak da sobie radę? Przekonaj się, co czeka rezolutną singielkę w wielkim mieście!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Książki Iwony Kienzler – znanej popularyzatorki historii i autorki bestsellerów biograficznych.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Jeśli losy Bridget Jones i pasje wielbicielek
smaków Julii Child są Ci bliskie,
na pewno polubisz tytułową bohaterkę.
Lira poleca książki o perypetiach Lukrecji:
„Przebudzenie Lukrecji”, „Owoce Lukrecji”
i „Żywioty Lukrecji”.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

